ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XVIII. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXIX.

TOM I. – ZESZYT II.

Luty.

WARSZAWA.

1893.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono d. 15 Lutego 1893 r.



CZY MAMY INTELIGENCYĄ?



Posługujemy się często wyrażeniem „inteligencya kraju“ w znaczeniu pewnéj gromady społecznéj, posiadającéj swoję indywidualność. Sama etymologia wyrazu inteligencya, każe nam wkładać pewną określoną ideę w to pojęcie. Spróbujmy wyłuszczyć znaczenie téj idei i odpowiedzieć na pomieszczone w nagłówku pytanie przez zestawienie z nią rzeczywistości.

Uzasadnienie bytu jakiéjkolwiek odrębnéj gromady społecznéj polega na tém, że pełni ona jakąś odrębną funkcyą w machinie społecznéj. Sama już nazwa „inteligencyi“ każe wnosić, że gromada taka przedstawia lub rości pretensye do przedstawiania całéj idejowéj pracy społeczeństwa, że ma być ogniskiem myśli jego, pełnić zatém czynność, stanowiącą podstawę postępu w każdém ucywilizowaném społeczeństwie [1]).

[1]) Fichte (w rozprawie „Ueber die Bestimmung des Gelehrten“) określa, jako powołanie uczonego, „najwyższy dozór nad rzeczywistym postępem ludzkości wogóle i jak największe poparcie tego postępu.“ Jeśli wyraz inteligencya ma jakiś sens w znaczeniu, w jakim go tu używam, t. j. jako pewna warstwa społeczna, to oczywiście zadanie jéj nie może być inne. Zresztą, nie odbiegamy tak dalece od myśli Fichtego, utożsamiając jego wyraz *Gehlerte* z naszym „inteligencya“; mówiąc bowiem na początku tego samego wykładu (IV-go), z którego ustęp przytoczyliśmy, że „przemawia jako uczony przed przyszłymi uczonymi“ (t. j. studentami uniwersytetu), pojmuje on oczywiście wyraz ten w dość szerokiém znaczeniu, mniéj więcéj zgodnie z tém, co nazywamy dziś inteligencyą. Zgadza się téż wystawione niżéj przezemnie wymaganie z następną myślą Fichtego: „Ostatecznym celem całego społeczeństwa, a więc i wszystkich prac uczonego dla społeczeństwa, jest udoskonalenie moralne człowieka“ ...„Uczony powinien być najlepszym, pod względem moralnym, człowiekiem swego czasu.“

Czy taki podział pracy jest konieczny? Czy jest sprawiedliwy? Nie potrzebujemy się tu nad tém zastanawiać. Pragniemy właśnie stanąć na stanowisku tych, którzy uważają go za konieczny i sprawiedliwy. Pragniemy, wychodząc z tego założenia, wyświetlić, czém powinna być inteligencya według idei swojéj.

Jeśli społeczeństwo poświęca znaczne wysiłki na wytworzenie inteligencyi, jeśli drogą ofiar i pracy wielu, stwarza dla nielicznych jednostek warunki, w których one mogą osiągnąć zupełny rozwój władz intelektualnych, mogą używać wszystkich rozkoszy myśli, jakie daje taki rozwój, i korzystać z przewagi moralnéj nad ogółem, którą zawdzięczają swéj inteligencyi, zdobytéj kosztem pracy, i prywacyom tego ogółu, to za usadnienie i usprawiedliwienie takiego stosunku może służyć jedynie przeświadczenie o wysokiém znaczeniu czynności, którą pełni inteligencya, oraz o tém, że czynność tę potrafi spełnić dobrze.

Nie potrzebujemy roztrząsać pierwszego z tych założeń. Nikt dziś chyba poważnie nie wątpi o doniosłości czynnika intelektualnego w społeczeństwie. Drugie prowadzi nas wprost do postawionego już pytania: inteligencya społeczna wtedy dobrze wypełnia swoje żadanie, gdy odpowiada swojéj idei.

Jakaż ta idea?

Gromada społeczna, która ma myśléć za całe społeczeństwo, gromada, występująca w roli głowy tego społeczeństwa, powinna oczywiście stać ponad interesami i sympatyami pojedyńczych warstw i grup, na które dzieli się społeczność, grup często antagonistycznych sobie. Inteligencya nietylko nie powinna przedstawiać interesów jednéj jakiéjkolwiek z tych grup, sprzecznych z interesami innych, ale przeciwnie wśród antagonistycznych prądów ująć te, które odzwierciadlają rzeczywiste potrzeby całego społeczeństwa, wśród klasowych, stanowych, koteryjnych interesów miéć na oku przedewszystkiém wymagania sprawiedliwości, a możliwie dążyć do pogodzenia sprzecznych interesów i złagodzenia antagonizmów, do skierowania sił społecznych, marnujących się bezużytecznie w walce interesów koteryjnych lub partykularnych, na drogę rzeczywistego postępu.

Bezstronność, nie-partyjność inteligencyi, jest oczywiście pierwszym, zasadniczym warunkiem dobrego pełnienia przez nią funkcyi

---

A z wynurzoném przez Fichtego wymaganiem, ażeby każdy uczony starał się o posunięcie naprzód swojéj gałęzi wiedzy, równoległy jest drugi z wystawionych przezemnie dla inteligencyi wogóle warunków, t. j. nieustająca praca nad sobą.

swojéj. Tylko wtedy może inteligencya wskazywać społeczeństwu prawdziwą drogę postępu, gdy, nie chyląc czoła przed bożkami gromad lub koteryi społecznych, idzie za głosem przekonania, samą tylko prawdę mając na oku. Drugim warunkiem, któremu odpowiadać winna inteligencya, jest przejęcie się powołaniem swojém; oddanie się interesom umysłowym swojéj epoki, swojego kraju. Dążenie do jaknajwyższéj doskonałości na tém polu powinno być pobudką do ciągłéj pracy nad sobą. Nietylko kształcenie samego siebie w kierunku intelektualnym, ale i ciągłe doskonalenie moralne stanowi zadanie całego życia dla człowieka, który chce stać na czele społeczeństwa swego. Od chwili gdy jednostka uchyla się od téj pracy, wymazuje ona siebie z szeregów inteligencyi, bo nie może prowadzić innych, kto sam stanął w miejscu.

Udoskonalenie moralne jest ściśle związane z wykształceniem umysłowém. Inteligencya powinna być nietylko najmądrzejszą częścią społeczeństwa, ale i najlepszą. Powinna nią być nie dlatego tylko, że postęp na polu umysłowém jest w wielkim stopniu zależny od zalet moralnych tak w jednostce, jak i w społeczeństwie; powinna nią być głównie dlatego, że nie wiedza daje hasła praktyczne, pod któremi idzie społeczność drogą postępu. Płyną one z tych samych źródeł duchowéj natury naszéj, których dotyczy pojęcie doskonałości moralnéj. Owoc zaś nie może być dobrym, skoro korzenie zostaną zatrute.

Wysokie stanowisko, ważne prerogatywy moralne, z jakich korzysta inteligencya, rozkosze duchowe, które czerpie z pracy umysłowéj, ciężka odpowiedzialność wreszcie, spoczywająca na niéj, wkładają na inteligencyą obowiązki odpowiednie. Rzemieślnikami umysłowości nie mogą być należące do niéj jednostki. Przeznaczeniem inteligencyi jest kapłaństwo idei.

Nie ciągnąć dla siebie zyski materyalne lub moralne z uprzywilejowanego stanowiska, jakie daje człowiekowi wykształcenie, lecz nieść wszystko w ofierze przekonaniu swemu, stanowi zadanie prawdziwego przedstawiciela inteligencyi, a żadne poświęcenie się w imię tego, co poczytuje za prawdę, nie powinno mu się wydać zbyt ciężkiém.

Wzniesienie się ponad egoistyczne interesy pojedyńczych gromad społecznych, nieustająca dążność doskonalenia się umysłowego i moralnego, kapłaństwo idei — te są trzy cechy prawdziwéj inteligencyi, ściśle z sobą powiązane, płynące jedna z drugiéj.

W jakim-że stopniu odpowiada ideałowi rzeczywistość?

Niech mówi za nas subtelny obserwator, twórca jednego z prze-

ważających dziś typów wśród inteligencyi naszéj przez usta bohatéra swego:

„Uważamy się za wykwit cywilizacyi, za ostatni szczebel, a straciliśmy wiarę w siebie. Tylko najgłupsi z pomiędzy nas wierzą jeszcze w racyę naszego bytu. W życiu szukamy instyktownie świątecznych stron, rozkoszy i szczęścia, a nie wierzymy także i w szczęście. Pesymizm nasz jest wprawdzie lekki i nikły, jak dym naszych hawańskich cygar, niemniéj jednak przesłania nam on dalsze widnokręgi. W tych przesłonach, w tym dymie, tworzymy świat oddzielny, oderwany od ogromu wszechżycia, zamknięty w sobie — trochę czczy i senny.“

...„Do tego oderwanego świata należą mniéj lub więcéj wszyscy ludzie, posiadający wyższą kulturę, należy poniekąd literatura i sztuka. Coś się stało takiego, że to wszystko nie tkwi w saméj miazdze życia, ale się z niego wydziela, odrywa i tworzy osobne koła, a wskutek tego i samo w sobie więdnie i nie wpływa na złagodzenie zwierzęcości tych milionów ludzkich, które się kłębią pod nami.“

Inteligencya nasza nietylko utraciła związek z całością społeczeństwa, nietylko przesłoniła się od niego dymem hawańskich cygar, ale zamknęła się w rodzaj kasty, która nazywa się „towarzystwem“, kasty wprawdzie nie ściśle zamkniętéj i nie dziedzicznéj, mogą do niéj od czasu do czasu wpływać nowe żywioły—jednostki, które, dzięki jakimś okolicznościom, wyłaniają się z otaczającego ten „światek“ chaosu, ale bądź co bądź kasty, posiadającéj swoje odrębne od całego ogółu egoistyczne interesa, chciwie ich pilnującéj. A co najważniejsza, że interesy te nie wypływają z saméj czynności społecznéj inteligencyi, ale są zupełnie innéj natury. Nie byłoby nic złego, gdyby np. inteligencya popierała z pewną jednostronnością interesy umysłowe kraju, zapominając o innych. Byłoby to przedewszystkiém zupełnie naturalném, powtóre, świadczyłoby tylko o przejęciu się zadaniem swojém.

Przeciwnie, widzimy w téj gromadzie społecznéj tendencye wprost wrogie interesom umysłowym społeczeństwa, a skierowane ku zachowaniu wyodrębnionego, uprzywilejowanego stanowiska tych, którzy potrafili je w ten lub ów sposób zająć. Takiemi objawami są np. skargi na hyperprodukcyą inteligencyi, krzyki przeciwko wyższemu wykształceniu kobiét i t. d.

Nie potrzebujemy tłómaczyć, że wyrażenie „hyperprodukcya inteligencyi“ jest samo w sobie nonsensem. Dobrobyt tak materyalny, jak i moralny każdego kraju jest w prostym stosunku do jego oświaty, a ideałem społeczeństwa byłoby takie, któreby się składało

z jednostek wysoce ukształconych. Nie mogłoby więc być mowy o nadmiarze inteligencyi nawet w takim kraju, któryby dawał wszystkim swoim obywatelom wykształcenie uniwersyteckie, o ileby to wykształcenie nie było zarazem rzemiosłem. Ale mówiąc o nadmiarze inteligencyi, ma się zwykle na myśli nadmiar rzemieślników pewnego fachu: np. lekarzy, prawników, nauczycieli i t. d.

Dziwna rzecz! Mamy w kraju tylu szewców, że nietylko mogą zaopatrzyć wszystkich swoich współobywateli w obuwie, ale posyłają je na daleki wschód aż do krańców Syberyi, a nikomu nie przychodzi na myśl narzekać na hyperprodukcyą szewców. Ale w kraju, w którym dziewięć dziesiątych ludności pozbawionych jest pomocy lekarskiéj, w którym pokątni doradcy i oszuści wyciągają ostatni grosz ciemnemu chłopu, w którym masy pozbawione są wszelkiéj prawie oświaty, mamy odwagę mówić o nadmiarze lekarzy, prawników lub nauczycieli?

Gotowi mi odpowiedziéć na to, że nie dość miéć potrzebę, ale że niezbędne są i środki na jéj zaspokojenie; a skoro kraj jest zbyt ubogim, aby utrzymać potrzebną ilość inteligentnych fachowców, to można mówić o ich nadmiarze. Ale pomijając ekonomiczną niepoprawność tego twierdzenia — gdyż tam, gdzie jest rzeczywista potrzeba, przyzwyczajenie zaspokajania jéj wytwarza się natychmiast, skoro tylko ukaże się realna możność takowego; we wsi, gdzie nikt nie posyłał dzieci do nauki, bo nie było do kogo posyłać, wytwarza się szybko przyzwyczajenie takie, skoro ukaże się nauczyciel; pomijając to, w odpowiedzi téj właśnie odbija się duch zupełnie obcy duchowi inteligencyi. Jedno z dwojga: albo lekarze, adwokaci, nauczyciele i t. d. są jednocześnie inteligencyą kraju, albo są tylko rzemieślnikami.

Instynkt samozachowawczy — obawa współzawodnictwa każe rzemieślnikowi przestrzegać, aby gałąź, którą on uprawia, nie była przeludnioną, ale przedstawiciel inteligencyi powinien pragnąć jak największego wzrostu sił umysłowych kraju. Jeśli więc gdzieśkolwiek ludzie należący do téj gromady, którą nazywają zwykle inteligencyą, a powodowani jedynie nizką obawą o własne stanowisko, idąc za głosem instynktu samozachowawczego, zapominają o téj drugiéj stronie, wynikającéj z podwójnéj ich roli, jako fachowców i inteligencyi zarazem, — wymazują siebie z szeregów téj ostatniéj.

Zachowanie się takie inteligencyi, świadcząc o przejęciu się jéj myślami i uczuciami klasy przemysłowéj, która wogóle wyciska piętno swoje na społeczeństwach dzisiejszych, wyróżnia jednak tak zwaną inteligencyę od wszelkich innych gromad rzemieślniczych jedną osobliwością. Szewc nie będzie się troszczył o nadmiar w kraju sto-

larzy, ani stolarz o nadmiar krawców. Dla każdego rzemieślnika nieobojętném jest tylko przeludnienie w jego własnéj gałęzi produkcyi. Przeciwnie u nas, głosy alarmu o nadmiar sił intelektualnych skierowane nie były przeciwko pojedyńczym rzemiosłom, których przedstawicieli zaliczamy zwykle do inteligencyi, ale przeciwko nadmiarowi inteligencyi wogóle.

Mamy więc tu objaw kastowości. Gromadka ta społeczna czuje, że przywileje, z których korzysta, zawdzięcza nieliczności swojéj, i dlatego tak zazdrośnie dba o to, by jéj wielkość nie urosła nad miarę. Obawa taka świadczy o poczuciu nieproporcyonalności pomiędzy temi przywilejami a pracą, lub ofiarami, składanemi na korzyść społeczeństwa. Istotnie, stanowisko „inteligenta“ w naszém społeczeństwie pojmuje się jako mniéj więcéj niekłopotliwa synekura, do któréj prowadzi stroma i przepaścista ścieżka wykształcenia średniego i wyższego, najeżona egzaminami i innemi podobnemi trudnościami. Skoro młodzieniec raz przebył tę trudną drogę i pozyskał patent uniwersytecki, uważa on za rzecz najsłuszniejszą w świecie, aby już za to społeczeństwo udzieliło mu spory kawał chleba publicznego, nie pytając nawet o to, jak będzie pełnił powinności swoje. Nauka nie jest uważana za cel dla siebie saméj, nie jest poszukiwana dla tego kształcącego i uszlachetniającego wpływu, jaki wywiera na umysł i charakter; widzą w niéj ciężką próbę, wiodącą do patentu, a wymagającą odpłaty w postaci synekury lub... posagu. To téż typ studentów, uczących się „dla egzaminów“, jest regułą ogólną; ludzie, oddani nauce, z przejęciem się i zamiłowaniem, chociażby tylko przez krótki czas pobytu swego na uniwersytecie, należą do wyjątków.

Jeśli z jednéj strony obawa o utratę uprzywilejowanego stanowiska, każe inteligencyi zamykać się przed przypływem nowych sił, to z drugiéj znów granica pomiędzy inteligencyą a innemi uprzywilejowanemi klasami społeczeństwa zaciéra się prawie zupełnie. Ostatecznie pod nazwę inteligencyi zaczynamy podciągać wszystkich ludzi, posiadających pewne ekonomiczne położenie, pewne koligacye lub stosunki, wreszcie pewną zewnętrzną ogładę towarzyską, mniéj lub wcale nie zważając na stopień wykształcenia, nie mówiąc już o innych cechach prawdziwéj inteligencyi. Pojęcie „inteligencyi“ i „towarzystwa“ zlewa się w jedno, a wielu sądzi naiwnie, że to ostatnie stanowi nietylko najlepszą część społeczeństwa, ale jedyną, o któréj mówić warto, słowem świat cały.

Takie zlanie się inteligencyi z uprzywilejowanemi w innych względach warstwami społecznemi, nie będąc sprzeczném z zaznaczo-

ném wyżéj poczuciem kastowości, — gdyż warstwy, które zalicza do swego grona inteligencya nie są dla niéj niebezpiecznemi—świadczy— również jak i to poczucie, że inteligencya, zatraciwszy zmysł obowiązków swoich względem społeczeństwa, zachowała tylko pragnienie utrzymania przywilejów, które według idei powinny być jedynie następstwem obowiązków;—że zarówno gorliwie powstaje ona przeciwko wszystkiemu, co zagraża uszczupleniem tych przywilejów, jak znowuż z drugiéj strony poczuwa się do solidarności z wszystkimi, którzy, dzięki jakimkolwiekbądź innym przyczynom, mają uprzywilejowane stanowisko w społeczeństwie.

Zlanie się inteligencyi z uprzywilejowanemi klasami społeczeństwa powoduje, jeśli nie świadome przejęcie się interesami tych klas, to przynajmniéj większą na nie wrażliwość, a w ten sposób czyni warstwy inteligentne stronnemi, przychylnemi właśnie dla tych gromad społecznych, których i bez tego korzystne położenie najmniéj podobne wyszczególnienie usprawiedliwia.

Przychylność ta i czułość objawia się szczególniéj w zachowaniu się inteligencyi wobec zbrodniarzy i żebraków, wychodzących z jéj grona. Posuwamy niekiedy litość swoją dla pierwszych po za wszelkie granice przyzwoitości moralnéj, nietylko nazywając „nieszczęściem“ zbrodnię popełnioną z zimnéj rachuby, dla zysku lub rozpusty,—kiedy tuż obok bez namysłu i litości potępiamy wynikające z rzeczywistego nieszczęścia, z braku oświaty, z nędzy materyalnéj i moralnéj przestępstwa,—ale otaczając zbrodniarzy jakąś niezwykłą opieką, jeśli nie aureolą męczeństwa [1]).

Toż samo daje się widziéć w stosunku do żebraków inteligentnych, lub tak zwanych inteligentnych. Kiedy bez namysłu odwracamy się od żebraków zwyczajnych, lub nawet robimy na drzwiach napisy: „przeciw żebractwu!“, a w najlepszym razie pozbywamy się ich groszowym datkiem,—wstydzimy się zbyć kilkunastoma kopiejkami żebraka przyzwoicie ubranego.

Nie możemy więc przyznać téj warstwie, która nazywa siebie

---

[1]) Nie potrzebuję chyba tłómaczyć, że nie przeciwko ludzkiemu obejściu się z więźniami i zbrodniarzami występuję, w imię surowości, ale przeciwko nierówności w tém obejściu się, w imię sprawiedliwości: przeciwko tym przywilejom, które nie opuszczają nawet i zbrodniarza, pochodzącego z uprzywilejowanéj klasy. O ile słuszną jest nazwa nieszczęśliwego, zastosowana wogóle do zbrodniarza, o tyleż niesłuszną jest, jeśli przez nią wyróżniamy tego, który dotąd, będąc w lepszych warunkach bytu, mniéj miał pobudek do zbrodni, a więcéj wpływów takich, które go od niéj ochronić mogły.

„inteligencyą“, aby była rzeczywistą inteligencyą całego społeczeństwa, ażeby stała ponad pojedyńczemi warstwami i gromadami tego społeczeństwa, przedstawiając myśl ogólnie-postępową, nie stronniczą.

Ale czy wogóle warstwa ta przedstawia myśl, czy widzimy w niéj przejęcie się interesami umysłowemi, chęć doskonalenia się, pracę nad sobą?

Zaznaczyliśmy już, że jeszcze na ławce uniwersyteckiéj młodzieniec przyzwyczaja się widziéć w latach nauki czas próby, prowadzący do pożądanego celu — patentu i towarzyszących mu przywilejów, wśród których niepoślednie miejsce zajmuje prawo odrzucenia książek i wytrzęsienia z głowy tego, czego się uczył dla egzaminów.

Pozyskawszy patent, młodzieniec taki uważa siebie za skończonego, i jeśli w czasie pobytu na uniwersytecie, sta rał się jeszcze o wykształcenie siebie w kierunku ogólnie ludzkim, po za studyami fachowemi, to teraz zwykle uważa wszelką dalszą pracę nad sobą w tym kierunku nietylko za zbyteczną, ale za ubliżającą godności jego jako człowieka dojrzałego.

-- Kiedyż już przestaniemy kształcić siebie? — takie pytanie daje się bardzo często słyszéć w odpowiedzi na propozycyą poruszenia w jakiśkolwiekbądź poważniejszy sposób zagadnień swego czasu. Nietylko wykazuje się tu brak zupełny pojmowania téj niezaprzeczonéj prawdy, że człowiek inteligentny powinien kształcić siebie przez całe swoje życie, że od chwili, gdy przestaje iść naprzód, zaczyna się cofać; ale w odpowiedzi téj brzmi jakaś dziwnie dziecinna nuta: jak gdyby jakaś zewnętrzna oznaka lub epizod w życiu mogły służyć za oznakę zakończenia takiéj, w gruncie nieskończonéj sprawy, jak wykształcenie siebie lub doskonalenie się moralne.

Najlepsi z inteligencyi ograniczają się do czytelnictwa w swoim fachu, t. j. dbają o utrzymanie lub dalszy rozwój swoich zdolności, jako rzemieślników, zapominając zupełnie, że nietylko uczonymi rzemieślnikami, ale mają być inteligencyą kraju. Większość nie czyta nic, oprócz kuryerków i dzienników.

Ta specyalizacya rzemieślnicza nietylko ogarnia rozmaite uczone zawody; wdziera się ona do samego ogniska inteligencyi, do literatury. Mamy coraz więcéj specyalistów i uczonych i coraz mniéj pisarzy pośród literatów.

Nie potrzebuję wreszcie powtarzać tego, co już zaznaczyłem, że najmniéj poczuwamy się do obowiązku bezinteresownego służenia idei, poświęcenia spraw osobistych przekonaniom. Z inteligencyi

naszéj staramy się tylko zrobić podnóżek do stanowiska ekonomicznego.

Gdy w społeczeństwie jakaś klasa lub stan utracą rzeczywistą racyę swego bytu, utracą świadomość powołania swego, zachowując zewnętrzne oznaki i przywileje, odpowiadające temu powołaniu, stan ten rzeczy może trwać przez jakiś czas; lecz pierwsza burza, pierwsze wstrząśnienie społeczne zmiata ową pozbawioną rzeczywistego związku z narodem i zbyteczną klasę. Tak było przed stu laty z dwoma wyższemi stanami we Francyi, których przedstawiciele tém usilniéj chcieli korzystać z przywilejów swego położenia, im mniéj pamiętali o wynikających z niego obowiązkach.

Przewidywania podobnego niebezpieczeństwa dla inteligencyi dzisiejszéj dają się słyszéć nie od wczoraj; wynurza je na swój sposób bohatér Sienkiewicza, którego słowa przytoczyliśmy wyżéj:

„Chwilami jednak miewam półjasne poczucie jakiegoś ogromnego niebezpieczeństwa, które grozi całéj kulturze. Fala, która nas spłucze z powierzchni ziemi, zabierze więcéj, niż ta, która spłukała świat pudrowanych peruk i żabotów. Prawda, że i tamtym ludziom, gdy ginęli, wydawało się, że wraz z niemi ginie cała cywilizacya.“

Dyletantyzm i lekkomyślność Płoszowskiego nie pozwalają mu zagłębiać się daléj w tę myśl; ale spotykamy ją nietylko u powierzchownych pisarzy-dyletantów — dość jest przeczytać np. przedmowę Scherra do jego „*Rothe Quartal*“, z po za wierszy któréj wygląda zimny pot i najeżony włos wstrętnego strachu egoistycznego, lub w szlachetniejszym tonie utrzymane, bo znacznie wcześniéj pisane kartki o czerwcowych dniach, w jego „*Komödie der Weltgeschichte*“,— ale wynurzają obawę tę i myśliciele poważni, którym idzie zarówno o interesy sprawiedliwości, jak i cywilizacyi. A. Lange, mówiąc o walkach idei i interesów, nurtujących obecnie społeczeństwo, wypowiada smutne, lecz oparte na dziejowém doświadczeniu przypuszczenie: „Jeśli nawet przyjdzie do zawalenia się w gruzy obecnéj kultury naszéj, wówczas ani żaden istniejący kościół, ani témbardziéj jeszcze materyalizm nie odziedziczy spadku — tylko z jakiegoś tam zakątka, o którym nikt ani myśli, wypłynie coś arcy-bezmyślnego (jak księga Mormonów, albo spirytyzm), z czém następnie zleją się zostające w obiegu wyobrażenia epoki i może na tysiącolecia wytworzą środkowy punkt powszechnego systematu myślenia“ [1]).

---

[1]) „Historya filoz. mater.“ t. II, str. 471—472, polsk. przekładu.

Wprawdzie rozpaczliwe te przewidywania w zakresie myśli i wierzeń, łagodzi on pięknemi nadziejami na polu zasad praktycznych, gdy mówi (w końcu ostatniego rozdziału):

„Czy bitwa ta (którą stoczyć mają przewrotowe żywioły na polu kwestyi społecznie ekonomicznéj) potrząśnie tylko umysły, nie powodując krwi wylewu, czyli téż nakształt trzęsienia ziemi, rzuci w proch przy blasku piorunów zwaliska ubiegłéj epoki dziejowéj i zagrzebie miliony ludzi pod gruzami, to pewne, że nowa era odniesie tryumf nie inaczéj, jak pod godłem wielkiéj idei, która zmiecie egoizm, a jako cel do osiągnięcia wystawi doskonalenie ludzkości w związku społecznym, na miejsce jedynie egoistycznych pobudek do wewnętrznéj pracy.“

Przeznaczeniem inteligencyi starać się zapobiedz niebezpieczeństwu rzucenia się na oślep w objęcia zabobonu w dziedzinie myśli i wiary, a złagodzenie walki na polu zasad praktycznych, uczynienie jéj niekrwawą, osłabienie namiętności ścierających się stronnictw przez utorowanie drogi nowym ideom i sprawiedliwym żądaniom spokojną i bezstronną ich oceną.

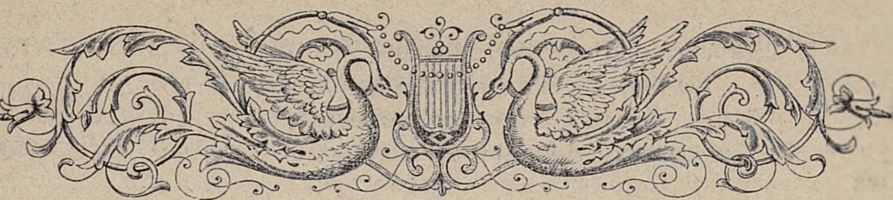
Nie zespalać się z pojedyńczemi klasami, których interesy są w gruncie rzeczy jéj obce, powinna inteligencya, nie oddawać się służalczo w ich rozporządzenie, nie bronić i nie starać się ocalić tego, co już osądzone przez dzieje i ocalić się nie da, ani na to zasługuje, lecz usiłowania swoje skierować ku temu, aby wraz z przeznaczoném na zagładę nie zginęło i to, co ma prawo do życia i co warte jest ocalenia—idealne dobra kultury. Oddzielenie tych dóbr od wszelkich interesów klasowych, wyniesienie ich po za walkę klasową lub stanową, przez szczere przyjęcie haseł postępu społecznego, o ile odpowiadają wymaganiom sprawiedliwości, nie zaś pragnieniom pojedyńczych klas; przez usunięcie siebie, jako nosicielki, twórczymi i piastunki tych dóbr, od wszelkich sztucznych i nienaturalnych związków z pojedyńczemi warstwami społecznemi;—takie jest zadanie dzisiejsze prawdziwéj inteligencyi.

„Zwycięstwo nad rozszczepiającym egoizmem i nad zabójczą obojętnością serc odnieść może tylko wielki ideał, który, jak „cudzoziemiec z innego świata“, ukazujący się pośród zdumionych ludów, domaganiem się niemożebności poruszy rzeczywistość jéj zawiasów“, — powiada Lange [1]). Inteligencya powinna być kapłanką tego ideału.

Świat pudrowanych peruk i żabotów błądził zapewne, sądząc

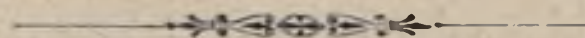
---

[1]) „Hist. filozof. materyalist.“, t. II. str. 505.



Z PIEŚNI III POEMATU

„BEZSENNE NOCE."



....Dawno to było!.. Lat... Mniejsza o lata! —
Dość wam, że czasów nie sięgam przedwiecznych
I, choć fantazya moja jest skrzydlata,
Dziś nie uleci do krain słonecznych,
Ani z tęczowych barw wieńce posplata,
Ni się wałęsać będzie wśród dróg mlecznych —
Najprozaiczniéj tylko rym mój powie:
Było to dawno temu — w Berdyczowie.

Znacie Berdyczów?.. Geografii karta —
A dodać muszę — bardzo szczegółowa,
Powié: że jest to mieścina nic warta,
Choć w niéj się żydów sto tysięcy chowa —
Że, z poczestnego miejsca dziś wyparta,
Zewnętrzną szatą może jednakowa,
Ale z dawnego ruchu, życia, gwaru
Nic nie zostało — oprócz lat ciężaru.

Odrębna domów tu architektura
Zadziwia nieraz, lecz razem rozśmiesza:
Główną ozdobą facyaty jest dziura,
Okna kształt mają dwóch tablic Mojżesza,

Przed niemi zawsze różnych śmieci fura,
    Na śmieciu znowu gdakająca rzesza
Kur... Okiennice o podwójném skrzydle
Świecą nieznaną barwą w malowidle.

Ile kamienic, tyle przy nich drabin,
    Na nich spódnice wiszą i piernaty —
Najdostojniejszą osobą jest rabin,
    Najozdobniejsze są cebuli kwiaty —
Najwięcéj wstrętu wzbudza tu karabin.
    Który czasami żydkom łamie gnaty —
To téż, gdy przyjdzie strach: wojskowy pobór —
Wojak do gnoju chowa się wśród obór.

Gród się ożywia, gdy na miasto wpłynie
    Orszak weselny z krzykiem a muzyką.
Pochodnie płoną, noc wśród blasków ginie,
    Bas drze ci uszy, klarnet skrzypi dziko
I więcéj ducha dodaje drużynie —
    Niepowołanych straż rozpędza tyką:
— „If! uf!“ brzmi kołem, świéci się las mycek —
To *szajne* Taube, bierze *rejcher* Icek.

Nie szukaj tutaj hotelów... Hotelem
    Jest każdy zajazd z bramą jak w oborze.
Najpożądańszym *meszurésa* celem,
    To — złowić ciebie; gdy złowić nie może,
Przynagla wówczas szczególnym fortelem:
    — „Gdzie pan zajedzie?.. Do Jojny? — broń boże!
Tam pcheł jak maku! — Do Mejra?.. Co z Mejrem? —
Tfu!.. tam paskudna choroba — pod chejrem!“

Gdy pcheł się lękasz lub brzydkiéj choroby,
    Nawracasz konie, gdzie zajazd Dawida.
Tam już czekano d o s t o j n é j o s o b y:
    Samowar gada — ruda postać żyda
Wtłacza się: — „Może czego z garderoby
    Trzeba?“ — Wypędzasz — na nic się nie przyda!
Jest drugi, trzeci... Gwałt! — Uszy zatykasz,
Albo, kupiwszy paczkę laku — zmykasz.

Lecz na ulicy znów żydek usłużny
Stąpa za tobą, niby duch zaklęty,
Nic ci nie zrobił, a przecieś mu dłużny —
Nie znasz go — co tam! daremne wykręty!
On wié: że jaśnie wielmożny podróżny
Człeka nie skrzywdzi. Stajesz zagabnięty,
A on, chcąc głębiéj w kieszeń twą się wdeptać,
Zaczyna o czémś niemoralném szeptać.

Datkiem wydartym pozbywszy się krzyża,
Wracasz do domu niby lis stropiony.
Lecz oto, — chwila wyjazdu się zbliża,
A chciałbyś przywieść coś z miasta dla żony—
Idziesz do sklepów.—Hm! wszystko z Paryża—
Szczotki, lak, buty, nawet pantalony—
Ceny okrutne... Godzicie się wreszcie,
I paczkę szpilek przywozisz niewieście.

Bruków nie szukaj. Chyba dla zabawy,
Albo na febrę chorzy, jeżdżą brukiem.
Berdyczów znany tylko z dawnéj sławy,
Kiedy to szlachcic przyjeżdżał z hajdukiem
Przez gospodarskie pociągnięty sprawy
Na „Onufrejski jarmark“. Białym krukiem
Dziś jarmark taki — nie mówię na ślepo:
Z Turcyi wielbłądy szły, konie z Alepo.

Prawda, że czasem przez żydków osmagan,
Chmyz domorosły arabem się zdawał—
Po targowicy hasał jak huragan,
Że się niejeden panek wziął na kawał.
Tu Pers rozkładał swój wzorzysty stragan,
Gdzie jedwab' lśniący i atłas sprzedawał—
Tam Grek uprzejmy, z pochylonym grzbietem,
Częstował ajwą białą lub sorbetem.

Winogronami dromadery juczne
Wiódł przez ulice kosooki Tatar —
W miejskich ogrodach grzmiały ognie sztuczne,
Na mieście wszyscy, chyba kogo katar

Zatrzymał w domu. Uczty gwarne, huczne
 Brzmiały weselem, żeś aż dłonie zatarł,
Tak cię ujęła grzeczność gospodarska,
Panie jak łanie były, młodzież dziarska.

Między wszystkiemi miasta ulicami
 Prym miała „Złota“. Jeżeliś był stratny,
Mogłeś się cały okryć brylantami
 U Marcińczyka... (Jubiler to zdatny
Był i miał wielki mir między panami —)
 Tu cię Szafnagla nęcił sklep bławatny,
Tam Mińkiewicza cukiernia. Czas leci —
Ulica Złota dziś nie złotem świeci.

Wrzał gród od krzyku, wołań, rżenia koni,
 I inne barwne nastręczał obrazki.
Apolinary lub Kątski Antoni
 W teatrze złoto brali i oklaski.
Dzisiaj wspomnienie tylko po nich dzwoni,
 Berdyczów wypadł z cnéj fortuny łaski:
Odesa, Kijów oddały wet za wet —
Sic transit gloria — Berdyczowa nawet!

Krótko tu kreślę miasta dawne rysy,
 Bo naprzód pędzi mój Pegaz zuchwale.
Dzisiaj, Berdyczów jak staruszek łysy.
 O przeminionéj marzy tylko chwale.
Zniknęły szyldów przesławne napisy,
 Jeden pamiętam tylko doskonale:
„Tu mieszkają dwaj bracia—obydwaj rzeźbiarzy,
„Jeden rżnie na kamieniu—drugi gdzie się zdarzy“

Zniknął gdzieś piękny „Futor Matyzego“,
 Który się sławił woniejącą mokką —
Piłem ją... Boże! jak te lata biegą,
 Jak mi coś w sercu zajękło głęboko,
Gdym rzucił myślom pytanie: dlaczego?
 I wzrok oparłem na niebie — wysoko...
Młodości!... Darmo wołam cię — daleka!...
A noc uchodzi i poemat czeka.

---

[1]) Przepisano dosłownie.

Nie wszystkom widział własnemi oczyma,
    Lecz, gdy do dziecka pamięci coś wpadło,
Dotąd tam jasnym obrazem się trzyma.
    W chwilach bezsennych, gdy serca wahadło
Drży niespokojnie, a posępna zima
    Rozwieje białe śniegów prześcieradło:
Czasem dźwięk jakiś z dawnych lat posłyszę
I, nie wiem po co, oktawami piszę.

Z chwil najszczęśliwszych, najszczęśliwsze chwile,
    Gdy myśl schwycona w rytmy się układa.
Latają mary senne, jak motyle,
    Każdy wiersz nowy do mnie pieśnią gada—
O strofy nie dbam, na rym się nie silę—
    Ten—niegwałcony—na mnie deszczem spada,
Nieraz odpędzam rymów nawałnicę
I — odganiając — po sto naraz schwycę.

Z nocy bezsennych macie dziś urywek,
    Który mi fala pamięci przyniosła:
Nie dostrzeżecie tu niewieścich grzywek,
    Nie posłyszycie pluchotania wiosła,
Ani przed oknem wstrzyma się koń siwek,
    Na którym postać młodzieńca wyniosła
Do szybki stuka... Niezłyć to temat;
Lecz dziś miłością nie zgrzeszy poemat.

Jakkolwiek i tu bywały wypadki,
    Że się kochała w Pompiliuszu Numa —
Ja sam... Pst! — Wypadł jakiś rym nie gładki,
    Lecz się nie boję, zaraz się pokuma:
Polecą na was róże i bławatki,
    I może czoło pochyli zaduma,
Może — gdy nagle zmilkną rymy wieszcze,
Powiecie: czemu on nie śpiewa jeszcze?

Wierzcie mi, że myśl taka jest pociechą,
    Pokrzepia siły, zgasłą wiarę budzi;
Pod najbiedniejszą śmiech zadzwoni strzechą,
    Gdy się wie, że się ma serce u ludzi,

Że pieśń wylana bratnie znajdzie echo,
Że, gdy poklasku nie zyska — nie znudzi,
I gdy umilknie kiedyś arf śpiewanie,
W czyjéjś tam piersi jeden dźwięk zostanie.

Lecz... Przebóg!... gdzie mój poemat?... Na błędne
Jak widzę, dzisiaj, zaszedłem manowce —
Ach! temu winne rymy nieoględne
I zapomniane rozwagi pokrowce,
Które czasami wieszczom są niezbędne,
Jak psy pasterskie, co zganiają owce
Do kupy razem... O czém była mowa?...
A! o minionych czasach Berdyczowa.

Pamiętam jeden jarmark onufrejski,
O jakim dzisiaj już tylko wspomnienie
Zostało marne. Dla mnie czarodziejski
Był dzień ów—dotąd czuję jego tchnienie—
Nadpłynął wieczór, uśpiony tłum miejski
Przycichł, a blade księżyca promienie
Wśród pustych ulic błądziły i na tło
Szarawych murów kładły białe światło.

Umilkł gwar miasta... Z targowicy czasem
Dobiegło rżenie dzikiego rumaka —
Stróż nocny w deskę uderzył z hałasem,
Czasem gdzieś huknął pijak zawadyaka
I poturbował żyda za szynkwasem;
Lecz wreszcie wszystko umilkło. Noc taka
Cicha, spokojna — srebrny sen u progu,
Że chce się kochać, albo modlić Bogu!

W dali szumiały fale Gniłopiadu,
Który leniwo toczył mętne zdroje —
W błotach gdzieś żaby śpiewały bez ładu,
Ponad powierzchnią fal komarów roje
Dzwoniły. Lubię brzęk tego owadu,
Gdy w wieczór letni bije w skrzydła swoje
I plącze koła w mgliste tiulów szarfy,
I cicho, sennie śpiewa, jak brat arfy.

Siedziałem w oknie. Urocza, czerwcowa
    Noc legła ciszą na przyrody łonie.
Księżyc osrebrzał domy Berdyczowa,
    Patrzał w wód głębię; w obłoku nie tonie
Blask jego, ani za chmury się chowa,
    Bo te spokojnie spoczęły na stronie —
Zagasły światła miejskie, tylko mała
Lampka — w pokoju, gdzie byłem — mrugała.

Ojciec mój siedział w wygodnym fotelu,
    Ciągnąc poważnie wonny dym z antybki —
Matka po sali chodziła bez celu —
    Pamiętam dobrze każdy ruch jéj gibki...
Chodziła — ot, tak jak to czyni wielu
    Przed snem. Wtém, nagle dźwięk przeleciał szybki
Zdaleka... W cichém powietrzu zabrzmiały,
Jak skrzydła musze, jękliwe cymbały.

I zadzwoniła milcząca ulica
    Przedziwną nutą i dzwoni wciąż głośniéj...
Cichych pasażów szybko błyskawica
    Drgnęła, zabrzękły akordy donośniéj...
Nagle wybuchła tonów nawałnica,
    Krzyknęły struny wszystkie — i pieśń rośnie
Wielka, potężna; — żaden dźwięk nie ginie,
Na skrzydła wiatrów siada — i w dal płynie.

Gdzie mistrz? Nie widać — tylko dźwięki rosną
    I rozperlają się na wszystkie strony;
Pieśń się wypełnia, dzwoni wspomnień wiosną...
    Ach! takim szeptem szumi gaj zielony,
Takim szelestem dąb rozmawia z sosną,
    Takim akordem biją wiejskie dzwony,
Ze zgrzytem takim ludzkie życie pęka...
Słyszę pieśń wielką — gdzież jest mistrza ręka?

Środkiem ulicy szedł żyd, niósł cymbały
    Przed sobą i grał. Dziś go dobrze pomnę —
Wiatr mu na czole włos rozrzucił biały,
    Oczy miał senne, rzekłbyś — nieprzytomne;

Drążkami trącał o struny — te drżały,
A z drżeń tych dźwięki płynęły ogromne.
Wiem, że już dzisiaj nikomu się nie śni,
By w Berdyczowie był taki król pieśni!

Lekko powietrza kołysane tchnieniem,
Chwiały się długie na skroniach kędziory;
Na złotych gwiazdach zawisnął spojrzeniem,
Zkąd czasem skrami błysną meteory
I z tajemniczém zagasną milczeniem.
Tak chodzić muszą tych wieszczów upiory,
Co porzucili ziemię z wielką ciszą —
Tylko, że ludzie ich pieśni nie słyszą.

Stąpał powoli, a za nim powoli
Snuł się cień długi, ziemskich duchów brzemię —
Pieśń drżała cichym szelestem topoli,
Z jakiémś rzęrzeniem zapadała w ziemię;
Płakały struny, że tak pieśń ich boli,
Że nie rozumié jéj żyjących plemię —
Ciszéj — wciąż ciszéj... Raz jeszcze zajękła —
Nagle się tony urwały... Pieśń pękła! —

Pękła — tuż, przy nas, którzy zasłuchani,
Staliśmy, tonąc w zgodnym dźwięków rymie.
Nikt ciekawości méj matki nie zgani,
Gdy zapytała pieśniarza o imię.
Żyd się zatrzymał. — „Moje imię... pani?“
Zdawało, że się namyśla, czy drzémie —
— „Hm!.. moje imię?..“ Nagle wzrok rozszerzył —
— „Jankiel!“ — rzekł z dumą — i w struny uderzył.

. . . .

Ot! — i noc zbiegła... Blada wspomnień gwiazda
Ostatnie rzuca swe błyski promienne —
Ptak szybkoskrzydły wylatuje z gniazda,
Przez okno blaski wsuwają się dzienne.
Za długą była myśli górna jazda,
Skronie krwią biją i oczy mam senne —
Cichy spoczynku duch dłoń mi podaje...
Mój poemacie — żegnam cię!.. Dzień wstaje! —

Kazimierz Gliński.

Noc 27 listopada 1892 r.

że jest rzeczywiście „światem“, ale kwestye, które go zajmowały, idee, które on wytworzył, sięgnęły daleko po za granice jego własnych interesów, tak daleko, że nietylko go zmiotły, ale rozległy się echem wśród całéj ludzkości. Była to prawdziwa inteligencya społeczeństwa, gotowa w imię prawdy podpisać wyrok, chociażby na siebie; inteligencya, która, jak żołnierz pełniący swój obowiązek, wysadza pod sobą minę; a że lont przykładała do miny z lekkomyślnym uśmiechem, tego jéj za złe brać nie powinniśmy. O ileż wyższą była ta lekkomyślność od naszéj tchórzliwéj oględności!

Odwracamy się z przestrachem, jak od widma, od wszelkiéj myśli przyszłości; poświęcilibyśmy, gdybyśmy mogli, cały świat słoneczny i pozasłoneczny dla drobnych interesów drobnego bagienka, które nazywamy „towarzystwem“. Żadna myśl ogólnie ludzka nas nie porusza i żadna idea nie natchnie do czynu. Płytkość dzienniczków jest odzwierciedleniem płytkości serc naszych.

Jesteśmy niewolnikami mody, murzynami zwyczaju. Poświęcając dla zabawki gimnastycznéj rozumu najistotniejsze podstawy bytu społecznego, trajkocąc w salonach o względności moralnych zasad, nie odważamy się przekroczyć względnych, często śmiesznych i niemoralnych przepisów kodeksu, którego sankcyą najwyższą jest: n i e w y p a d a!

Z wiedzy, ze sztuki, z poezyi, robimy sobie modny strój, w którym paradujemy jedni przed drugimi, nudzimy siebie nawzajem, ażeby pozostawszy sami z sobą odrzucić precz te niepotrzebne konwencyonalne rupiecie, jak się odrzuca ciasny i niewygodny strój balowy... Jakież to ożywienie powstaje w „inteligentnym“ saloniku, gdy na miejsce przymusowych, szablonowo za dziennikami powtarzanych zdań o ostatniéj książce lub sztuce teatralnéj, ktoś rzuci jakiś skandalik, jakąś ploteczkę, dotyczącą bliźniego... Wszystkie „poważne“ rozmowy urywają się w półsłowie, wszystkie oczy zwracają się do mówcy, wszystkie usta gotowe wykrzyknąć: „tak!“ lub „nie!“...

Nie, nie jesteśmy inteligencyą; jesteśmy pasorzytami postępu, strojącymi się w pawie pióra inteligencyi, bo nam się zdaje, że nam z tém jest do twarzy.

Już słyszę zewsząd rzucone pytanie:

— A czy gdzieindziéj lepiéj się dzieje?

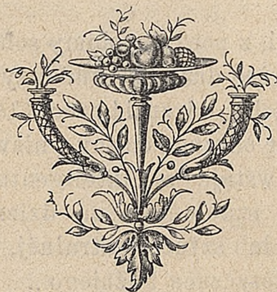
Nie twierdzę tego, ani w zakres zadania mego wchodzi roztrząsanie téj kwestyi. Ale jakże charakterystycznèm byłoby samo zapytanie. Czy nie świadczyłoby ono o tém małpiém usposobieniu, o którém mówiłem przed chwilą?

Czyż mamy odpowiedzieć ujemnie na postawione w tytule pytanie? Czy istotnie nie mamy inteligencyi?

Sądzę, że tak źle nie jest. Mamy zapewne; ale są to nieliczne jednostki rozproszone, najczęściéj usuwające się od tego, co się nazywa „towarzystwem", gdyż czują czczość jego.

To tylko pewna, że na nazwę inteligencyi nie zasługują, ci, którzy się w nią przystrajają i w niéj paradują, że z tego koła, które tak siebie nazywa, tylko drobny ułamek ma prawo do téj nazwy.

Wł. M. Kozłowski.





OKRES RYCERSKO-ROMANTYCZNY W ŻYCIU JULIUSZA SŁOWACKIEGO

(1840 — 1842).

Więc czego woda Letejska nie mogła,
To ona swojém zrobiła zjawieniem:
Że moja dusza na nowe się wzmogła
Loty i nowym buchnęła płomieniem;
A jako pierwszy raz ciało przemogła
I uczyniła swoim wiernym cieniem,
Opowiem.

Smutno mi, Boże! Słowa te, skreślone niegdyś o zachodzie słońca, „sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem“, na morzu Śródziemném, najlepiéj malowały usposobienie Juliusza, odkąd, po wyjeździe z Florencyi w roku 1838, osiadł na stałe w Paryżu.

Jakto? W Paryżu, téj wesołéj, rozpustnéj stolicy świata cywilizowanego, w tym Babylonie nowożytnym, którego atmosfera oszałamiająca, przesycona miazmatami zepsucia i miłości, każe kosztem zapomnienia o życiowéj tragikomedyi pamiętać tylko o horacyuszowskiém *Carpe diem*, w tym lekkomyślnym Paryżu Ludwika Filipa, bywało Słowackiemu „smutno najczęściéj“? Dlaczego? Co powodowało ten *spleen?*

Z mnóstwa przyczyn, jakie się na to składały, najgłówniejszą była niezawodnie samotność. To uczucie samotności i „czczości jakiéjś“, miało bezwarunkowo źródło swe w otoczeniu, pośród którego

poeta zmuszony był się obracać, a które, złożone z ludzi „pełnych zazdrości i głupstw“, niejednokrotnie (i to nader boleśnie czasami) dawało mu się we znaki. Bo wystaw sobie, droga, czytamy w jednym z listów do matki, ludzi zanudniałych, którzy o niczém gadać nie chcą i nie umieją, ludzi, którzy się odłączyli zupełnie od towarzystw, jak wyklęci i żyją między sobą, nudząc się wzajemnie i... kłócąc. W oczach Słowackiego była to „najsmutniejsza garstka ludzi już bez nadziei i bez żadnych prawie wstrząśnień serdecznych“, ludzi, którzy mu się niezdolnymi wydawali „ani uczuć, ani pojąć szlachetnych myśli“, i którzy gniewając się poprostu na widok jego „czystości wewnętrznéj“, robili wszystko, co mogli, aby ich „nienawidził“ [1]).

Na szczęście, jak wszędzie, tak i tu, pomiędzy wychodźcami, nietrudno było o wyjątki, o ludzi poczciwych i zacnych. Do takich należeli: Hipolit Błotnicki, mentor Słowackiego, jeszcze z czasów wileńskich, „uczony literat, pełen spokoju i rozwagi, i wytrawności w zdaniu“; Loman dawny sekretarz jenerała Paca, obecnie sekretarz przy drukarni Eustachego Januszkiewicza, a nadzwyczajny poezyi Słowackiego wielbiciel; Józef Reitzenheim, galicyanin, rodem ze Lwowa; a przedewszystkiém Leonard Niedźwiecki, umysł niepospolity. Bliższą z nimi znajomość, znajomość, która się rychło przeobraziła w przyjaźń serdeczną, zabrał poeta w istniejącym podówczas „Klubie“, zawiązanym w roku 1836, a mającym na celu „uprzyjemnienie z oszczędnością chwil wolnych od pracy“ [2]). Zabawami członków były: czytanie dzienników, pism i dzieł; bilard, gry w karty przez dyrekcyę wskazane inne gry towarzyskie z wyłączeniem bezwarunkowém gier hazardowych, oraz stołowanie się członków oszczędne i wygodne [3]). Klub ten, „pełen dymu i różnorodnych opinii“, a przez członków swoich w mowie potocznéj nazywany poprostu kasynem, albo téż z francuska *cercle*'em, służył Juliuszowi „za rodzaj drugiego mieszkania“. Większa, a przynajmniéj znaczna

---

[1]) Zob. listy z tego czasu do matki t. II. str. 49—79.

[2]) Zmarły w roku zeszłym d. 13 grudnia ś. p. Leonard Niedźwiecki, w liście do autora niniejszéj pracy z d. 12 września 1892 r. na uczynione sobie zapytanie, kiedy i gdzie i wśród jakich okoliczności poznał Słowackiego, pisze, co następuje. „Pytasz, kiedy poznałem Słowackiego? Bardzo łatwym sposobem: Za czasów Ludwika Filipa istniał w Paryżu klub polski, gdzie polacy się schodzili dla rozrywki lub posiłku. I ja, i Słowacki, tego klubu byliśmy członkami; więc widywaliśmy się ciągle.

[3]) Zob. Ustawy Towarzystwa polskiego (wydrukowane po polsku i po francusku) art. 13. Członkowie stali płacili wstępnego fr. 9 i następnie corocznie po 36 fr.

część dnia, upływała mu tam „z kolegami“, bądź na pogawędce *de omnibus rebus*, bądź „na graniu w wista“, bądź na czytaniu dzienników w *Salon de lecture*, gdzie leżały na stole oprócz wielu gazet francuskich, wszystkie wychodzące podówczas pisma polskie.

Wieczorem teatr. albo siesta w kawiarni.

Do zwykłych także a często praktykowanych rozrywek, należało „gawronienie się“ po bulwarach, przy świetle rewerberów gazowych, mających wtedy taki sam urok nowości, jak dzisiaj światło elektryczne. Przechadzki takie, we dwóch lub trzech, z cygarem w ustach, *à la Dandy*, miały w Słowackim wielkiego zwolennika.

Zdarzało się też, że zapraszał do siebie niektórych swoich przyjaciół, jak np. Niedźwieckiego lub Reitzenheima, i czytał im swoje utwory. Tym sposobem zapoznał się Niedźwiecki z Beatrix Cenci; a Reitzenheim z Janem Kazimierzem, tragedyami, z których jedna zarówno, jak i druga powstały w tych właśnie czasach.

Albowiem nie godzi się zapominać, że była to epoka, w któréj twórczość Juliusza dobiegała swego kulminacyjnego punktu, epoka, w któréj wydane zostały Trzy poematy, Dantyszek, Balladyna i Mazepa (Anhelli wyszedł jeszcze przed przybyciem poety do Paryża) a w któréj, oprócz wspomnianych wyżéj tragedyi o Beatrix Cenci i Janie Kazimierzu, powstała Lilla Weneda, poprzedzona, tak samo, jak Balladyna, przepięknym listem do autora Irydiona, jednym z najpoetyczniejszych, jakie napisano kiedykolwiek.

List ten, rozdzierający swoją prostotą, rozmarzający swoją melancholią, a pełen bolesnych napomknień o „zimnym świecie słuchaczy“, o „chłodzie“, powiewającym „na czoło od twarzy ludzkich“ podyktowała Słowackiemu obojętność, z jaką wśród ogółu spotykały się jego poezye, nie mówiąc już o niesumienności i uprzedzeniu krytyków, którzy należąc przeważnie do obozu mickiewiczowskiego, wszystko, co się tylko ukazało na widok publiczny, nazwiskiem Juliusza Słowackiego opatrzone, potępiali ryczałtem i „ze złą wiarą“. Pod tym względem istotnie zadziwiająca panowała między „tą ciemną zgrają“ jedność: wszyscy, jak jeden mąż (orkiestry zaś téj dyrektorem był Stefan Witwicki) zdawali się w krytykowaniu jego utworów, któremi ich zasypywał, niewysłowioną znajdywać satysfakcyę: najlepszy dowód, że mu zazdrościli jego talentu poetyckiego, jego stylu „brylantowego“, jego języka barwnego, jego mistrzowskiéj formy wiersza. Pośród téj szaréj gawiedzi poetów *minorum gentium* (a ci bywają najzjadliwsi, jako krytycy) oraz wszelkiego rodzaju mierności literackich, tworzących jakby krzy-

kliwy chór, z samych szczygłów i gilów złożony, ukraińskich i nieukraińskich, on jeden był prawdziwym słowikiem... Mimo to przeświadczenie, „kruszyło się w nim serce smętne“, że on tylko jeden nikogo nie ma, coby go słuchał, nikogo, oprócz Zygmunta i kilku przyjaciół bliższych, że on tylko jeden, jak ów harfiarz grecki z wyspy Scio, śpiewa „pustemu morza brzegowi“, kiedy inni, gorsi od niego, pośledniejsi o wiele, jak np. Henryk Rzewuski lub Michał Czajkowski, cieszą się uznaniem powszechném, są czytani, ba, uwielbiani [1]).

Ażeby się im nie dać dłużéj wyprzedzać i zdobyć sobie ostatecznie jakiś poklask, postanowił, jak powiada, „zejść ze swojéj podstawy, aby mu przyznano, że jest na niéj“, i skłonić tych, którzy nigdy nie oddali mu odkłonu „by przed dziełem jego w końcu uchylili czoła“. W tym celu, idąc za wskazówkami Krasińskiego, który mu wciąż doradzał [2]), ażeby „granit rzucił pod swoje tęcze“, spróbował nagle — po napisaniu Lilli Wenedy i Beatrix Cenci — przerzucić się od idealizmu, bujającego w mglistych krainach fantazyi, do realizmu, do realizmu Pana Tadeusza i Pamiątek Soplicy. Wiedział wprawdzie, że dotychczas, ile razy, „zetknął się z rzeczywistemi rzeczami, opadały mu skrzydła i był smutny“; widząc jednak, że „innych widm, innych kolorów, innych potrzeba obrazów“, zdecydował się, jakby powiedział Mickiewicz, z hymnu zstąpić do prostéj powieści.

Pierwszą próbą na tém polu były napisane prozą Preliminarya Peregrynacyi do Ziemi Świętéj J. O. Księcia Radziwiłła Sierotki drukowane w poznańskim Tygodniku literackim [3]); drugą zaś awanturnicze przygody Imci Pana Maurycego Kazimierza Zbigniewa Beniowskiego, przygody rycersko-romantyczne, w stylu ariostowego Orlanda szalonego, które wycyzelowane w kunsztownéj formie oktawy, jak Don Juan Byrona, a nadto okraszone sporą dozą soli attyckiéj w dowolnych wyskokach i dygresyach, powinny ostatecznie—tuszył poeta—zwrócić nań uwagę ogółu [4]).

---

[1]) Zob. List do Jana Weisberga w Krakowie z d. 14 maja 1839 r. (Kronika rodzinna z r. 1882 str. 12).

[2]) Zob. Listy Z. Krasińskiego t. III str. 3—16.

[3]) Do tegoż czasu (pierwsza połowa roku 1840) odnieść należy, mojém zdaniem, powstanie dramatu „Złota czaszka“.

[4]) Z prac krytycznych o „Beniowskim“ najobszerniejszą i do pewnego stopnia wyczerpującą jest p. Józefa Kotarbińskiego: Byrona „Don Juan“ i Słowackiego „Beniowski“, rzecz wygłoszona najprzód w Krakowie, w formie odczytu, a następnie drukowana w „Ateneum“, w zeszytach: kwietniowym (str. 8—45) i majowym (str. 264—307) z r. 1889. W Warszawie był „Beniowski“ (prawie w ca-

Pracując nad tym na wielkie rozmiary „Jerozolimy“ Tassa zakrojonym poematem, przypominał sobie (bo jak się sam przyznał do tego, „nie tworzył prawie nic, lecz przypominał“ [1]), przypominał sobie różne sceny ze swego życia we Florencyi, skąd go niedawno doszła bolesna wieść o nagłéj śmierci panny Anieli Moszczyńskiéj [2]). A choć opuszczając niedawno uroczą stolicę Toskanii, czynił to z żalem pewnym i głównie ze względu na swoją Florentynkę, swoją Fornarinę— jak nazywał pannę Anielę— o którąby się może oświadczył nawet jéj ojcu, gdyby nie przeświadczenie, że byłaby go „odrzuciła“; to przecież dowiedziawszy się, że umarła, zapomniał o urazie, jaką miał do niéj, jak i o tém zarówno, że „cała ta awantura zostawiła mu tylko gorycz w sercu [3]) i niepewność, czy się zeń nie urągano przypadkiem“, i chętnie przywodził sobie na pamięć jéj rysy, jéj oczy czarne „skier pełne“, jéj włosy *à l'antique* „długie, w róg zwinięte“, jéj rączkę „piękną, maleńką i białą“... [4]).

— Ileż razy teraz, chodząc po ciemnych alejach tutejszego ogrodu [5]), zdaje mi się, że mi ona drogę zachodzi, że się jéj cień rumieni i, spuszczając oczy przedemną, pyta: dlaczegoś mię nie kochał? Śmierć ją upiększyła w moich oczach.

Tak „pisząc sobie i bazgrząc różne awantury i przywidzenia“ z czego taka dlań wynikała korzyść, że mu „życie złociły i różnemi okrywały tęczami“, odrywał się myślą od tego padołu realności ziemskich, do których się nigdy dostroić nie potrafił, i cieszył się, ile razy muza nawiedzała jego mieszkanie. Wówczas „pisał, pisał i pisał“. Niestety, po każdéj takiéj seryi dni pracy i poetyckiéj weny, dni, kiedy to wiersze, ba, oktawy całe bez trudu, same prawie spływały z mózgu na papiér, następowały „reakcye okropne,“ dni znużenia umysłowego i niezdolności do pracy, dni, „których niczem zająć nie można,“ w których fantazya i mózg poprostu odmawiały posłuszeństwa... Samotność wtedy, tak upragniona kiedyindziéj, i „nuda miejskiego

---

łości) drukowany w tomie I „Złotéj przędzy poetów i prozaików polskich“ str. 345—413 (Warszawa 1884. nakład i własność Wład. Maleszewskiego, Teod. Paprockiego i S-ki). Najcelniejsze ustępy z „Beniowskiego“ przedrukowano również w „Lirze polskiéj“ (Warszawa, 1884).

[1])
Do rymu nigdy sensu nie naginam:
Nie tworzę prawie nic, lecz przypominam.

[2]) Zob. Listy do matki t. II, str. 55—57.

[3]) Zob. dwa sonety „Do Anieli M.“ pism. pośm t. I. str. 50—51 (wyd. z r. 1885).

[4]) Zob. Piotr Chmielowski, „Kobiety Mick., Słowac. i Kras.“. Aniela, str. 196—204 (wyd. trzecie, Warsz. 1886).

[5]) Tuilleryjskiego.

życia“ dręczyły go, jak Eumenidy, któremi ścigany, mimowoli widział wszystko w czarnych, ponurych barwach. Zniechęcony do ludzi, do świata, pełen „niespokojności“ jakiejś dziwnéj, chorobliwéj, miejsca sobie nigdzie znaleść nie mógł — chwilami przynajmniéj — i zdawało mu się, że róże jego „mają tylko ciernie.“

Nic go też przez ciąg trwania *spleen'u* takiego nie bawiło: ani teatr, ani przechadzki *en artiste flâneur* po ulicach, ani koledzy, ani listy od Eglantyny, otrzymywane regularnie: słowem nic. Wyjątek pod tym względem, jedyny zresztą, stanowiły listy z domu, od matki, i z Rzymu, od Krasińskiego.

Z nadejściem wiosny 1840 roku, przyszła mu myśl „osiedlić się trochę stałéj“ w Paryżu, czuł bowiem, jak powiada, potrzebę, ażeby go „coś powstrzymywało od ciągłego włóczenia się po świecie;“ i dlatego, z hotelu przy *Rue des Pyramides Nr. 6*, w którym mieszkał dotychczas, a gdzie wszystko drożéj, przeprowadził się na *Rue Castellane Nr. 11*, gdzie, na szóstém piętrze, najął sobie „malutkie dwie klateczki,“ schludne i miłe. Pokoiki te, lubo niewielkie, podwójny miały dlań urok: raz, że się w nich sam urządził, własne — z pomocą Gaszyńskiego kupione — wstawiając meble, z czego była zawsze „większa daleko wygoda i przystojność;“ a powtóre, że posiadały widok „na cudzy ogród,“ co było rzeczą „prawie cudowną,“ zważywszy, że „w miasteczku, gdzie panna Kora mieszkała“ możność patrzenia z okna „na drzewa, zieloność i rozległy horyzont niebieski,“ zjeżony tysiącami kominów blaszanych, dachów, wież kościelnych, kopuł złoconych etc. bezwarunkowo należy do osobliwości.

Ten widok na miasto, przelewające się, niby morze, daleko hen za widnokrąg, miał dla poety „w dniach ciszy umysłowéj“ nie wysłowiony powab: może dlatego głównie, że utopiwszy oczy w ten bezmiar powietrzny ponad domami, bezmiar, w godzinach wieczornych rozpłomieniony od zachodzącego słońca, czuł, ukołysany tém wszystkiém, „jakiś smutek i dalekie wspomnienia.“

Wspomnieniami temi, o tyle droższemi mu dzisiaj, że „wszystko, co kochał,“ dawno już było „w przeszłości,“ dzielił się często ze swoją sąsiadką, panią de St. Marcel z domu Chauveaux, staruszką 80-letnią [1]), równie jak on „w ustroniu swojém zapomnianą“ i opuszczoną, a opuszczoną nietylko „przez ludzi,“ jak on, ale i przez krewnych również. Była to „wdowa po generale dawnym,“ bardzo dobra babina, któréj jedyną przyjemnością i rozrywką, jaką posiadała na swém pod-

---

[1]) Zob. pism. pośm. t. I, str. 58. Wspomnienie pani de St. Marcel z domu Chauveaux. Tudzież Listy do matki t. II, str. 85, 87.

daszu, było... karmienie wróbli, zlatujących się do niéj „tysiącami“ i świérgocących radośnie. Słowacki, widząc, że niejednokrotnie i w jego zaglądały okno, poszedł niebawem za przykładem swéj sąsiadki... Ztąd znajomość z biedną „opuszczoną staruszką“ i coraz częstsze u niéj odwiedziny. Wprawdzie wizyta jéj oddana była poniekąd „ofiarą,“ ile że babinka „już trochę ślepa i głucha;“ nie przeszkadzało mu to jednak odwiedzać ją prawie co dzień, czasami nawet po parę razy, i czynić to „z uśmiéchem,“ jakby „z pewną świętością,“ bo „wdowa opuszczona“ i samotna.

Ile razy przyszedł do niéj, zawsze pytała go najpierwéj, czy nie miał listu od matki. Od tego się zwykle zaczynała rozmowa, rozmowa, która — nawiasem mówiąc — męczyła niekiedy Juliusza, ponieważ ze względu na przytępiony słuch staruszki, zmuszony był mówić o wiele głośniéj, aniżeli zazwyczaj. Swoją drogą nie zważał na to i przychodził, ilekroć miał chwilę wolnego czasu, wiedział bowiem, że jest pożądanym gościem i że będzie powitany serdecznie.

Zapraszała go téż do siebie często na obiad.

Wszystko to jednak, w dniach zniechęcenia i apatyi, nie było w stanie rozpędzić owéj „czczości“ jakiejś, która mu wtedy prace jego i życie obrzydzała. Pod wpływem téj właśnie „czczości,“ skoro nadeszła jesień, Słowackiego „ulubiona pora roku,“ zapatrzony „w listki zwiędłe i żółte,“ ulatujące w powietrzu, za oknem „jak motylki złote,“ rozmarzony tą mgłą jesienną, tak skłaniającą „do melancholizowania,“ wspominając dawne, lepsze od dzisiejszych czasy, kiedy mu się przyszło wytłómaczyć przed matką, dlaczego tak dawno już nie pisał do niéj, nie umiał na swoje usprawiedliwienie innego przytoczyć motywu, tylko następujący:

— Tak mi smutno, tak mię już dręczy samotność, ten brak wszelkiéj nadziei, że coraz bardziéj staję się leniwy do wszystkiego: czekałem więc weselszéj nieco chwili, chwili, w którejby jakie słoneczko błysnęło mi choćby przez okiennic szpary...

Pisząc to, nie wiedział jeszcze, ani przeczuwał zapewne, że oto niebawem, za parę dni, ujrzy takie „słoneczko,“ które mu tę jego „pustelnię“ rozjaśni cokolwiek i to nietylko „przez okiennic szpary.“

I.

Szatynka, w koronie bujnych niezmiernie, trochę rudawych włosów, uczesanych w loki i pukle [1]), wysoka i kształtna, powabna, „jak

[1]) Bardzo piękny portret olejny (naturalnéj wielkości) pani Bobrowéj znajduje się w pałacu hr. Potockich w Warszawie.

owe Rubensowe Madonny," o rysach regularnych, klasycznych, „z twarzą bez krwi, białą, jak alabaster," z „oczami-turkusami'" pałającemi, „jak dwie pokusy," choć „strzelna nie była źrenicami zgoła," przesłonięta z lekka „welonem zmysłowości," majestatyczna, dziwny jakiś, niewypowiedziany czar roztaczała dokoła siebie. Każdemu, kto na nią patrzał, wyrywał się mimowoli, jak owemu „księciu" z Niedokończonego poematu, okrzyk zachwytu: „Per Bacco! Oto mi rysy! Oto mi oko! Oto mi chód, wielkiéj damy chód! W istocie coś królewskiego... Na honor! Jakaż to kibić, jaka nóżka!" [1]). „Spokojna, jako cyprys, nadto smutny, aby nim ruszył wiatr," znajdowała się w chwili najpełniejszego rozkwitu swojéj piękności, wyglądając na jakich lat 25 conajwyżéj, pomimo, iż w rzeczywistości liczyła ich sobie 33 [2]).

„Nacechowana boleścią," z boleści téj głównie zdawała się „wyłudzać urodę." Boleść ta, pozwalając domyślać się „bezmiaru nieszczęścia, ubranego w nieziemski wdzięk" owiewała to Tycyanowskie prawdziwie oblicze wyrazem jakiejś zagadkowości sfinksowéj...

Pięknością tą, spotkaną [3]) w początkach jesieni 1840 roku, na jednéj z „recepcyi poniedziałkowych" w hotelu Lambert, była pani Joanna Bóbr-Piotrowicka, pierwsza — obecnie porzucona już — Beatrice Zygmunta Krasińskiego, a Słowackiego dawna znajoma, jeszcze z Drezna, gdzie się z nią po raz pierwszy spotkał w domu „siostry" jéj, pani Szymanowskiéj. Było to w r. 1831, na wiosnę.

Czasy te zapisały się w pamięci obojgu nader mile. Pani Bobrowa, nieświadoma burz, jakie ją wkrótce czekały, a z których miała wyjść ostatecznie, jak okręt z połamanemi maszty, jeszcze się wtedy rwała do życia: do tego życia, którego nie znała prawie, a które ją niby złudna jakaś *fata morgana* dziwnie pociągało ku sobie, nęciło. Słowacki, któremu, żeby nie różne „myśli," „bardzo byłoby dobrze w Dreźnie," roił o sławie polskiego Byrona i nieświadomy, tak samo jak pani Bobrowa, przyszłych zawodów, pełen młodzieńczych iluzyi, z otuchą poglądał w przyszłość.

. . . Dzisiaj inaczéj. W ciągu tych lat blizko dziesięciu, przez które się nie widzieli ani razu, wielkie w życiu obojga zaszły zmiany; nie byli już tymi samymi ludźmi, jakimi się znali wtedy, w uroczéj stolicy saskiéj. On był „bez serca i sławy, jak obłąkany ptak;" z niéj

---

[2]) Zob. Niedokończony poemat (wyd. kr. 1890) str. 155 i 165.

[3]) Urodzona w r. 1807.

[4]) Prawdopodobnie. Zob. w téj materyi moje studyum „o Słowackim i pani Bobrowéj," drukowane w Tygodniku ilustrowanym z r. b. Nr. z d. 21 stycznia.

pozostał tylko cień. Biada nam! Oto, co mogli o sobie powiedzieć oboje.

Pomimo tego — a może dzięki temu właśnie — od pierwszéj chwili, kiedy się znowu, teraz w Paryżu, „na jednéj drodze spotkali,“ znalazł się między nimi pewien... łącznik duchowy, który ich parł ku sobie. Łącznikiem tym — jak się tego domyśléć nietrudno — był Zygmunt Krasiński i kult, z jakim dlań byli Słowacki zarówno, jak i pani Bobrowa. Słowacki widział w nim swojego „największego przyjaciela,“ a pani Bobrowa... Ona, choć „opuszczona“ przezeń i już nie kochana, kochać go jednak nie przestała...

Z uwielbieniem swém dla Zygmunta (z którym była zresztą spokrewnioną) nie miała powodu ukrywać się przed Słowackim, a że lubiła często o autorze Irydiona rozmawiać, że na samo jego przypomnienie ożywiała się nagle, zapalała, to się Juliuszowi nie mogło wydawać ani dziwném, ani podejrzaném, zważywszy, że i on również niezwykłą znajdował przyjemność, mogąc z kimś porozmawiać o swoim z willi Mills przyjacielu, któremu tyle chwil podniosłych zawdzięczał...

Oprócz Krasińskiego, którego osoba najwięcéj im odrazu dostarczyła tematu do rozmowy, mieli pani Bobrowa i Słowacki wielu innych jeszcze wspólnych znajomych. Przedewszystkiém pochodzili z jednych stron, z Wołynia. Zahajce, rezydencya pana Teodora Bobra, męża pani Joanny, nie były zbyt oddalone ani od Krzemieńca, gdzie mieszkała stale matka Juliusza, ani od majątku Teofilów Januszewskich. Bywając w Krzemieńcu, nie mogła tam pani Joanna nie spotykać od czasu do czasu pani Becu. Ostatni raz — opowiadała Juliuszowi — widziała ją przed półtora rokiem na Czerczy, po któréj wzgórzach używała razem z dziećmi przejażdżki na osiołkach... [1]). Z Januszewskimi łączyły ją stosunki sąsiedzkie...

Przebywając zagranicą, najwięcéj w Dreznie i we Frankfurcie, słyszała pani Joanna o Słowackim niejednokrotnie od generała Paca [2]), od Aleksandra Potockiego [3]), a wreszcie od Krasińskiego [4]).

---

[1]) „Czy pamiętasz ty pewną damę, która po Czerczy na osiołkach przed dwu laty (w r. 1838) jeździła.“ Znam ją i bardzo miłe z nią przepędziłem miesiące tu (w Paryżu) i niedaleko panny Eglantyny, na północ (to znaczy we Frankfurcie). Listy do matki t. II, str. 71.

[2]) Generał Ludwik Pac, bawiący w Rzymie w r. 1835 (Zob. Dr. Antoni J. Z życia Z. Krasińskiego, tudzież Listy Z. Krasińsk.) widywał Słowackiego w r. 1832 w Paryżu u Czartoryskich, a nawet złożył mu raz hołd, jako poecie, osobiście odwiedzając go w jego mieszkaniu. („Poezyom moim winienem pierwszą wizytę generała Paca i miło mi było, że ten człowiek najwięcéj szanowany zrobił mi tę grzecz-

Wszyscy, a szczególniéj Krasiński, zarówno o talencie autora Balladyny, jak i o nim samym, nie wyrażali się nigdy inaczéj, tylko pochlebnie, często z uwielbieniem nawet. Generał Ludwik Pac, który będąc właśnie w Paryżu, kiedy wyszły poezye Słowackiego, był niemi tak dalece zachwycony, że sam, osobiście, złożył mu pierwszą wizytę. Od Aleksandra Potockiego, który przenosząc się nieustannie z miejsca na miejsce, odwiedzał ją raz po raz to we Frankfurcie, gdzie spędzała zazwyczaj wiosnę, to w Wiesbadenie, gdzie znowu spędzała lato, słyszała dużo o awanturniczéj Słowackiego podróży na wschód i do ziemi świętéj. Dla Krasińskiego, którego opinia miała dla niéj znaczenie dogmatu, był Słowacki największym mistrzem języka polskiego. „Chyba tak Liszt gra na fortepianie, jak on wiersze pisze."

Zaprzeczyć się jednak nie da, że nic tak nie przemawiało za Słowackim (szczególniéj do przekonania i... serca pani Bobrowéj) jak jego dzieła: chociażby tylko owe dwa „listy" do autora Irydiona, poprzedzające, jeden Balladynę, drugi Lillę Wenedę.

— O! nie mów mi, że z dzwonków polnych większa ozdoba ruinom, niż z tego wieńca myśli, w który je ubierze poeta: bo choć róże rosnące na ruinach pałacu Nerona rozwidniły nam pięknie te gruzy, to jednak jaśniéj mi je oświecił ów duch Irydiona, któregoś ty pod krzyżem w Kolosseum położył i nakrył złotémi skrzydłami anioła.

Przypominało to pani Bobrowéj owe „dni jedyne i zbiegłe" w Rzymie w latach 1834 i 1835 spędzone, dni, przemarzone w willi róż, wśród tych samych ruin pałacu Nerona, o których tu mówi Słowacki, dni, na pamiątkę których Zygmunt poświęcił jéj późniéj Irydiona... Ach, jakże jéj dobrze było wtedy „na pościeli granitów rzymskich, z głową pochyloną nad nim, oddychać różami Cezarów i patrzéć, jak się w tym człowieku rodzi nowy ideał wieków..." [1]).

— Tak więc, kiedy Ty dawne, posągowe Rzymian postaci napełniasz wulkaniczną duszą wieku naszego: ja z Polski dawnéj tworzę fantastyczną legendę, z ci-

---

ność). O innych stosunkach Słowackiego z generałem Pacem, widocznie nadzwyczaj życzliwie dlań usposobionym, zob. Listy do matki t. I, str. 94. W roku 1835 w Rzymie musiał o nim opowiadać Krasińskiemu i pani Bobrowéj.

[3]) Aleksander Potocki był wielkim pani Joanny admiratorem. Znał ją jeszcze z czasów panieńskich i poślubnych (Zob. Dr. Antoni J. Op. cit. str. 16). Ze Słowackim łączyły go węzły przyjaźni. (Zob. Listy d. m. t. I, str. 235, t. II, str. 10, 37).

[4]) Z Krasińskim zawarł Słowacki przyjaźń w r. 1836. Od tego czasu widywał Krasiński panią Bobrową jeszcze w r. 1837 we Frankfurcie i w r. 1838 w Salzbrunn.

[1]) Por. Niepoprawni akt IV, sc. V.

szy wiekowéj wydobywam chóry prorockie i na spotkanie twojéj czarnéj, piorunowéj, dantejskiéj chmury prowadzę lekkie, tęczowe i aryostyczne obłoki, pewny, że spotkanie się nasze w wyższéj krainie nie będzie walką, ale tylko grą kolorów i cieni, z tym smutnym dla mnie końcem, że twoja chmura, większym wichrem gnana i pełniejsza piorunowego ognia, moje wietrzne i różnobarwne obłoki roztrąci i pochłonie.

Wszystko to nie pozostało bez wpływu na wyobraźnię pani Joanny.

Nie inaczéj téż oddziałał na nią drugi list do autora Irydiona, służący jakgdyby za rodzaj uwertury Lilli Wenedzie.

— Wstań, wstań, mój Endymionie, tajemniczéj Muzy kochanku, i postąp krokiem ku mnie, a napotkasz nowy gaj fantazyi, zielony sosnami teatr; bo oto dla ciebie jedynie, mój drogi, wybudowałem nową scenę, sprowadziłem duchów aktorów i rozłożyłem na leśnéj murawie biegającego po świecie kolportera małe bogactwo. Odeślij mnie z nowym zarobkiem przyjaźni, ze łzą, jeżeli można, z pochwałą, jeżeli można, a będę spokojny na wieczność.

Nie wiedział Słowacki, kiedy te słowa kreślił, ile mu one kiedyś będą pomocne w zyskaniu przyjaźni u „osóbki“ pewnéj, o któréj przyjaźń tak bardzo z czasem dbać będzie...

— Tak namówiony, wziąłem półposągową formę Eurypidesa tragedyi i rzuciłem w nią wypadki, wyrwane z najdawniejszych krańców przeszłości; a jeżeli Bóg mi pozwoli, to na téj nieco marmurowéj podstawie, oprę szersze, bardziéj tęczowe, lecz mniéj fantastyczne, niż Balladyna, tragedye; tylko ty, Irydionie, nie opuszczaj mnie śród zimnego świata słuchaczy, tylko ty mi nie daj uczuć chłodu, który mi na czoło od twarzy ludzkich powiéwa; a gdybyś widział na mnie idące węże, weź w rękę harfę Lilly Wenedy i przemień te gady w słuchaczów. Ile razy z tobą byłem, zdało mi się, że wszyscy ludzie mają oczy rafaelowskie i t. d. Na Odyna! Niech wrzeszczą samochwalce, a ja z drgającemi ustami wracam pod skrzydła twoje ochłonąć... A tych dwóch wodzów? Czy ty myślisz, Irydionie, że tworząc ów myt jedności i przyjaźni, nie łudziłem się słodką nadzieją, że kiedyś i nas tak we wspomnieniach ludzie powiążą i na jednym stosie postawią...

Pani Bobrowa, czytając — i odczytując — te słowa, jedne z najpiękniejszych, najrzewniejszych, jakie czytała kiedykolwiek, upajała się niemi, jak haszyszem, albowiem takim samym tonem, z taką samą miłością, z takiém samém uwielbieniem, odzywała się kiedyś i ona do Zygmunta... Bo i ona, niestety, jak Słowacki, „łudziła się słodką nadzieją,“ że ją kiedyś z Zygmuntem ludzie we wspomnieniach połączą i na jednym pomniku postawią, jak posąg Beatrice'y obok posągu Danta. Bo czyż nie mówił jéj nieraz, jak Irydion Kornelii Metelli, że chwała jego spadnie i na nią również, że imię jéj nierozłącznie

brzmieć będzie z jego imieniem, jak Amora i Psychy, jak Abelarda i Heloizy.

— Ach, ona była prosta i szczera, ona kochała ciebie przed laty, i ty piękny byłeś, tak, i ty mówiłeś jéj: „Chwała moja twoją będzie...“ Ona uwierzyła tobie, ona zginęła dla ciebie! [1]).

Osiadłszy w Paryżu, z zamiarem przezimowania, pani Bobrowa „dom prowadziła otwarty dla jednoplemiennych.“ Pierwszeństwo pomiędzy nimi mieli stanowczo Wołyniacy. Niebawem téż, znalazł się tam i Juliusz Słowacki [2]). Że mu wstęp na jéj pokoje ułatwił tytuł „przyjaciela Zygmunta,“ to się rozumié samo przez się.

Ale znalazł się jeszcze drugi niemniéj ważny łącznik psychiczny, dzięki któremu Słowacki i pani Bobrowa od pierwszéj chwili spotkania mimowolnie lgnęli do siebie: to „niemy smutek“ i melancholia, cechujące dusze obojga... Te dwie melancholie, ciche i tęskne, a wynikające z „samotności ducha,“ dopełniały się poniekąd — zwłaszcza w rozmowach o wspólnym przyjacielu — i, jak dwa tony dobrane, tworzyły harmonijny, zgodnie brzmiący akord, pełen wzniosłéj, iście anhellicznéj prostoty. Pani Joanna, jakkolwiek sama nie wyjawiała powodów swego smętnego usposobienia, ale przeciwnie, taiła się z niemi starannie, ukrywając wszystko, coby choć rąbek tajemnicy uchylić pozwoliło; rada przecież słuchała wynurzeń się cudzych: cóż dopiéro jeśli się kto skarżyć umiał tak poetycznie, jak autor listów do Irydiona.

Żyjąc — mówił — przeważnie „w atmosferze imaginacyi, na wyspie ideału, przerzniętą rzeką łez,“ zmęczony rzeczywistością, osamotniony, zdołał już tak przyzwyczaić duszę swą „smucić się i wyglądać złego,“ że w tym smutku nieustannym, nie odstępującym go nawet w chwilach, kiedy otrzymywał listy od matki lub od Zygmunta, znajdować zaczął w końcu „jakąś głupią, poetyczną, egzaltowaną rozkosz:“ do tego stopnia, że byle weń tylko „nowe jakie nie uderzyło nieszczęście,“ gotów by był nie użalać się przed Bogiem na los, jaki mu przypadł w udziale... Swoją drogą nie mógł nie przyznać, że świat, do którego się niegdyś „z taką niecierpliwością“ wyrywał, nie dopisał mu, ani go zaspokoił [3]).

— Na com poleciał, jak pliszka, nad szerokie morza, kiedy dosyć szerokie były dla mnie stawy trzciną obrosłe? Na co się zakochałem w Wenerze Medycejskiéj, na co w posągu Danta, stojącym

---

[1]) Irydion str. 116.

[2]) Dr. Antoni J. Op. cit. str. 30.

[3]) Por. Listy d. m. t. II, str. 60, 63.

w Santa Croce? Na com pokochał orły gubiące się w szczelinach lawin szwajcarskich? Na co mi było rwać złociste owoce Hesperyd, na co błądzić po ziemi, gdzie pisano słowo boże, na co rozmyślać w ciemnym Agamemnona grobowcu, kiedy mogłem tylko spokojnie iść do Zołobów albo na Łysą górę i strząsać sobie przezroczyste wisznie w naszych rodzinnych ogrodach? [1]). Wyszedłem był na szeroki gościniec, który mię, niewiedzącego, gdzie idę, prowadzi już lata całe bez ustanku po morzach dalekich i lądach, i jestem, jak ów ptak, co nadaremno rozgląda się dokoła siebie, czy nie dojrzy jakiego masztu, na którym wypocząwszy, mógłby sił nabrać do dalszego lotu. Niestety, masztu nie dostrzegam nigdzie... Zniewolony żyć jedynie w świecie ułudy, doznaję takiego nieraz przesytu idealnych marzeń, że, lubo nieszczęśliwy, zleniwiałem nawet w poszukiwaniu szczęścia. Wszystkie nadzieje zgorzkniały dla mnie i zbrzydły, pomimo, że żądam niewiele, prawie nic: potrzeba mi tylko czuć, że mię ktoś kocha mocno i bezinteresownie... Nieszczęście chce, że od ludzi dotąd mało doznałem takiéj miłości: dlatego smutno mi nieraz i łzy mię zalewają, kiedy pomyślę, że ani jednego nie mam koło siebie gorąco bijącego serca, któreby mi w chwilach zwątpienia nadziei dodało i otuchy. Jedyną w takich razach ucieczką jest mi praca umysłowa, tę mająca właściwość, że serce, często spustoszałe i skrzepłe, coraz nowém napełnia ciepłem i ogniem... Zamykam się wtedy w mojém mieszkanku jaskółczém i piszę, wypełniając sobie tem jakoś tę pustkę nieznośną... Oddawna przestaję na małem, a wyrzekłszy się przyjemności wielu memu wiekowi właściwych, ze szczupłych funduszów drukuję moje manuskrypta [2]). Są to niezaprzeczenie najmilsze okna w chacie mojéj, widzę bowiem przez nie mnóstwo rzeczy i twarzy znajomych... Choć, czy życie, takiemi snami zajęte, życiem jest? Nie wiem, ale to pewna, że mię od wielu rozpaczy broni i czasem przyjemność sprawia. Albowiem nie jestem ja podobny do lampy, co w katarynce siedzi i przez różnokolorowe szkła rzuca kilka bladych promyków... Na nieszczęście, zdarzają się i takie dni, w których umysł nudzi sam siebie i których niczém zająć nie można. Wtenczas ani wieczór przepędzony na graniu w wista, ani gawronienie się po ulicach, ani pogawędka z kolegami, nie są lekarstwem. Świéżość fantazyi i myśli traci się, a nabyte wiadomości, których nikomu udzielić nie można, czynią mózg podobnym do śpiżarni, zawalonéj spleśniałemi wiktuałami. Ludzie zaś, z którymi żyję, których widuję w kasynie naszém i z któ-

---

[1]) Por. tamże, str. 39.

[2]) Z listu do Jana Weisberga w Krakowie.

rymi do jednego nawet zasiadam stołu, wszyscy prawie — z nielicznemi wyjątkami — zepsuci są biédą i życie z nimi bardzo niemile. Należąc przytém do innego, aniżeli ja, stronnictwa, są w znacznéj części moimi antagonistami, nietyle politycznymi, ile literackimi. Co do mnie, to, kto wié, czy nawet w tych niepomyślnych warunkach, w jakich żyję, nie potrafiłbym być szczęśliwym gdyby mi nie brakło familijnego życia... Po za godzinami bowiem, przesiadywanemi w *cerclu* i po za paru domami, gdzie bywam od czasu do czasu, gdzie jednak atmosfera glansowanych rękawiczek i woskowanych podłóg, przesiąkła *fashion*'em, utrzymuje wszystko w karbach wielkoświatowego konwenansu, żyję jak mnich, podobny do opuszczonéj w swojéj klateczce ptaszyny. A nie uwierzy pani, jak to serce przez takie życie usycha, jak zamiérają wszelkie uczucia! [1]).

Te i tym podobne skargi obudziły „litość siostrzaną“ w pani Bobrowéj. Pragnąc, o ile to było w jéj mocy, złemu zaradzić, ofiarowała poecie — którego zresztą polubiła szczerze — swój dom, prosząc, aby nie zapominał o niéj, ile razy mu tylko będzie „bardzo tęskno i bardzo samotnie.“

I ona również na brak takich chwil uskarżać się nie może. Skazana przez większą część dnia na samotność (córka Ludwika, którą miała z sobą, była na pensyi i przychodziła do domu tylko na święta) uważać to sobie będzie za prawdziwe szczęście, jeżeli on ją odwiedzi. Może być pewnym, że znajdzie w niéj zawsze życzliwą przyjaciółkę, z którą wieczór lub popołudnie, spędzone razem, przy kominku, w cieple domowego ogniska, na poufnéj, bezceremonialnéj pogawędce, zdoła może niekiedy rozpędzić chwilowy napad *spleen*'u.

Z zaproszenia tego, podyktowanego przez dobre serce, trudno było nie korzystać. Nie omieszkał téż korzystać zeń i Słowacki; znalazłszy zaś tym sposobem najprzyjemniejszy, jaki mógł znaleźć, „dom przyjazny, gdzie mu dobrze na rozmowie (o Krasińskim najczęściéj) schodziły godziny,“ starał się po przełamaniu pierwszych lodów być u pani Bobrowéj „jak domowym,“ za czém poszło, iż sobie wyrobił wkrótce „prawo przychodzenia nawet co dnia.“

Dzięki „rozmowom“ tym, nie spostrzegł się nawet, jak drzewa potraciły resztę liści, jak po mgłach i wichrach jesiennych nastała pora przymrozków, srebrzących blaszane dachy Paryża, i jak nakoniec, poprzedzone pierwszemi śniegi, przyszło Boże Narodzenie.

---

[1]) Cały ustęp powyższy został, skreślony na podstawie listów Słowackiego do matki z tego czasu. Zob. t. II str. 52 — 68.

W pierwsze święto, d. 25 grudnia, odbyła się na cześć autora Dziadów, świéżo mianowanego profesorem literatur Słowiańskich w paryskiém *Collège de France*, pamiętna, a szczególniéj bogata w następstwa, uczta u Eustachego Januszkiewicza.

W liczbie 40-tu zaproszonych na tę ucztę gości znalazł się między innymi także i autor Lilli Wenedy.

II.

Niestety, nie czuł się on tu w swoim żywiole, z wyjątkiem bowiem paru przyjaciół, z którymi go łączyły węzły prawdziwéj, serdecznéj sympatyi, oraz kilku obojętnych, którzy nie byli dlań wrogo usposobieni, reszta uczestników, nie wyłączając gospodarza samego, składała się wyłącznie z ludzi, którzy uwielbienie swe względem Mickiewicza posuwali tak daleko, że ich to aż zniewalało, jak Romana Załuskiego naprzykład, „nie rozumiéć“ poezyi Juliusza [1]).

Oto przyczyny, jeżeli nie wszystkie, to przynajmniéj główne, za których sprawą poszło, że Słowacki, zasiadłszy do stołu, przez cały czas kolacyi, a więc od 10-éj do 2-éj blisko po północy, siedział milczący i zamyślony, żadnego prawie nie biorąc udziału, ani w rozmowie powszechnéj, ani w spijaniu owego „umyślnie z kraju sprowadzonego miodu litewskiego“.

Przedewszystkiém żałował trochę że się tu znalazł wogóle, na téj uczcie dla M i c k i e w i c z a wyprawionéj; powtóre, sądził się do pewnego stopnia upokorzonym w swojéj — tak wygórowanéj — miłości własnéj, widząc, jak oczy wszystkich zwracają się wciąż ku Mickiewiczowi, wpatrzone weń, jak w proroka, kiedy na niego, siedzącego na szarym końcu, najmniejszéj nie zdawał się nikt zwracać uwagi. Trawiony ambicyą, domagającą się zaspokojenia, postanowił przypomniéć się „téj ciemnéj zgrai...“ W tym celu skoro się uspokoiły na chwilę szmery po niefortunném dość przemówienia Włocha, Ottavi'ego, powstał, zadzwonił w szklankę i, zwracając się ku Mickiewiczowi, blady, jak trup, głosem, drżącym ze wzruszenia, zaczął improwizować.

Ubiérając myśli swe w najtrudniejszą prawie ze wszystkich form wiersza, bo w aryostyczną oktawę, mówił o swojém wejściu w świat poetyczny, o niepowodzeniu, jakiego aż po dziś dzień doznaje chociaż w tę otchłań, co pochłonęła dwa pierwsze jego tomiki, rzuca

---

[1]) Zob. List Z. Krasińskiego do Romana Załuskiego o Juliuszu Słowackim.

wciąż nowe i, zdawałoby się, wciąż doskonalsze utwory... I żalił się, że niezabity dotąd przez krytykę, iść musi sam, „bez żadnéj zachęty,“ pomimo, iż jedynym celem, jaki miał zawsze, było „narodowi temu, w którym epidemiczną jest chorobą uwielbienie lub oziębłość,“ literaturę „uczynić silniejszą...“ Jeżeli celu tego nie osiągnął, trudno: widocznie, iż Bóg mu dał więcéj woli, niż zdolności,“ że chciał, aby „poświęcenie“ się jego było bezskuteczne i aby, „wyniszczywszy wszystkie siły duszy, poszedł na spoczynek w ziemi, strudzony i smutny, że miecz, którym walczył, nie był piorunem...“ [1]).

Atoli słowa jego, choć wypowiadane „z zapałem“ (jakkolwiek nie bez trudu) i choć „do najwyższéj wznosiły się poezyi,“ nie czyniły na zgromadzonych, pomimo „świetności“ swéj, takiego jakby się spodziewać należało wrażenia, tak dalece, iż niektórzy „szemrali“ nawet, „jak na zwolenników Mickiewicza przystało...“ Słowacki, rozumiejąc, niestety, aż nadto dobrze, jak sobie to szemranie tłómaczyć, co znaczą te złowrogie szepty, podawane z ust do ust, a przypominające pomruk bałwanów morskich przed burzą, ujrzał się nagle podobnym nie już do hrabiego z Pana Tadeusza, osaczonego przez Sopliców, ale do owego ślepego harfiarza z wyspy Scio, o którym opowiadano mu niegdyś nad Salaminy zatoką, a który — jak on w téj chwili — śpiéwając pustemu morza brzegowi, kiedy skończył, dziwił się, że żadnego ludzkiego głosu, żadnego westchnienia, żadnego pieśń nie zyskała oklasku [2]). I jak tamten, rzuciwszy harfę „precz daleko od siebie, odszedł smutny, nie wiedząc, że najpiękniejszy rapsod nie w sercach ludzi, ale w głębi fal Egejskiego morza utonął;“ podobnie się w nim teraz „kruszyło serce smętne,“ że on nie ma nikogo „ze szlachetnych“ i że próżno wyrzuca skargi namiętne, „pełne łez i krwi i błyskawic świetnych“ na serca, które zawsze dla niego pozostawały „wstrętne...“ A przecież i on także ma prawo do miłości swoich współbraci...

Wobec téj obojętności, a raczéj niechęci słuchaczów, nie dziw, jeżeli „samotny był i ponury,“ jak w obozie nieprzyjacielskim, jak Szekspirowski Romeo na balu u Kapuletów, w otoczeniu samych Tybaltów, i jeżeli go brała chwilami ochota „rozpędzić tą ciemną zgraję...“ Wiedząc wszelako, że ma większość przeciwko sobie i że go ci „Litwini“ chwycić gotowi „w pazury,“ jeżeli ich improwizacyą tą

---

[1]) Por. Kilka słów odpowiedzi na artykuł pana Z. K. o poezyach Juliusza Słowackiego. Zob. też mój artykuł p. t. „Dwie uczty, Urywek z dziejów nieporozumień między Słowackim a Mickiewiczem“ Przegląd Tygodniowy, Dodatek miesięczny, t. III, za kwartał trzeci 1892 roku.

[2]) Zob. Przedmowa do Balladyny (List I do autora Irydiona).

wzruszyć i rozczulić nie zdoła, nie widział innego wyjścia z tego zaczarowanego koła, tylko ustąpić im... W téj myśli, nie chcąc uwagi ich dłużéj osobą swoją zaprzątać, przestał mówić o sobie, a zaczął o Mickiewiczu — w pochlebny rozumie się sposób — o roli, jaką w poezyi polskiéj odegrał, o tém, że „jak Bóg litewski, z ciemnego sosen powstał uroczyska“ etc. poczém, jak sam powiada, on „Syn pieśni, syn królewski“ uchylił czoła przed geniuszem twórcy Pana Tadeusza, porównywując go do Achillesa, siebie zaś do Hektora... [1]).

---

[1]) „...To mówiąc, ja, syn pieśni, syn królewski, padłem, (jak Hektor) a tyś już następował zblizka (jak Achilles) i nogą twoją (jak Achilles na trupie Hektora) jak na trupie stawał.“ Ten obraz „padania“ przed przeciwnikiem („padłem“) zapożyczony jest u Homera (Zob. Iliada pieśń XII wiersz 130—375), którego opis walki Hektora z Achillesem posłużył Słowackiemu za motyw do ostatnich strof pieśni V Beniowskiego, gdzie nam poeta przez pryzmat swojego z Mickiewiczem „boju“ ukazuje niejednokrotnie tragiczny pojedynek dwóch bohaterów Iliady np. w ustępie:

> Legnie podemną twych poetów Troja,
> Twe Hektorowe jéj nie zbawi męztwo,
> ....Zabiję, trupa twego będę włóczył (jak Achilles trupa Hektora).

Charakterystycznem jest, że na wieczorze u Januszkiewicza nazwał Słowacki Mickiewicza Achillesem poezyi polskiéj, siebie zaś za zwyciężonego Hektora (padłem, a tyś już następował zblizka) kiedy w Beniowskim przeciwnie: siebie ogłosił zwycięzcą (Za błękitami był bój i zwycięztwo, ludzie nie widzą we mnie tylko męztwo) Mickiewicza zaś pragnął, jak trupa zwyciężonego Hektora, włóczyć dokoła murów Ilionu...

Powiedziałem: „uchylił czoła przed geniuszem twórcy Pana Tadeusza. Czemu nie twórcy Wallenroda, Dziadów, lub Grażyny? Dlatego, że Pan Tadeusz w mniemaniu Słowackiego był jedynem dziełem Mickiewicza, stawiającém go na szczycie owéj piramidy, zwanéj poezyą polską. O uwielbieniu, z jakiém był Słowacki dla Pana Tadeusza świadczy wymownie (oprócz owego znanego listu do matki z d. 18 grudnia 1834 r.) następujący ustęp, wyjęty z listu Juliusza do Jana Weisberga w Krakowie: „Bohdan Z.... napisał sześć tomów religijno-poetycznych, wszystko to wkrótce zapewne będzie drukowane, ale trzeba, żeby tam w Polszcze trochę czytać zaczęto... albowiem księgarnia polska straciła kilka tysięcy franków nawet na Tadeuszu!!!

Zob. też Część druga. Beniowski str. 39.

> Jednak w téj cudnéj epopei żyją, (Litwini)
> W ich lasach trąba gada etc.
>
> — Słuchaj i patrzaj, bo jako zjawienie
> Litwa ubrana w tęczowe promienie
> Wychodzi oto z lasu. Z taką chwalą
> Potrącał lutnię ten śpiewak Litwinów,
> Iż myślisz dotąd, że to echo grało etc.
>
> — Jednak się przed tym poematem wali
> Jakaś ogromna ciemności stolica etc.

Tymczasem głos mu drżał coraz bardziéj, wewnętrzne wzruszenie wzmagało się z każdą chwilą, oczy pałały gorączkowo, na czoło występowały krople potu... Siedzący przy nim Szembek podsunął mu szklankę z wodą. Poeta podziękował skinieniem i, jakby wyczerpany, omdlały, na krzesło się opuścił. Obecni pozostali w niemém zdziwieniu i osłupieniu, „jak gromada ludzi, przed którymi ktoś nagle gwiazd niebieskich korzec rozsypał.“ Nad stołem zawisła poważna, głucha cisza, cisza, którą można sobie było różnie tłómaczyć...

Cisza ta, jak błyskawica, wróciła Słowackiemu w jedném oka mgnieniu całą przytomność umysłu: zrozumiał, co było jéj źródłem! Improwizacya jego, nadzwyczaj kunsztowna, pełna szczytnych, niezawsze jasnych przenośni, zdobna mnóstwem girland, tęcz, dyamentów i pereł, oślepiająca blaskiem poetycznego języka, przemocą naginanego do wyszukanéj formy oktawy, o ile mogła być dostępną dla Mickiewicza, o tyle musiała dla większości i tak już „pół pijanych zwolenników szkoły“ zawiłą pozostać i ciemną [1]). Nie zrozumieli jéj

[1]) Zob. Słowackiego felieton o Nocy letniéj, gdzie poeta, wnując porówny siebie z Krasińskim, powiada, że ten ostatni „jeżeli improwizuje, to nie w gronie pół pijanych zwolenników szkoły, ale“ etc. Że w słowach powyższych nie ma złośliwéj przesady, tego, niestety, nietrudno dowieść na podstawie dokumentów. Istotnie, wszyscy o téj porze musieli już być conajmniéj „pół pijani.“ Bo nie zapominajmy, że „działo się to o drugiéj po północy“ (Improwizatorowie) do stołu zaś, jak o tém wiemy z listu Eust. Januszkiewicza do prof. Małeckiego, zasiedli zgromadzeni goście „około 10-éj godziny.“ („Około 10-éj godziny prosiłem gości moich, aby zeszli na dół, na wieczerzę“) czyli, że od chwili, kiedy zwyczajem literackim, jak w Panu Tadeuszu, „dano wódkę“ przed pierwszą potrawą, upłynęło cztery godziny. Przez cały czas, od 10-éj do 2-éj, nie żałowano sobie, témbardziéj, że generał Michał Mycielski, tak samo, jak na wczorajszą wilię w klubie polskim (Zob. Aër. Wieczerza) „dostarczył dobrego węgrzyna,“ węgrzyna, który stosownie do dań przeplatano „wydobytym zkądciś a może umyślnie z kraju sprowadzonym miodem litewskim“ (Aër). Powiada Januszkiewicz, że „dla wydobycia z dusz uśpionych umysłu do poezyi i rozweselenia serc, smutkiem znękanych, wychylono niejeden kielich za zdrowie osób przytomnych“, wskutek czego (patrz wyżéj, w tekście) jak wiemy z artykułu J. Koźmiana, wytworzyła się niebawem „szczera polska ochota“ Nawiasem mówiąc, jeszcze przed kolacyą, a więc przed 10-tą (zebrano się o 6-éj wieczorem) zaglądano do .. bufetu, ażeby zobaczyć, jak tam idzie Franciszkowi Grzymale z... pisaniem wierszy na cześć Mickiewicza; albowiem „na godzinę przed wieczerzą,“ a więc około 9-éj, jak nas o tém informuje Eust. Januszkiewicz (w liście do prof. Małeckiego) „pan Franciszek Grzymała prosił mnie, ażebym mu dał jakiś kątek, pióro i papiér, bo czuł się natchnionym i chciał napisać jakiś wiersz do Mickiewicza. Na nieszczęście siadł do pisania przy bufecie, gdzie stały butelki z winem, i natchnienie utonęło niepowrotnie.“

Dowodzenie powyższe, sprowadzające (przyznaję) cały epizod „z hymnu do prostéj powieści“ i obniżające znacznie nastrój téj „dramatycznéj sceny, jaka zaszła

poprostu... „Za błękitami był bój i zwycięztwo,“ oni tymczasem, nie mogąc się wznieść tak wysoko, nie widzieli w nim, „tylko męstwo.“ Należało więc i im także „rzucić kilka kości...“ Uważając to za niezbędne, widząc, że w przeciwnym razie żadnego by „pieśń“ nie zyskała oklasku, „za szczęśliwém idąc natchnieniem,“ Słowacki powstał raz jeszcze i, zwracając się do Mickiewicza, rzekł: „Na łodydze mojego życia dwa błyszczą kwiaty: jeden niechęci ku tobie: ten więdnieje i opada; drugi przyjaźni: ten rozwija się z pączka. Jakkolwiek nizko zakwita, schyl się, aby go podnieść. Czyniąc to, pójdziesz tylko za przykładem Wojskiego z Pana Tadeusza, w którym tak cudownie opisałeś Grzybobranie, Wojskiego, który, pamiętaj, przez fantazyę czy kaprys kładł do worka różne grzyby i nieraz omijał rydze, a brał muchomory.“

Dopiéro teraz, ile, że porównanie to, dowcipne i trafne, dla

---

pomiądzy wieszczami.“ daje także odpowiedź na pytanie Januszkiewicza (w liście do prof. Małeckiego) który „sobie wytłómaczyć nie umiał, jak się to stało, że nikt nie zapamiętał słów Mickiewicza.“ Jest to zagadka rzeczywiście do rozwiązania trudna, jeśli przypuścimy, jak Stefan Witwicki, (w liście do Bohd. Zaleskiego) że „wszyscy byli najzupełniéj trzeźwi.“ (Samo twierdzenie to Witwickiego dowodzi już, że byli ludzie, utrzymujący przeciwnie). Bo tylko nadmiar wypitego trunku otumania pamięć. („pamięć się przez nie traci, rozumu użycie“ Krasicki, Satyry). Fakt to znany powszechnie. Wiadomo również, iż każdy trunek (a cóż dopiéro dwa trunki, i to tak mocne, jak „dobry węgrzyn“ i „miód litewski“ pomieszane razem!) w większéj użyty ilości, czyni człowieka czułym niezmiernie, serdecznym, wylanym, przyjacielskim, a także — co jest cechą charakterystyczną takiego stanu — nadzwyczaj skłonnym do płaczu, do zaléwania się łzami („A pan Jędrzéj płacze,“ Zob. Krasicki). A właśnie po improwizacyi Mickiewicza, improwizacyi, która zdaniem jednych trwała „pięć minut“ zdaniem drugich zaś „blizko pół godziny“ (i to wziąć należy w rachunek) „wszyscy przytomni zaléwali się łzami; jakieś uczucie wzajemnéj miłości wszystkich ogarnęło; mało znajomi ściskali się wzajemnie, zaręczając sobie wieczną przyjaźń i poświęcenie.“ (Improwizatorowie). Twarz wieszcza wydała im się „w ten moment, jak anielska;“ Mikulski Izydor utrzymywał, że widział nad głową Mickiewicza światłość. Kaszyc płakał całą noc, a Szadurski, który także nie jest entuzyastą, przysięgał, że gdyby mu Mickiewicz kazał wtedy skoczyć z najwyższéj wieży, skoczyłby natychmiast. Barzykowski także płakał i całował Januszkiewicza w ręce, że go zaprosił.

Wszystko to, zestawione razem, nie mało daje do myślenia... Gdyby nie przekonanie, że historyka obowiązkiem jest przedstawiać o ile możności zdarzenia tak, jak się rzeczywiście miały; że nie wolno mu w żadnym razie idealizować prawdy, możebym hypotezą tą (bardzo zakrawającą na satyrę w rodzaju Ign. Krasickiego) nie dzielił się z czytelnikami. Jeżelim się na krok ten (po długim namyśle) zdecydował ostatecznie, to w niemałéj do tego mierze przyczyniła się maksyma słynnego myśliciela-poety (Leopardi'ego), że *la connaissance de la verité encore qu'elle soit triste, a son charme.*. A zresztą *Amicus Plato, magis amica veritas!*

wszystkich stawało się przystępne, i ponieważ hołd, oddany Mickiewiczowi, jeszcze dobitniéj się w niém zarysował, gruchnęły rzęsiste oklaski.

Autor Dziadów osądził tę improwizacyę Słowackiego, jako poetyczne „wyzwanie“ [1]), czém podniecony, uczuł się nagle „w wielkiém podniesieniu ducha“ [2]) i przyjął wyzwanie... Dzięki decyzyi téj, w chwili, kiedy Słowacki kończył, on „już następował zblizka“, silny „natchnieniem, jakiego od czasu pisania Dziadów nigdy nie czuł“ [3]), natchnieniem, które na podobieństwo włóczni Achillesa mogło przeciwnikowi, tak nawet jak Słowacki walecznemu, zadać cios śmiertelny.

Chwila ta, uroczysta nad wyraz, zapisała się w pamięci obecnych, jako „dramatyczna“ walka największych dwóch poezyi polskiéj tytanów, walka, jak sądzili, nierówna, o ile bowiem Słowackiego („jak na zwolenników Mickiewicza przystało“) uważali za wątłego, własne siły przeceniającego Dawida, o tyle w twórcy Dziadów niezwyciężonego widzieli Goliata...

Wobec tego, nie dziw, jeżeli na widok Mickiewicza, powstającego z miejsca, wszyscy powstali również... [4]). Twarz jego w oczach przytomnych anielską przybrała postać, z ust zaś, jak owe wody Wisły lub Dunajca, kiedy, przerwawszy zapory, z przepełnionego wylewają się koryta, płynąć zaczęła rzeka słów, najpiękniejszych myśli i rymów, powiązanych w prosty, trzynastozgłoskowy aleksandryn Pana Tadeusza, a wybuchających—niczém lawa z krateru wulkanu—z taką siłą, gwałtownością i mocą, z takim pędem niewstrzymanym, że dech zamierał w piersiach, nietylko poecie, ale i słuchającym.

Na tle ciszy grobowéj, jaka panowała w sali, potężny, natchniony, a proroczy iście głos wieszcza — donośném echem obijający się

---

[1]) Zob. List Mickiewicza do Bohdana Zaleskiego, pisany nazajutrz po uczcie u Januszkiewicza (d. 26 grudnia 1840 r.). „W y z w a n y przez Słowackiego improwizacyą, odpowiedziałem z natchnieniem, jakiego od czasu pisania Dziadów nigdym nie czuł. Było to dobrze, bo wszyscy ludzie r ó ż n y c h p a r t y i rozpłakali się i bardzo *nas* pokochali“, etc.

[2]) Zob. List Mickiewicza do gen. Skrzyneckiego z d. 23 marca 1842 r.

[3]) Czyli, że ma słuszność Słowacki, twierdząc w Beniowskim — „żem skinął ja i w i e s z c z a w s k r z e s i ł...“ Eust. Januszkiewicz w liście do Br. Zaleskiego, w którym mu wieczór ten opisuje, wyraża się między innemi, że dziękuje Bogu, iż go (t. j. Januszkiewicza) „wziął za narzędzie pokazania tym, co p r z e s t a l i w i e r z y ć w d u c h a A d a m a, że jestto lew w s p o c z y n k u.“ Zob. Rocznik tow. hist. lit. w Paryżu, 1873—1878, t. II, str. 321.

[4]) Por. Improwizatorowie oraz list Eustachego Januszkiewicza do Br. Zaleskiego.

o białe ściany wielkiéj sali jadalnéj — wstrząsające czynił wrażenie. Obecni stali jak skamieniali, w niemém osłupieniu, w zachwycie, ze wzrokiem utkwionym w promienne oblicze poety...

Rzecz dziwna, że zarówno nazajutrz, jak i bezpośrednio po improwizacyi Mickiewicza, żaden z uczestników uczty (z jedynym może wyjątkiem Słowackiego), choć wszyscy zapewniali, że byli „najzupełniéj trzeźwi“, nie umiał powtórzyć dokładnie, co mówił Mickiewicz... Nikt nie pamiętał. Zapamiętano tylko, że jak Słowacki zaczął od siebie, tak on zaczął od Słowackiego, starając mu się wyjaśnić, co jest przyczyną jego niepowodzenia, jako poety, oraz czemu przypisać, że utwory jego, tak kunsztowne pod względem formy, nie znajdują uznania i, przechodząc jedne po drugich, niezauważone przez publiczność, niepochwalone przez krytyków, toną w otchłani milczenia... Czém się to dzieje? Tém, że w poezyach jego, podobnych do kościoła, cudowną stawianego architekturą, nie ma Boga, nie ma wiary, nie ma miłości, że więcéj w nich sztuki, więcéj harmonijnych, zręcznie dobranych rymów, aniżeli szczerego, samorodnego natchnienia...

Ztąd biorąc asumpt, zaczął mówić o sobie, o swojéj karyerze poetyckiéj, objaśniając z kolei, dlaczego „jemu Bóg poszczęścił w jego zawodzie...“ Dlaczego? W odpowiedzi na to pytanie wyraził się między innemi w taki sposób:

Ja rymów nie dobieram, ja zgłosek nie składam:
Tak wszystko napisałem, jak tu do was gadam.

Wystarcza mu — mówił — „w piersi tylko uderzyć“, ażeby z nich wnet, jak za dotknięciem Mojżeszowéj laski, „zdrój słów wytrysnął...“

A jeśli na tym prądzie iskra boża błyśnie,
Nie wynik to rozumu, ani płód marzenia,

ale czyste, jak woda kryniczna, „natchnienie“, owoc wiary i miłości, — których właśnie brak Słowackiemu — przyjęty w darze od Stwórcy samego, z nieba, na skrzydłach geniuszu. Dlatego téż:

Wiedzcie, że dla poety jedna tylko droga:
W sercu szukać natchnienia i dążyć do Boga!...

Po tych słowach, ostatnich akordach improwizacyi, nastąpiła „najuroczystsza“ chwila zarówno dla Mickiewicza, jak i dla Słowackiego, chwila pojednania, chwila zapomnienia uraz, chwila uświęcona przez poetów—wobec całego zgromadzenia — braterskim prawdziwie uściskiem, który o tyle silniejszym łączył ich węzłem, że z tego ryzykownego „boju“, jaki dopiéro co stoczyli, „obaj z równą wychodzili

chwałą" [1]), że „żaden nie zwyciężył, żaden nie był zwyciężony", chyba ten „co czuł więcéj, co szczerzéj dłoń drugiego chwytał" [2]). „Tak to zrozumieli obecni", którzy, idąc za przykładem wieszczów, również poczęli się całować i ściskać... Ropelewski zemdlał, a kiedy go się docucono, „nie mógł nerwowego uspokoić dreszczu."

A Mickiewicz i Słowacki? Oni, wziąwszy się pod ręce, chodzili po sali „jak dwaj bracia", wspominając dawne czasy, „opowiadając sobie" przeszłe nieporozumienia i zatargi... [3]).

Wieść o tych improwizacyach, podawana z ust do ust, rozeszła się lotem błyskawicy po całym Paryżu. Przez kilka dni nie mówiono poprostu o niczém inném, tylko o tym „boju" dwóch poetów: o ich pogodzeniu się; o wrażeniu, jakiego doznali obecni; o wzruszeniu, z jakiém opowiadali o téj „dramatycznéj scenie, jaka zaszła między wieszczami"; o zemdleniu czy ataku epileptycznym Ropelewskiego, „o łzach słuchaczy" etc. etc. Wszędzie, gdziekolwiek się było obrócić, słyszano wymawiane z entuzyazmem nazwiska Mickiewicza, Słowackiego [4]), Januszkiewicza i innych, którym los pozwolił brać udział w téj uczcie cudownéj...

Pani Bobrowa dowiedziała się o niéj od Słowackiego samego... [5]). Wiedział, że go to podniesie w jéj oczach, bo takie rzeczy zawsze imponują kobiétom, nadając w wyobraźni ich niemałego blasku szczęśliwemu tryumfatorowi-bohatérowi... Cóż dopiéro, jeżeli bohatérem jest wielki poeta! Uradowany, że ma się czém przed nią pochwalić, nie omieszkał jéj zdać najdokładniejszéj z całego zdarzenia relacyi... Przed kim zresztą miał się pochwalić, jeżeli nie przed nią?

---

[1]) Zob. Słowackiego listy do matki, t. II, str. 76.

[2]) Zob. Artykuł Jana Koźmiana, u Małeckiego, t. II, str. 247.

[3]) „Tego wieczora byliśmy z nim jak dwaj bracia." Słowacki, Listy.

[4]) „Przez cały tydzień w gronie polskiém nie było mowy, tylko o Mickiewiczu i Słowackim..." (Zob. List Eust. Januszk. do prof. Mał.).

[5]) Przypuszczenie zdaje się więcéj niż prawdopodobne. Nie trudno wyobrazić sobie Juliusza, śpieszącego nazajutrz po uczcie do pani Bobrowéj, ażeby się pochwalić przed nią, ażeby jéj tę tak radosną dlań wiadomość coprędzéj zakomunikować. Czy ją nowina ta ucieszyła? Na to pytanie jedna być może tylko odpowiedź: musiała się pani Joanna ucieszyć serdecznie z tego obrotu sprawy, tak pomyślnego dla naszego poety, którego, nawiasem mówiąc, nie miała powodu nie lubić, albo mu źle życzyć. Przeciwnie, można być pewnym, że go do tego czasu zdołała już szczerze polubić (ale téż tylko polubić), i że pewno w całym Paryżu nikomu nie życzyła dzisiaj tak dobrze, jak jemu. Aż dotąd bowiem znała go jedynie z najlepszéj strony. Zdając sobie doskonale sprawę z jego przymiotów i zalet, towarzyskich zarówno, jak i charakteru, wad nie zdążyła się w nim jeszcze dopatrzéć...

Radość ta jednak, niestety, miała trwać bardzo krótko: parę dni zaledwie. Już bowiem w połowie tygodnia zaczęły się na tym pogodnym horyzoncie drobne jakieś, a nic dobrego nie wróżące, ukazywać chmurki, chmurki, które ciemniejąc stopniowo, coraz bardziéj, przybrały niebawem zatrważające rozmiary. Po ciepłym dniu słonecznym zanosiło się na burzę...

Niezaprzeczony—a przynajmniéj na razie niezaprzeczony—fakt, że turniej improwizatorski pomiędzy Słowackim a Mickiewiczem nie skończył się porażką pierwszego, lecz „równą chwałą“ obudwu, że „żaden nie zwyciężył, żaden nie był zwyciężony“, co — przyzna każdy — równało się prawie „zwycięztwu“ Słowackiego; fakt ten, nieprzewidziany przez zwolenników Mickiewicza, „jakimi byli wszyscy niemal na uczcie obecni“, nie przypadł im do smaku; postanowili więc, w nadziei, że uratować przez to zdołają honor stronnictwa, „cokolwiek zbić i strącić“ tego i tak już zbyt wysokie mniemanie o sobie mającego „zarozumiałego“ pyszałka — jak między sobą nazywali autora Lilli Wenedy — i umyślili, ażeby on, który przecież w improwizacyi swéj uchylił czoła przed geniuszem Mickiewicza, dowiódł swojego względem autora Dziadów „wasalstwa“ raz jeszcze... czynem.

Czynem tym miało być uroczyste wręczenie przezeń puharu Mickiewiczowi.

O tém zaś, że w pierwszéj chwili, kiedy powstał projekt ofiarowania kielicha pamiątkowego Mickiewiczowi, zamierzano również i Słowackiego podobnym uczcić upominkiem, o tém postanowiono przemilczéć...

Poeta tymczasem, dzięki Lomanowi najprzód, a następnie dzięki Leonardowi Niedźwieckiemu, wiedział o wszystkiém. Loman, który jako buchalter w drukarni Januszkiewicza został do końca uczty, zdał Słowackiemu zaraz nazajutrz dokładnie sprawę ze wszystkiego, co zaszło przy *Rue l'Echaudé* po wyjściu poety... Chciał się z nim poprostu podzielić przyjemną wiadomością, która, jak dla Juliusza, miłą niezmiernie musiała być niespodzianką.

Z tym puharem dla Słowackiego miała się rzecz w następujący sposób. Zaledwie Mickiewicz, a niezadługo po nim i Słowacki — wraz z Leonardem Niedźwieckim—opuścili zebranie, wystąpił Eustachy Januszkiewicz, „który był duszą wszystkiego“, z propozycyą, ażeby, póki się jeszcze wszyscy nie rozeszli, urządzić składkę i za zebraną sumkę kupić jakiś przedmiot, np. puhar srebrny, któryby ofiarowano przy sposobności Mickiewiczowi na pamiątkę téj górnéj chwili, wspólnie z nim pod jednym dachem przeżytéj. Myśl tę uznano za słuszną i godną urzeczywistnienia. Zanim jednak przystąpiono

do zbierania składki, Kołysko, wychodząc z zasady zwykłéj słuszności, zwrócił uwagę, że jeśli dar jakiś ma się ofiarować Mickiewiczowi, to żadną także miarą nie można pomijać Słowackiego, dla téj prostéj przyczyny, że on to właśnie improwizacyą swą dał początek całéj tak świetnéj scenie... Powtóre, zaprzeczyć się nie da, że znakomity talent Słowackiego, talent, którego oczywiste dowody dał niedaléj chociażby, jak dzisiejszego wieczoru, zasługuje w każdym razie, jeżeli nie na uwielbienie, to przynajmniéj na uznanie. Nie należy téż zapominać, że jeśli zachowanie form grzeczności wymagalném jest w codziennych stosunkach towarzyskich, to tém bardziéj liczyć się z niemi wypada, gdy chodzi o *vatum irritabile genus* [1]).

Rozumowanie powyższe zyskało aprobatę obecnych, wszyscy jednozgodnie uznali je za najzupełniéj racyonalne, ukartowano więc, że obadwaj poeci otrzymają po upominku. Ostatecznie zgodzono się na puhary srebrne, każdy z odpowiednim napisem. Kupieniem ich mieli się zająć Kołysko i Roman Załuski.

Ale od powzięcia jakiegoś planu aż do wykonania go bywa częstokroć droga bardzo daleka. Nie była téż ona blizką ani łatwą do przebycia na emigracyi podówczas, gdzie tysiące rozmaitych projektów rozbijało się o brak funduszów. Tutaj wszelako, szczęśliwém zdarzeniem, przeszkoda ta, kiedyindziéj tak ważna, nie istniała prawie: zamożny bowiem Kaszyc, widząc, że towarzyszom jego niełatwo przychodzi rozstawać się z groszem, dał tyle, że „prawie wszystkich zastąpił“ [2]). Zebrana po chwili suma okazała się dość nawet pokaźną.

I stałoby się może wszystko, jak zadecydowano, gdyby nie okoliczność, że wielu z uczestników uczty już się było rozeszło. Musiano ich przecież uwiadomić o powziętym zamiarze... Składka miała być pobraną wprawdzie od tych tylko, co byli świadkami improwizacyi, ale za to od wszystkich. „Z góry“ również postanowiono, że w drugiéj uczcie, podczas któréj nastąpi wręczenie puharów, wezmą udziało „tylko te same osoby, które były na pierwszéj.“ Wogóle wypadało wszystko raz jeszcze *in gremio* omówić i dlatego ostateczną decyzyę tak co do rodzaju podarunków, jak i co do terminu ich wręczenia odłożono na poświęta.

Odwłoka wszakże, jak zwykle, tak i w danym wypadku pociągnęła za sobą pewne zmiany, pewne refleksye, tutaj zaś, jak to było

---

[1]) Por. Aër, Wieczerza.

[2]) Na podstawie listu prywatnego p. Leonarda Niedźwieckiego do autora pracy niniejszéj.

nietrudném do przewidzenia, obróciła wszystko na niekorzyść Słowackiego. Wniosek Kołyski, zrazu uznany za słuszny, kiedy mu wypadło przejść przez ogniową próbę dyskusyi, upadł; myśl uczczenia Juliusza podobnym upominkiem, jak Mickiewicza, zetknąwszy się z nieprzychylném dla poety usposobieniem partyi Januszkiewicza, stopniała niebawem, jak śnieg wystawiony na operacyę słońca; a że wszystkim potroszę zależało na tém, ażeby Słowackiego „cokolwiek zbić i strącić“, zamiast odznaczyć zaszczytnie, postanowiono więc nie brać w rachubę możliwych z jego strony pretensyi i kupić puhar tylko dla Mickiewicza.

Jakoż kupiono okazalszy nawet, aniżeli zamierzano zrazu, te same pieniądze bowiem, co miały kosztować dwa, wydano na jeden.

Puhar ten srebrny, „na wielkie rozmiary, tak, że nie łatwo było brać go do ręki“, był upominkiem bardzo cennym, zarówno pod wartościowym, jak i pod artystycznym względem. Na pokrywie, na tarczy, służącéj za podporę kunsztownie odlanemu lwu, wygrawirowano: Adamowi Mickiewiczowi na pamiątkę dnia 25 grudnia 1840 roku. Poniżéj, dokoła samego naczynia, wyryto tytuły wszystkich utworów wieszcza, oraz następujące, z wiersza do Joachima Lelewela wyjęte słowa:

Imię twoje wybiegło za Chrobrego szranki
Między Teutońskie sędzie i bystrzejsze Franki.

Widząc to, Leonard Niedźwiecki, i czując, że wskutek takiego obrotu sprawy Juliuszowi dzieje się krzywda, niezasłużona i niesprawiedliwa, udał się osobiście do Januszkiewicza, ponieważ „znał się z nim dobrze“ i „zrobił mu tę uwagę, iż, dając upominek jednéj Improwizacyi, nie należy zapominać, że były dwie“.

— Ha, — odpowiedział pan Eustachy — Słowackiemu damy pierścień.

Niedźwiecki „uznał za stosowne zaraz to Słowackiemu powtórzyć.“

Okazało się jednak, że się słowa Januszkiewicza „wcale nie miały ziścić“, że był to poprostu „wybieg“ z jego strony. O, bo Januszkiewicz „znany był z podobnych wybiegów“ [1]).

---

[1]) Na podstawie listu prywatnego p. Leonarda Niedźwieckiego do autora pracy niniejszéj. — O tém, że ostatecznie ofiarować nie miano Słowackiemu ani puhara, ani nawet pierścienia, dowiedział się poeta niezawodnie (przed d. 1-go stycznia 1841 r.) znowu od Lomana lub Niedźwieckiego, którzy mu o wszystkiém, co się w łonie obozu Januszkiewicza działo, donosili.

.....Ułożono tedy, że w imieniu 40-tu admiratorów Mickiewicza, zebranych wtedy przy *Rue l'Echaudé*, Słowacki ofiaruje mu kielich (wraz z wypisanym na pergaminie adresem), i że uczyni to nietylko „w dowód uwielbienia i miłości“ wszystkich uczestników uczty z dnia 25 grudnia, ale i w dowód zarazem swojego względem autora Pana Tadeusza „wasalstwa“.

Na uroczystość tę, prawdziwe święto dla „zwolenników szkoły litewskiéj“, wyznaczono wieczór 1 stycznia. Wieczoru tego, podobnie jak przed tygodniem, odbyć się miała w tym samym, co i poprzednio, lokalu Januszkiewicza wspaniala uczta, wspanialsza nierównie, aniżeli pierwsza, uczta, na któréj „Słowacki miał oddać puhar...“ Ażeby go do misyi téj nakłonić, wysłano na *Rue Castellane* Nr. 11 osobną delegacyę [1]), mającą mu rzecz całą przedłożyć, delegacyę, która wbrew wszelkim przewidywaniom... powróciła z niczém.

Słowacki bowiem, wiedząc już, że go pominięto zupełnie, że odstąpiono nietylko od zamiaru ofiarowania i jemu także puharu pamiątkowego, ale go nawet chciano wyprowadzić w pole, obiecując pierścień, o którego kupnie nikomu się nie śniło, rozdrażniony tém wszystkiém, a nadto jeszcze wytrącony z równowagi rozkazującym, prawie dyktatorskim tonem, jakim go zmusić chciano do tego kroku, poprostu upokarzającego dlań, jako dla człowieka, a bardziéj jeszcze, jako dla poety, oświadczył stanowczo, że propozycyę odrzuca, że puharu Mickiewiczowi nie wręczy, ponieważ się za niczyjego wasala nie uznaje, etc. Odmowa ta, wypowiedziana dobitnie, bez ogródki, zirytowała delegatów, ile że pokrzyżowała im naraz wszystkie plany, „wymieniono więc nawzajem wiele słów szorstkich i przykrych“, od słowa do słowa przyszło do kłótni, któréj rezultatem oczywiście było, że Słowacki na ten drugi wieczór do Januszkiewicza nie przyszedł i że puharu Mickiewiczowi nie wręczył... [2]).

---

[1]) Byli tymi delegatami prawdopodobnie Kołysko i Roman Załuski, oni bowiem, jak powiedziane było, zajęli się kupnem puharu.

[2]) Aër w swojéj „Wieczerzy“ utrzymuje (nie wiem, na jakiéj podstawie i zkąd czerpie tę wiadomość), że puhar ten wręczył Mickiewiczowi Franciszek Grzymała. Tymczasem p. Leonard Niedźwiecki, którego list w téj sprawie leży przedemną, w następujący sposób wieczór ten z dnia 1-go stycznia 1841 roku opisuje:

„....kiedyśmy weszli do sali jadalnéj, już puhar stał na środku stołu uczto-wego i nikt go przez cały czas nie tknął, tak, że żadnego wręczenia przez nikogo nie było. Puhar sam siebie dostatecznie przedstawiał.“ Albowiem (jak to już przytoczyłem na innem miejscu) puhar to był „na wielkie rozmiary, tak, że nie tak łatwo było brać go do ręki.“ Dodać winienem, że w ustępie: „żadnego wręczenia przez nikogo nie było“, wyraz „żadnego“ podkreślił p.

Krok ten, równający się zerwaniu, a więc zadarciu z całém stronnictwem, stał się odrazu przyczyną wrzawy niesłychanéj wśród interesowanych, „komentarzy zgryźliwych i plotek, pokątnie po mieście roznoszonych“; *fama crescebat eundo*, z drobnéj na pozór muszki wyrastać zaczął wielbłąd, tak iż skończyło się na tém, że po upływie tygodnia (dziesięciu dni najwyżéj) powstała z mętów tych najnieprawdopodobniejsza legenda, jakoby Mickiewicz w improwizacyi swéj na uczcie z dnia 25 grudnia powiedział „wręcz“ Słowackiemu, że „dobiera rymy“, że „składa zgłoski“, że utwory jego pozbawione „wiary i miłości“, to „owoce rozumu“ i „płody marzenia“, pisane nie w natchnieniu, ale na zimno, słowem, że nie jest poetą... Dlatego — opowiadano sobie — nie stawił się Słowacki na uczcie z dnia 1 stycznia, dlatego nie chciał wręczyć puharu Mickiewiczowi. Obraził się...

Bądź co bądź, ostentacyjne do pewnego stopnia niestawienie się Słowackiego na drugiéj uczcie u Januszkiewicza było — z punktu widzenia antagonistów poety — conajmniéj dotkliwą klęską, która jako taka bezwarunkowo domagała się... odwetu.

Nie zapomniano téż o nim, nie! A ponieważ zaciekłość stronnicza nie zwykła się cofać przed niczém, postanowiono więc, żadnych

---

Niedźwiecki raz, „wręczenia“ — dwa razy, „przez nikogo“ — trzy razy, „nie było“ — raz.

A propos téj niebytności Juliusza na uczcie z dnia 1 stycznia jeszcze jedna uwaga, tym razem czysto osobista. Zdaje mi się, że Słowacki nie brałby w uroczystości téj udziału nawet, gdyby nie owo zajście z delegatami. Był to bowiem wieczór noworoczny. Pani Bobrowa, prowadząca w Paryżu „dom otwarty dla jednoplemiennych“ mogła bardzo łatwo wieczoru tego wyprawić u siebie rodzaj rautu... Zapraszając jakich kilkanaście osób, nie pominęłaby w téj liczbie zapewne Słowackiego. Ten ostatni zaś, mając do wyboru niesympatyczne sobie otoczenie Mickiewiczowskich wielbicieli, oraz wykwintne, arystokratyczne towarzystwo, jakie się zbierać zwykło w domu pani Joanny, można być pewnym, że zdecydowałby się bez chwili wahania na ostatnie, nigdy na pierwsze, choćby go tam nawet nie chciano zmusić do oddania hołdu Mickiewiczowi.

Jak we Florencyi „na Nowy Rok oddał kilka wizyt, wieczór zaś przepędził u pani Zdzisławowej Zamojskiéj w gronie ziomków“, podobnie się rzecz mogła mieć i teraz w Paryżu, z tą jedynie różnicą, że panią Zdzisławową Zamojską zastąpiła pani Bobrowa.

Nie zapominajmy, że Słowacki w latach 1839—1842, t. j. zanim się stał towiańczykiem i zanim zaczął stronić od wielkoświatowego towarzystwa, prowadził w Paryżu podobny żywot, jak we Florencyi, jak w Rzymie, jak w Genewie, jak wreszcie za swojego pierwszego nad Sekwaną pobytu; będąc z rana literatem, po całodziennéj pracy, wieczorem lub po południu, od obiadu, „stawał się u n D a n d y, angielskim *petit-maitre*.“ „I przyznam się wam — pisze raz w téj mierze do matki, — że to lubię: staram się, żeby nikt wieczorem nie odgadł, czém jestem z rana, a z rana, żeby mi nic z wieczornéj *fatuité* nie zostało.“

sobie nie robiąc skrupułów, ukarać zuchwałego pyszałka i dać mu nauczkę, którą popamięta bogdaj do końca życia: napiszą coś takiego, czém go „zabiją w osobie poety“.

Wdzięczne to zadanie wziął na siebie Eustachy Januszkiewicz...

Słowacki tymczasem, nie przewidując zupełnie, jaki nań gotowano cios, choć wiedział, że „ich wszystkich dyabli biorą“, ujrzał się nagle osamotniony i, co gorsza, osaczony przez ludzi, prześcigających się wzajemnie w miotaniu nań potwarzy i oszczerstw. Nie chcąc się z nimi widywać, musiał pomimowoli ograniczyć swoje stosunki towarzyskie do *minimum*... Gdziekolwiek poszedł, wszędzie był narażony na to, że spotykał swoich antagonistów, z którymi, o ile dawniéj na dyplomatycznéj, o tyle obecnie wprost na wojennéj pozostawał stopie.

W podobnéj znalazłszy się sytuacyi, był Słowacki, jak ów Mickiewiczowski Farys, sam wśród pustyni bezbrzeżnéj, pustyni, na któréj oprócz kilku palm zielonych, jak Niedźwiecki, Loman, Błotnicki i paru innych, musiała się znaleźć także i... oaza urocza, w cieniu któréj wolno mu było szukać wytchnienia...

Oazą tą był dlań „przyjazny dom“ pani Bobrowéj, jedyny, w którym się nie spotykał ze swoimi antagonistami, i już przez to samo najprzyjemniejszy ze wszystkich. Nigdzie mu nie było tak lubo‘ tak swojsko. Nigdzie—od czasu jak opuścił dom pani Patteg w Genewie — nie znajdował tyle „przyjaźni i ciszy“, co tu. Pani Joanna, współczując jego radościom i smutkom, roztaczała nad nim siostrzaną prawdziwie opiekę... Nazywał ją też zazwyczaj swoim „złotym duchem dobréj rady“ i słusznie, ponieważ „mówiąc do nieszczęść tak, jak anioł gada“, łagodnością swą i dobrocią lała mu balsam na duszę... W jéj domu, przy niéj, nie czuł się nigdy „samotnym“.

Posiadając ową „moc, co serca wskrzesza, albo kruszy“, pani Joanna dokazała z czasem, że w poecie znów „hymny“ różne „zmartwychstawać“ poczęły, że się czuł, jakby „zbawiony, dumny, bezpokutny“, i że „ta czczość jakaś“, która mu dawniéj prace jego i dumania „obrzydzała“, zniknęła. To samo owa „niespokojność smutna i rozpacz“, któremi się przedtém trapił tak często. Dzisiaj, dzięki zbawiennemu wpływowi pani Joanny, mógł, pisząc do matki, napisać co następuje: „Gdyby nie to, t. j. gdyby nie myśl, że ja ci miłości mojéj niczém dowieść nie mogę, byłoby mi dosyć dobrze na ziemi; stałem się bowiem spokojniejszy, weselszy prawie, w wielu rzeczach mniéj niecierpliwy, to jest rozsądniejszy: słowem, świat mi był nauką niezbyt gorzką, pełną wspomnień i wrażeń...“ [1]).

---

[1]) Z listu datowanego d. 15 lutego 1841 r.

Resztę czasu—godziny ranne przeważnie — poświęcał Słowacki swojéj drugiéj kochance: poezyi. W obecném położeniu, gdzie go prawie „wszyscy odstąpili“, praca twórcza była mu prawdziwą osłodą. Pisząc, przenosił się myślą do czarownego świata owych „wspomnień i wrażeń“, o których mówił w liście do matki, do świata fantazyi, świata, po którym bujając jak orzeł na skrzydłach imaginacyi, przypominał sobie dawne dziecinne lata... [1]. Dziękował więc Bogu, że mu „dał zamiłowanie w tém, co nie przemija i co nie jest śmierci podległe“, w ferworze zaś, jak to się poetom zdarzać zwykło, zapominał o karnawale, o zapustach, o tém, że kiedy on siedział zgarbiony nad stolikiem i kreślił swoje „awantury“, Paryż cały wrzał zabawą i weselem, że tańczono we wszystkich *quartiers*, że po ulicach uwijało się tysiące masek, arlekinów, pajaców w jaskrawych kostyumach, pieszo lub w kabryoletach, że wszędzie, we wszystkich zaułkach pełno było życia i ruchu, śmiechów i wrzasków. Zobojętniały na te maskarady i hece, może dlatego, że nie widział w nich „dość kolorytu romantycznego“, jak np. w weneckich zapustach — tak plastycznie opisanych przez Malczewskiego w Maryi — mało wychodził z domu i „drzwi od Europy zamknąwszy hałasów“, dumając i marząc o swojéj krainie, o téj ziemi stepów, gładkiéj, cichéj, „gdzie kwiat dla Boga kwitnie i usycha“, rzeźbił oktawy swojego „malutkiego“, który, dzięki zajściom po dniu 25 grudnia, miał być „zły“.

Beniowski—takie bowiem nosił „malutki“ ów nazwisko — rozpoczęty przed kilku już miesiącami, a pisany, jak Balladyna, „z aryostycznym na twarzy uśmiechem“, mniéj tylko niż Balladyna i wszystko, co poeta napisał dotąd, fantastyczny, więcéj granitu, aniżeli tęcz, z porady Zygmunta Krasińskiego zawierający, począł teraz, odkąd się doń Słowacki zabrał powtórnie, schodzić z téj aryostycznéj drogi [2]), oblicze zaś jego, pogodne i uśmiechnięte, zaczął coraz bardziéj wykrzywiać szyderski, prawdziwie Mefistofelesowski śmiech.

— I chociaż serce pęka, śmiech mię bierze!

Śmiech ten — przez łzy — miał się dać boleśnie we znaki całéj „frakcyi“, zgrupowanéj koło Januszkiewicza i jego pisma. Postanowiwszy raz okazać się względem antagonistów swoich „bez łez, bez litości“, puścił Słowacki wodze swéj sarkastycznéj żyłce, nie szczę-

---

[1]) Zob. Listy, t. II, str. 64. „Nie uwierzysz, Sally droga, jak mi papiér naklejony, pędzel w ręku i kolory roztarte przypominały dawne dziecinne lata...

[2]) „Gdzie mój poemat? Moje przedsięwzięcie
Epiczne? M o j a a r y o s t y c z n a d r o g a?...
Ben., Pieśń II.

dząc nikogo... Bo i czemuby nie pohulać z nimi trochę? Czemuby się nie obejść z „tą ciemną zgrają“ tak samo, jak się w swoim czasie obszedł w Don Juanie Byron z Southey'ami, Wordsworth'ami, Coleridge'ami? Aż po dziś dzień obchodził się z nimi „jak lew, co poziewa, patrząc na małość zielonego węża“ i nie raczył nawet odpowiadać na ich złośliwe zaczepki. Czemużby więc nie zerwać się raz, jak lew, król puszczy, i złowrogim rykiem swym napełniwszy powietrze, nie przywołać do porządku zuchwałych, zmuszając wszystkich, ażeby zadrżeli przed nim i „uchylili czoła“? Nie miałże sił po temu? Albo odwagi? On, który się nie lękał niczego! Jeżeli tacy panowie, jak ów Z. K. mieli prawo odmawiania wartości jego poezyom, to i on ma prawo odpłacić im pięknem za nadobne. A zresztą, najwyższy już czas zedrzéć zasłonę z téj „krainy niczego, pełnéj wężowych ślin, pajęczych nici i krwi zepsutéj“, krainy, gdzie t. zw. krytycy z tego tylko żyją, „co ząb ich uchwyci na pięcie wieszcza“. Zamiast, jak przystało na prawdziwych krytyków, powodować się względami słuszności i bezstronności, „mają usłużne, w jadzie maczane pióra,

I krwią handlują i duszą biedactwa,
I sami tylko o swém kłamstwie wiedzą,
I swym bezkrewnym wyszydzają palcem,
Człeka, co nie jest trupem lub padalcem!

Kiedy wydał Trzy poematy, zbył je ów pan Z. K. tonem lekceważącym, wyżéj ceniąc... bajki Antoniego Góreckiego! Za Dantyszka nazwał go „śmiesznym poetą“. O Balladynie pisano, że „tyle o niéj dobrych obiegało pogłosek, bo pono od samego autora“, że rozczarowanie było nieuniknione. Nie widziano w niéj ani logicznego związku, ani sensu, ani stylu, ani poezyi, ani prawdy historycznéj, — słowem, ani jednéj z „owych piękności pierwszego rzędu, widnych ojcowskiemu oku pana Słowackiego.“ Widziano natomiast „dyalog pełen niedorzeczności“, zaprawny „najzupełniejszym brakiem dowcipu“, etc. Całość złożona z „dziwacznych potworów, to błazeńskich, to strasznych, to rzewnych“, wydała się im „szczerozłotem, bez żadnego aliażu głupstwem“ [1]). Z powodu Beatrix Cenci, choć wtedy nie wyszła, a która zdaniem recenzenta Tygodnika literackiego była „stekiem zbrodni“, wyraził się podagryczny Witwicki, że ledwo się tytułu jednéj tragedyi Słowackiego na pamięć nauczy, to już druga wychodzi. Zarzucali mu też, że „wszystko mu tylko przez głowę, a nic przez serce nie przepływa“, że utwory jego nie absorbują mu, jak innym pisarzom, życia“. Lilla Weneda znów, zdaniem „jednego

---

[1]) Zob. Mł. P., Nr. 29 z d. 10 paźdz. 1839 r.

z najszanowniejszych korespondentów“ poznańskiego Tygodnika, była „mało zrozumiałą dla czytającego“ i t. d.

Niezrozumiałą? Dlaczego? Ha, dlatego chyba, że, jak twierdzi Zygmunt [1]), „więcéj jest wątrób na świecie, niż serc“ i że „chcąc, aby cię zrozumiały wątroby“, należy do lazurów przymieszać trochę żółci. To uczyniwszy, zobaczysz, jak ten „ziemski pierwiastek chemiczny“ zwabi ku tobie wszystkich... „Ach! jakże cię wtenczas rozumieć będą wątroby!“ Sprobuj—radził mu przyjaciel jego z willi Mills—oni tego się domagają! Dopiéro uczują twoją rękę, gdy z gruba na nich uderzysz, gdy im spadnie ciężka, koścista na skronie: to kapuściane głowy! Dopóki wzniesiona w powietrzu i ku gwiazdom, ku przybytkom Boga, dopóty oni myślą, że to biała lilia rosnąca niewinnie na łąkach błękitnych przestrzeni! Do korda i na sejmik, rąbać mi siekać, a zostawiwszy trupy na placu, znów poróść w skrzydła i zawisnąć na niebie!

Powyższe rady swojego „największego przyjaciela“ uznał teraz poeta za słuszne. Zastosuje się więc do nich i... zostawi trupy na placu! Zadrwi z tych, co go nie rozumieją, kpiną zapłaci za kpiny! W tym celu, Beniowskiego, którego część epicką, aryostyczną, ma już prawie napisaną, upstrzy rozmaitego rodzaju odskokami od rzeczy i dygresyami *à la* Don Juan, w których najwznioślejszy częstokroć, najsmętniejszy liryzm przeplatać będą dysonansowe zgrzyty i pioruny, a wszystkie wymierzone w piersi tych „politycznych Falansterów“, w łysiny tych „Heglów poznańskich“, szczególniéj zaś... w pięty różnych bigotów ze szkoły Witwickiego, Januszkiewicza, Góreckiego, Ropelewskiego *e tutti quanti*. Dygresye te najróżnorodniejszéj natury, jedne żółte jak żółć, drugie pąsowe jak krew, lub zachodzące słońce, inne błękitne jak lazur nieba włoskiego, lub... oczy pani Bobrowéj, niektóre zielone jak głupota ludzka, będą pstrocizną swą i jaskrawym kolorytem przypominały tych arlekinów karnawałowych, uwijających się z trzepaczką skórzaną po ulicach i smagających nią, kogo wypadło.

Oto zadanie Beniowskiego i rola, jaką miał pośród téj „zgrai“ litewskiéj odegrać.

Pracując nad nim — w przerwach pomiędzy wizytami u pani Joanny — nie mógł Słowacki i jéj także choć kilku nie poświęcić wierszy. Boć trudno nie wspomnieć o kobiecie, która z dniem każdym coraz bardziéj stawała się panią jego myśli i serca, rodzajem *donna gentile*, o kobiecie, któréj „oczy-turkusy“ przyprawiały go nie-

[1]) Por. List Krasińskiego do Słowackiego, z Rzymu d. 23 lutego 1840 r.

raz o dziwną jakąś, westchnieniami ujawniającą się tęsknotę... Pokusa była zbyt silna, ażeby z nią walczyć można. To téż, w jednym z ustępów pieśni trzeciéj, wymierzonym przeciwko stronnikom Mickiewicza, a potrosze i przeciwko samemu Mickiewiczowi, którego tu nazywa sarkastycznie „wszystko wiedzącym wieszczem“, napomknął delikatnie i o pani Bobrowéj.

Co będzie z wami, prosto wam nie powiem;
 Nie jestem, jako wieszcz wszystko wiedzący.
Krwią do was piłem, moim duchem, zdrowiem [1],
 A teraz ciskam serce, puhar lśniący...
Słyszycie? Pękło. Teraz mi wezgłowiem
 Jedno kobiece serce... Jestem śpiący,
Omdlały,

miłości „ogniem owionięty, piekielne rzeczy rzucający, święty“...

Niech się komedya gra. Może mi przyjdzie
Grać inną, wtenczas was wszystkich przerażę...

Tymczasem „niech los i serca szaleństwo zwycięża!“ „Serce moje się jak łuk wypręża“ i dlatego „rzuca was, głodne sępów pokolenie!“

Kto inny teraz jest nademną, nie wy,
 Na których patrzał ja, Akteru blady,

kiedym, „wieszcz“, mówił do was „w jasnowidzie“ różne rzeczy „ciemne“ i kiedy „z mózgu mojego mieliście jedzenie“ [2])

Między ciemnemi położę się drzewy,
 Słowiki będą moimi sąsiady;
Księżyc, jako mój srebrny anioł lewy,
 Ona, jak złoty mój duch dobréj rady,
Odgoni czarne Cherubinów stada [3]),
Mówiąc do nieszczęść tak, jak anioł gada.

Przez litość tylko nademną siostrzaną,
 Przez błękit tylko swojéj własnéj duszy,
Przez gwiazdę swego losu obłąkaną
 Przez moc, co serca wskrzesza albo kruszy,
Przez to, że hymny we mnie zmartwychwstaną,
 Jeżeli ona mnie, jak harfę, ruszy,
Będę zbawiony, dumny, bezpokutny...

Rozkoszne to marzenie kończyło się smutną refleksyą: „Ale to wszystko sen—i może smutny?“ Kto wié?

---

[1]) Aluzya do uczty z d. 25 grudnia 1840 r.

[2]) Wszystko to są aluzye do owéj uczty u Januszkiewicza i improwizacyi Słowackiego.

[2]) „Czarne Cherubinów stada“ to antagoniści Słowackiego.

Jéj lodowaty, marmurowy spokój przejmował go chwilami obawą. Bo kiedy on, dzięki tym wspólnym z nią „marzeniom szarych godzin“ coraz widoczniéj opanowywać się pozwalał „serca szaleństwu“, i kiedy mu nietajném już było, że serce to „długo zimne i ostygłe“ znowu zaczyna, jak gdyby „zmartwychwstawać“ pod jéj wpływem; ona, chociaż darzyła go prawdziwie „siostrzaną litością“, innego po za tém nie zdawała się dlań żywić uczucia. Lubiła go, a on by chciał... [1])

Ta jednak przyjaźń ze strony pani Joanny, przyjaźń, która poecie dzisiaj nie wystarczała, ile że dając przedsmak miłości, była od niéj głęboką przedzielona otchłanią, ta przyjaźń pani Joanny dla Słowackiego, niekłamana i szczera, i te rozmowy z nim przy kominku, przez cały nieraz ciągnące się wieczór, stały się dla niéj z czasem potrzebą niemal: jeżeli zdarzyło się kiedy, że spodziewany nie przyszedł, było jéj przykro. Z nim bowiem, jak niegdyś z Krasińskim, mogła gawędzić nietylko o tém, co stanowiło przedmiot zwykłych salonowych rozmów, szablonowych i pustych najczęściéj, ale i o sobie także, ponieważ on jeden w tym czasie, dzięki właśnie „nieszczęściom“ swoim, umiał pozyskać jakoś bezwzględne jéj zaufanie, tak, iż przestała w końcu miewać dlań tajemnice: mówiła mu o wszystkiém otwarcie, jak spowiednikowi. Poeta zaś? On mógł o sobie powiedzieć to samo, co Krasiński, kiedy donosił Sołtanowi o swojéj znajomości z panią Delfiną Potocką:

— I teraz, w wieczór, ona smutno, żałobnie, opowiada mi swoje życie moralne, a ja słucham i czasem ją cieszę [2]).

III.

Wobec tego, nie dziw, jeżeli się Słowacki dowiedział ostatecznie i o największéj a starannie aż dotąd ukrywanéj przed nim tajemniczy pani Bobrowéj: o jéj miłości z Krasińskim [3]). Wyznanie to, świadczące najwymowniéj, jak bezgraniczném zaufaniem darzyła pani Joanna Juliusza, oraz jak ścisłe z nim łączyły ją węzły przy-

---

[1]) W tém uczuciu pisał Słowacki do matki 15 lutego 1841 r.: „N i e s t e t y tak kochać, jak ty kochasz, nikt nie umié na świecie“ i „d l a t e g o w słowach moich jest czasem jakaś niespokojność smutna i rozpacz.“ „A teraz bez egzaltacyi i prosto ci napiszę, że ty zajmujesz p i e r w s z e miejsce w sercu mojém; gdybym umierał, kazałbym je spalić, powiada, i odnieść matce, „bo jego popiół do nikogo innego nie należy. Zawsze czegoś brakowało tym, którym je oddać chciałem.“ A więc chciał komuś oddać? Że miał tu panią Bobrową na myśli, o tém niepodobna wątpić.

[2]) Listy do Sołtana, Neapol, 13 Decembra 1838 (t. II, str. 141).

[3]) Zob. Małecki, op. cit. t. II, str. 262; dr. Antoni J., op. cit. str 30.

jaźni i zażyłości—o rzeczach bowiem takich nie mówi się byle komu—wyznanie to, o ironio życiowa! przyśpieszył i spowodował sam autor Irydiona, dzięki swéj Nocy letniéj, która w tym właśnie czasie — w drugiéj połowie lutego mniéj więcéj — ukazała się bezimiennie w Paryżu. Słowacki przeczytawszy ją domyślił się od razu, z pod czyjego ta „powieść poetyczna", wyszła pióra, ile, że nie sposób nie poznać Krasińskiego po stylu; wiedząc zaś, jak zapaloną pani Bobrowa była utworów Zygmunta wielbicielką, przyniósł jéj któregoś dnia „powieść" tę do przeczytania, podejmując się zarazem nieuciążliwéj, a bardzo jak w danym wypadku przyjemnéj roli lektora. Nie pierwsza to zresztą książka, którą czytali razem.

Jak wiadomo, poprzedza Noc letnią piękna, wierszowana apostrofa do jakiegoś „serca niewieściego i prześladowanego", które, jak powiada autor, za to, „że się natchnęło w myśli święte, wieszcze" oraz,

Że nad sąd ludzi i praw ich zawiłość
Przeniosło swoją nienawiść lub miłość:
Nienawiść podłych lub miłość Anioła,

pozostało „w walce z innemi" i „potwarzą ścigane dokoła", nigdzie odtąd „na téj smętnéj ziemi" nie znajdowało pokoju...

Jeśli to serce, co wiele kochało,
Jeśli to serce, co wiele cierpiało,
Dziś nakształt głazu ścierpło i zlodniało,
Lecz wrzkomo tylko, na zewnątrz, bo skrycie
Tli w jego wnętrzach nieśmiertelne życie
I żadna krzywda ludzka nie wyziębi
Skry spadłéj z niebios, co wre w jego głębi;
Jeśli to serce, w samotnéj żałobie,
Jak grób zamknięty, tak zamknięte w sobie,
Na świat spogląda nie mściwie, nie hardo,
Lecz z przebaczenia anielską pogardą i t. d. i t. d.

Poczém zwraca się już poeta do serca tego, jako do „siostry" swojéj:

Za to, żeś siostro w fałsz nie uwierzyła,
W bożyszcze złota i w marę próżności [1])

poświęcam ci „tę pieśń méj duszy". Weź ją,

po pieśni poznasz we mnie brata,
To pieśń z innego — tak jak i ty — świata.

---

[1]) Alluzya do męża pani Bobrowéj, który był uosobioną „próżnością" pseudopańską i dla którego „złoto" prawdziwém było „bożyszczem". Zob. jego charakterystykę, dra Antoniego J. op. cit.

Dedykacya ta, głęboko wzruszająca, i jako poezya, niepospolicie piękna, piękniejsza nierównie, aniżeli sama Noc letnia, która jest „najobojętniejszą ze wszystkiego, co Krasiński w latach dojrzałych napisał“ [1]), dedykacya ta m u s i a ł a na pani Bobrowéj niezwykle silne uczynić wrażenie [2]). N i e m o g ł o b y ć i n a c z é j.

„Po pieśni p o z n a s z we mnie b r a t a“. Jakoż wystarczyło jéj raz tylko pieśń tę usłyszéć, ażeby zrozumiéć — czego nie rozumiał Słowacki—że tém „sercem niewieściém i prześladowaném“, tą siostrą, któréj Krasiński mieni się „bratem“ i któréj Noc letnią „w świętém współczuciu“ poświęca, jest ona, nie kto inny, ona, do któréj się najwyraźniéj odnosiły wszystkie słowa téj „pieśni“, ona, która się w nich widziała odmalowaną, jak na wizerunku, jak w zwierciedle, ona, któréj życia była ta „pieśń“ treściwie i wiernie opowiedzianą historyą. Ona bowiem, nie kto inny, dała się natchnąć „w myśli święte wieszcze“; ona przeniosła „miłość Anioła“ nad „nienawiść podłych“, za co teraz w „samotnéj żałobie“ i w walce ze społeczeństwem, ścigana potwarzą, pokutuje ciężko; ona „wiele kochała“ i wskutek tego „wiele cierpiała“; ona z sercem podobném do „grobu zamkniętego“ spogląda na świat „nie mściwie, nie hardo, lecz z przebaczenia anielską pogardą“; i ona wreszcie „dziś nakształt głazu“ scierpła i zlodniała, choć z drugiéj strony żadna w niéj krzywda ludzka wyziębić nie zdoła téj iskry bożéj „spadłéj z niebios“, a rozniecenéj przez Zygmunta.

Na myśl, że to jéj — a nie Delfinie Potockiéj — Krasiński tę pieśń swéj duszy poświęcił, co poniekąd uważać należało za dowód, że pomimo wszystkiego pamiętał jeszcze o swojéj pierwszéj kochance,

---

[1]) Zob. St. Tarnowski, przedmowa do 1-go wyd. pism Zyg. Krasińskiego a także w dziele tegoż autora o Zygmuncie Krasińskim (Kraków, 1893) str. 322—332.

[2]) We dwa miesiące późniéj, kiedy jéj Słowacki czytał inny utwór, tym razem nie Krasińskiego, ale swój własny, doznawała pani Bobrowa, słuchając go, również bardzo silnego wrażenia. Powiada Słowacki (w jednym z listów do przyjaciela, o których nie czas jeszcze mówić na tém miejscu), że *la commotion éléctrique qu' elle en a ressentie ne peut se comparer qu' à celle qu'on reçoit en se baignant d'une torpède.* To po przesłuchaniu dzieła Juliuszowego, dzieła, które się jéj mogło bardzo podobać, ale też nic więcéj. O ileż silniéj oddziałać na nią musiała dedykacya „Nocy letniéj“, gdzie była mowa nie o jakiéjś włoszce XVI wieku, ale wprost o niéj, o jéj nieszczęściu. *Nota bene* pochodziło to od Zygmunta, który był sprawcą wszystkiego, a którego, powtarzam, pani Bobrowa n i e p r z e s t a ł a k o c h a ć n i g d y. Można więc sobie wyobrazić wstrząśnienie psychiczne, o jakie ją przyprawił ten Krasińskiego poemat, ją, którą, jak wiemy od p. Gnatowskiego, („Moja Beatrice“) samo imię ukochanego zdolne było — nawet w ostatnich latach życia—wyrwać chwilowo z odrętwienia i apatyi.

że widocznie wspominał ją czasem, czule i... nie bez wyrzutów sumienia, że w sercu jego nie wygasły zupełnie „święte współczucie“ i „święta miłość“ dla niéj, na myśl o tém, wzruszenie — *la commotion éléctrique* — jakie owładnęło nagle panią Bobrową, było tak silne, tak wstrząsające, że nie spostrzegła się nawet, jak w przystępie nadmiernego żalu i „wielkiego ucisku“, wtajemniczyła Słowackiego we wszystko, co czuła na razie i co jéj z nieprzezwyciężoną siłą jakąś rozsadzało piersi. *C'était plus fort qu' elle.* Jak drobna iskra, na beczkę prochu rzucona, staje się przyczyną eksplozyi, tak samo i ta dedykacya, poprzedzająca Noc letnią (któréj już w dniu tym nie czytali razem) zetknąwszy się z materyałem tak palnym, jak wspomnienia pani Bobrowéj o Krasińskim, musiała spowodować wybuch, wybuch, zależnie od temperamentu, mniéj lub więcéj gwałtowny.

W danym wypadku, jak się okazało, wybuch był mocy niezwykłéj, skoro mu się ostać nie mogła nawet i ta największa tajemnica pani Joanny, tajemnica, któréj strzegła dotychczas, jak źrenicy oka jak kwestarz Robak swojéj.

Przedewszystkiém tedy, przyznawszy się Słowackiemu zaraz na wstępie, że ona, nie kto inny, jest tą „siostrą“, tém „sercem niewieściem i prześladowaném“, któremu poświęcona Noc letnia (tak samo, jak ona, nie kto inny, jest tą „Maryą“, któréj „poświęcone“ są Irydion, Agay Han i Nieboska) przyznawszy mu się do tego, wyprowadziła go następnie z błędu, w jakim, dzięki skrytości jéj, aż do dziś dnia pozostawał, mianowicie, że stosunek łączący ją z Zygmuntem przekraczał o wiele granice przyjaźni i sympatyi...

O, nie była to przyjaźń, ani zwykła pomiędzy krewnymi sympatya, ale miłość, miłość namiętna i czuła— z jéj strony przynajmniéj — miłość, która oderwała „żonę od męża, matkę od dzieci“ i która jéj „popsuła los życia“ na zawsze.

Dla niego „wszystko straciła na ziemi“, on ją wyrwał „z samotności serca“, on ją „pozbawił przed ludźmi i przed własném sumieniu pokoju“, on ją „wygnał moralnie z progów domowych“, on sprawił, że jest nieszczęśliwą, bez dawnéj wśród znajomych estymy, „bez dawnego przywiązania do życia, któremu była przywykła, bez dawnéj równowagi serca i rozumu“. Dla niego straciła dobrą sławę, „a może i duszy zbawienie“. Imię jéj teraz w kraju: Zhańbiona! A za co? Za to, że miłość rozerwała jéj serce [1]), że przyszedł dzień, w którym ukochaną została; za to, że

[1]) Por. Niedokończony poemat, Listy do Jaroszyńskiego (wyd. Gorzkowskiego) oraz wyjątki z listów do Sołtana, ogłoszone (w r. 1877) przez St. Tarnowskiego.

„uwierzyła w piękność i dobroć i rozum“; za to, że „święcie kochała“. On pierwszy potrafił w jéj duszy niezgasłe rozniecić płomienie, on pierwszy był, którego pokochała, a pokochała tak, jak go żadna pewno kobiéta w życiu kochać nie będzie, „bo dwóch miłości takich być nie może“. Mimo to „opuścił“ ją w końcu... I dla kogo?!! Dla Delfiny Potockiéj, o któréj miłostkach z księciem Orleańskim i panem Flahaut, nie mówiąc o innych, mniéj głośnego nazwiska, wiedzieli wszyscy, samego nawet Krasińskiego nie wyłączając [1]).

A jednak, choć oddalony od niéj, choć wszystko pomiędzy nimi zerwane, choć nie zobaczą się już nigdy, ona uczuć swych dlań nie zmieniła ani na chwilę, i chociaż wié, że ta jéj miłość dla niego to jakiéś nic nieuchwytne, to przecież widzi w tém nic wszystko, tak samo, jak wszystko po za tém nic, jest dla niéj niczém.

Nic mi jest wszystkiém i wszystko mi niczem [2]).

W sercu jéj, zobojętniałem na wszystko, nie ma już „siły dawnych przywiązań“, ani nawet „ran dawnych“. Zapanowała w niém wszechwładnie „bezbolesność“, a bezbolesność „to piekło boleści“.

W oczach jéj „wyschły dawnych płaczów zdroje“. Spokojna wielkim głazów grobowych spokojem [3]), nieczuła, jak owi umarli, co „bez współczucia“ patrzą nieruchomo na błahe zabiegi śmiertelnych, utraciła wiarę w miłość, w przyjaźń, w dobroć, i zwątpiwszy ostatecznie, aby jéj „istotę z lodu“: cośkolwiek „odmłodnić“ zdołało, żadnych już nowych nie pragnęła ułud.

„Nic już ziemskiego w mego serca toni“.

A jeśli zdarzyło się czasem — rzadko — że dusza jéj chwilami wpadała jeszcze „w niepokoje“, wtedy, ile że była dziś „mędrsza stokroć doświadczeniem“, przypominała sobie, że „wszystko martwością“ i znieczulała się tém—sztucznie—jak morfiną.

Bo duszy we mnie zagasło przezrocze
I, tak przed ludzi, jak Boga obliczem,
Nic mi jest wszystkiem i wszystko mi niczém.
Nic, nic, niestety! Oto słowo moje,
Oto ma wiara, moja tajemnica!
Przez nią niczego w świecie się nie boję,
Przez nią mnie w świecie już nic nie zachwyca.
Ach! Jakże dawniéj lękać się umiałam!

---

[1]) Zob. Listy Z. Krasińskiego, t. II, str. 139.
[2]) Zob. wiersz p. t. Przestroga (?) pisma Z. Kr., t. III, str. 106.
[3]) „Spokój mój—wielki, jak głazów grobowych.

Ach! Jakież dawniéj rwały mię zachwyty:
Kochałam morze, ląd, gwiazdy, błękity,
Cała z strun drżących... A dziś z głazu całam!
Ach! bo jednego człowieka kochałam,
I świat mi wszystek wyglądał od niego
Rajem dóbr świętych...

Dzisiaj, świat ten, taki podówczas piękny, wydaje się jéj „pustynią złego, złego i nudy, ciemnością, milczeniem, wszechzmartwiałością“.

Z szczęścia, jak kwiat, oberwana,
W żałości, jak obłąkana [1]),

wzgardzona i „opuszczona“ przez człowieka, który ją z drogi obowiązku sprowadził na manowce, a któremu ona, choć nigdy jéj żoną nie nazwał, była „więcéj, niż żona [2]),

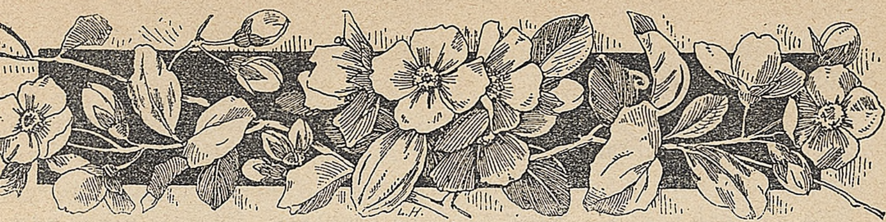
Siostra, kochanka, niż wszystkie imiona,
Któremi ludzie kochanie przezwali“,

wyczerpana „długą tęsknotą“, smutkiem i „bojem zaciętym z myślą o kochanym“, lekceważona i niezrozumiana przez najbliższych, a szczególniéj przez tego, z którym ją wiązał sakrament małżeństwa... i dzieci, wykolejona z prostéj ścieżki, jaką kroczyła, zanim poznała Zygmunta, oczekiwała tylko, czy rychło wybije „godzina śmierci“, godzina, która, jak dla niéj, będzie początkiem spokoju i wytchnienia.

(*C. d. n.*) *Ferdynand Hösick.*



[1]) Sen srebrny Salomei.
[2]) Wrażenie z Kampanii, Pisma Z. Kr. t. III, str. 13.



W KLESZCZACH.

NOWELA.



I.

Pan radca, ojciec trzech córek, mąż poważny i stateczny; ludzie mówili, że „głowa otwarta“, czemu nie zaprzeczał, a wierzył, że jest przewidująca—i dlatego uważał się w głębi duszy za dobrego dyplomatę.

— Metternich,—mówił do siebie—tęgi łeb, lecz gdybym ja miał jego stanowisko i władzę, pokazałbym Europie.

W imię przewidywań na daleką metę, w imię dyplomacyi, któréj był czcicielem, dzień dzisiejszy naznaczył na zaręczyny swéj najstarszéj córki Basi z dwudziestoparoletnim chłopcem, słuchaczem drugiego roku prawa, synem swego kolegi szkolnego i kolegi w hierarchii służby państwowéj.

Basia, hoża dziewczyna, tłuściocha, biała, okrągła, rumiana, o zadartym nosku, niebieskich oczach i koralowych, pełnych ustach, żywa, wesoła, uśmiechnięta, wyborna gospodyni, — wyręczała matkę, a w wielkich kwestyach gospodarczych była często wyrocznią.

Dwudziestoparoletni narzeczony Gustaw, oprócz niebieskich, romantycznych oczu i białych zębów, ściągłéj, o ciemnéj skórze twarzy i zgrabnéj budowy, posiadał dużo fantazyi, przedewszystkiém lirycznéj, naturalnego pociągu do poezyi, poczucia piękna, szybkości pracy i wielkie zdolności.

Radca-dyplomata wysoko cenił w przyszłym swym zięciu szyb-

kość pracy i zdolności, a mniéj sobie z tego robił, gdy go nazywano ładnym chłopcem.

— Przy mojéj protekcyi i protekcyi swego ojca, wysoko zajdzie! Z poetycznych mrzonek wyleczy go moja Basia. Posagu nie dostanie, ale dostanie Basię! Basia—to majątek, skarb! ona z jednego robi dwa, z dwóch cztery! Basia wcielona praktyka. Zdrowie u niéj wielkie i trzeźwość wielka!...

Pan radca się rozśmiał, dumny ze swéj córki. Ubrany w czarny frak, białą kamizelkę i czarny krawat, przechadzał się posuwistym krokiem po swym salonie.

— Ludzie się dziwią, dlaczego ja właśnie dziś zaręczam tych dwoje dzieci!... O ciasne, nieprzewidujące głowy!... Dlaczego? dlaczego?... Wiem ja dlaczego!... Z chłopakami, o przewróconych głowach poezyą, niebezpiecznie przedłużać na lata konkury. A tak, klamka zapadnie i niech kiedy popróbuje zmykać...

— Niech spróbuje—zawołał z mocą.

Zatrzymał się.

— I po cóż się się unosisz!? Czyż to podobne, aby miał odwagę i bezczelność?... Niepodobna!... krewni, przyjaciele, ludzie, opinia, cały kraj... Niepodobna! nie—nie...

Radca odpychał ręką niepodobieństwa.

— Wiem, co robię. Dyplomacyo! przy rozumie stanu, wytrwałości i przewidywaniu królujesz! Dobrze powiedziałem.

Zaśmiał się i zatarł ręce.

— Kochają się, niech się zaręczą!... Jasne, jak słońce, proste, naturalne! Lecz w téj prostocie tkwi wielka myśl.

Basia dwa lata temu skończyła szesnaście lat, on skończył dwadzieścia, różnica cztery lata. Dla człowieka praktycznego dosyć, dla idealisty mało, dyabelnie mało. Basia tłuściocha, o zadartym nosku, dziś hoża, świeża... Ale niechże tak daléj tyje, albo co jeszcze gorzéj, niech schudnie, zczernieje i twarz się jéj wydłuży.

Radcę, jako kochającego ojca, przeszły dreszcze.

Dwudziestoparoletni chłopak idealista lub nie, wszystko jedno, jednako lgnie do młodéj, zdrowéj tłuściochy. Co innego, gdy idealista dosięgnie trzydziestki!... Wtedy co innego, lecz wtedy klamka, która dziś zapadnie, nie otworzy się, rygle, które się dziś zamkną, nie odsuną się. Idealisto, chociażbyś się schował w mysią dziurę, znajdzie cię własne sumienie, wyciągnie i za uszy zaprowadzi do ołtarza. A gdy Basia raz złapie męża, da sobie radę.

Baśka, moja Baśka da sobie w życiu radę, byle męża dostała. Mąż dla kobiéty — to tyczka dla chmielu. Moja Baśka, gdy będzie

mieć oparcie, zajdzie daleko. Ale czy to będzie praktyk, czy idealista — wszystko jéj jedno.

Otworzyły się drzwi, wbiegła Basia w białéj sukience, za nią dwie jéj siostry i mama, o poczciwéj, szerokiéj twarzy, tłuściocha, zadowolona z siebie, ze swego losu, zakochana w męża dzieciach, mniéj w mężu i jego dyplomacyi, zakochana w gospodarstwie i mieszkaniu, które swém gniazdkiem nazywała.

— Tatusiu, czy dobrze? — zawołała pieszczonym głosem Basia.

Uniosła się na palcach i obróciła. Radca spojrzał badawczo okiem znawcy.

Białe, odkryte ramiona i białe, do połowy odsłonięte piersi, tylko co rozwinięte, podobne do pączków białéj róży, wyglądały z po za stanika obszytego białą koronką. Uśmiechnięte usta i patrzące figlarnie oczy, stanowiły wyborną całość podlotka, zmieniającego się w kobiétę.

— Oj, ty dyplomatko—rzekł radca, całując ją w czoło.

Była to najwyższa pochwała, na jaką mógł się zdobyć.

— Patrz ojczulku! We włosach, przy staniku, na upięciu niezapominajki, wszędzie niezapominajki. Dobrze w nich blondynce, a przytém niech go biją w oczy, aby nie zapomniał.

Radczyni i dwie młodsze córki, Justyna i Krysia, oglądały badawczo tualetę Basi. Radczyni uśmiechała się zadowolona, siostry oniemiały z zachwytu.

— Czemuż to dziś nie są naprawdę twoje zaręczyny—odezwała się matka.—Jesteś tak ładna.

— Jakto, nie naprawdę?—zapytała zdziwiona Basia.

— Jakto, nie naprawdę?—powtórzył radca.

— Zaręczyny naprawdę są te, kiedy po nich następuje w dwa, lub trzy miesiące ślub i na gwałt robi się wyprawa.

— Tymczasem, mamusiu, wyprawę będziemy robić przez dwa lub trzy lata. Powoli, dokładnie, oszczędnie.

— Gdyby przez trzy? A jak będziesz musiała czekać sześć lat? Spytaj się ojca, jak to trudno młodemu zdobyć kawałek chleba i stanowisko.

— Będę czekać dziesięć. Czy mi to tu źle?—Ucałowała matkę, przytuliła się do ojca.—Nie wypędzacie mnie przecie?

— Dziecko,—rzekła wzruszona radczyni—gdy dom rodzicielski opuścisz, będę płakać przez trzy dni i noce.

— Filutka,—dodał radca — umyślnie wywołuje czułość. Umié grać na sercu matki.

— Zostań z nami całe życie—wołały Justynka i Krysia.

— Chcecie mnie zrobić starą panną, dziękuję...

We drzwiach stanęła służąca.

— Wszystko do ułożenia kompotów gotowe! — rzekła uroczyście.

Basia, nie kończąc frazesu, pobiegła za służącą, siostry za Basią.

Małżonkowie zostali sami.

— Wandziu, zaręczyny odbywamy najsolenniéj, tak jak gdyby ślub miał być za cztery tygodnie. Patrzaj!

Radca z kamizelki wyjął pudełeczko, otworzył i podał żonie.

— Kupiliśmy razem z dyrektorem. On dla Basi, ja dla Gucia. Zrobimy niespodziankę dzieciom. Ksiądz-prałat poświęci pierścionki, pobłogosławi zaręczonych i wytnie do nich oracyę. Przygotowany. Świadków będzie trzydzieści. Mówię ci, Gustaw to partya.

— Czy to nie marzenia, mój ty, wielki dyplomato—odezwała się na pół ironicznie radczyni.—Któż zaręczy, czy Basia, mając lat dwadzieścia, nie zakocha się w kim innym? Naprzykład, w jakim szlachcicu na jednéj lub dwóch wioskach. A o Guciu sam mówiłeś, że to kawałek poety.

— Moja Wandeczko—przerwał radca rozdraźniony — wybij sobie z głowy szlachciców na jednéj lub dwóch wioskach, którzyby się żenili bez posagu. Dzisiaj tacy się nie poławiają. A właśnie, że z Gucia kawałek poety, dlatego to dziś są *jego* zaręczyny. Rozumiész *jego*. Bo cóż mogą obchodzić zaręczyny Basię? Trafi się lepsza partya zrobi, co będzie chciała. Co innego Gustaw.

Pan radca stanął w pozycyi wyzywającéj.

Kto się ośmieli zrywać i zdradzać córkę radcy Wiewiórkowskiego, jeżeli sam się ceni i szanuje? Kto? niech stanie przedemną i spojrzy mi w oczy. Tém więcéj Gustaw.

— O ile słyszałam — rzekła radczyni spokojnie — to, że ze wcześnie zaręczonych nie zawsze bywają szczęśliwe małżeństwa.

— Ale nie z naszą Basią!

— A jeżeli Basi przyjdzie dziesięć lat czekać na posadę i karyerę Gustawa?

— Wtenczas będzie mieć dwadzieścia ośm lat.

— A jeżeli...

— Pewno zawracasz do szlachcica na jednéj lub dwóch wioskach! Znajdź go, a pogadamy.

— Łatwo powiedziéć, a czyż nie wiész, że od narzeczonéj młodzież ucieka, jak od...

— Ale nie od Basi, przekonasz się. Ty dzieci wychowuj, a losy ich oddaj w moje ręce.

Radca dyplomatycznie spojrzał na zégarek.

— Wandeczko, już po siódméj, a jeszcześ nie ubrana?

— Wypędzasz mnie, więc idę, ale nie przestanę powtarzać, że szkoda gospodarskich zdolności Basi, dla urzędnika chociażby tak wielkiego, jak ty.

— Znajdź wioskowego — wołał wesoło za odchodzącą radca. — I przyjdźże tu do ładu z babami! Wjechał jéj do głowy wioskowy i gotowa mi popsuć misternie ułożony plan! Gotowa pokazywać tony dyrektorowi i narzeczonemu, gotowa noskiem kręcić, gotowa się drożyć.

Radca się zamyślił.

— A niech się droży—zawołał—tém lepiéj! Dwudziestoparoletni adonis nie da się odstraszyć od alabastrowego biustu rozwijającego się, jak dwa pączki róży. Przecież i ja nim zostałem dyplomatą, byłem młody i odczuwałem rozkosz woni rozwijających się białych pączków...

Radca-dyplomata skracał sobie czas oczekiwania wspomnieniami młodości. Uśmiechał się, mlaskał ustami i głową wstrząsał.

Odgłos dzwonka przerwał marzenia i zelektryzował go.

— Poznaję nerwowe szarpnięcie Gucia! Niecierpliwy, rozgorączkowany, wzruszony, prowadzi ojca.

Radca się omylił. Nie ręka Gucia nerwowo wstrząsnęła dzwonkiem, lecz jednéj z dwóch ciotek, starych panien, właścicielek dwudziestu tysięcy na dwupiętrowéj kamieniczce, którą posiadały.

Pan radca cenił ciotki, jako dwa okazy nieskazitelności obyczajów, a dwadzieścia tysięcy nazywał ornamentyką złotych ram, otaczającą te suche głowy, a zacne dusze i szlachetne instynkty... Na szlachetne instynkty ciotek liczył dużo.

Gdyby jednak szlachetne instynkty uleciały do Boga przed zaręczynami na rok, pan radca prędzéjby uległ wpływom żony i również, jak ona, nie chciał marnować talentów Basi na szczupłém polu działania gospodarstwa miejskiego.

Stało się — nie uleciały! Ciotki w materyalnych wiśniowych sukniach, kremowych szalach, przy zégarkach, zawieszonych na cienkich, weneckich łańcuszkach, wkraczają. Z po za kremowych szali wyciągają chude ręce, okryte gołąbkowemi rękawiczkami, wytartemi silnie gumalastyką,

— Radco, kochany radco, jesteśmy. Uroczystość wzruszająca Oboje tacy młodzi, piękni—miłość będzie bodźcem do karyery!

— Do pracy—poprawiła młodszą siostrę starsza.

— A cóż ja powiedziałam? Praca daje karyerę.

— Nie zawsze. Co innego praca, co innego karyera. Ludko, nie bądź dzieckiem, już czas.

Ludka istotnie miała czas przestać być dzieckiem i na dowód usadowiła się na kanapie, robiąc miejsce po prawéj stronie siostrze.

W samą porę zjawił się Gucio ze swym przyjacielem Edwardem. Serdecznie uśmiechnięty, o potarganéj fantastycznie czuprynie, rozmarzonym wzroku, zgrabny, ujmujący, szedł naprzód śmiało.

— Drogi ojcze!

Pierwszy raz Gucio nazwał radcę ojcem.

Radca roztworzył ramiona.

— Jesteś nareszcie, mój synu.

— Jakie to czułe, jakie to wzniosłe!—zawołała Ludka.

Wykrzyknik ten wesoło podziałał na obu młodzieńców.

— Kochane moje ciocie!

I, o zgrozo, Gucio najpierw złożył pocałunek na rękawiczce ciotki Ludki, a dopiéro drugą ucałował ciotki Madzi. Ludka była przestraszona, Madzia ponura.

Chłopcy zakręcili się po salonie i znikli. Został radca z ciotkami.

W jadalnym pokoju zrobiło się odrazu wesoło i gwarno.

— Gdzie jest narzeczona, oddajcie mi moją żonę, pokażcie ją — wołał Gucio.

Basia z siostrami i trzema przyjaciółkami, ubranemi balowo, kończyła przyozdabianie kompotów porzéczkami i głogiem.

— Zaraz, zaraz, panie mężu, chwileczkę—szczebiotała—tylko jeszcze dwa gronka, Patrz, już ostatnie. A teraz mnie masz—twoją na wieki, patrz i podziwiaj.

Gucio ujął jéj białe ręce, patrzał i podziwiał.

Ramiona śnieżnéj białości i te ukazujące się z po za stanika dwa pączki rozkwitającéj róży olśniły go, tamując mu na chwilę bicie serca. Usta dziewczyny odchylone rozkosznie uśmiechały się, oczy płonęły ogniem powstającym z nieświadomych pragnień.

— Jakaś ty piękna, jakaś ty piękna—szeptał—przekleństwo, że nie mogę dziś cię zaprowadzić do ołtarza.

Nachylił się do ucha dziewczęcia.

Zapach i blizkość młodziutkiego ciała upajały go.

— Uciekajmy! Weźmiemy ślub w pierwszym spotkanym na drodze kościołku. Skryjemy się, przepadniemy dla oczu ludzkich, będziemy żyć sami dla siebie.

Dziewczę zaprzeczyło główką.

— Nie, nie można, nie wolno, mamy czas — odpowiedziała. — Nie jesteśmy jeszcze urządzeni — młodzi. Cóżbyśmy potém oboje robili?

— Basiu, ty jesteś za trzeźwa na narzeczoną, na ubóstwianą i dlatego już dziś powinnaś być żoną, panią gospodynią.

Basia nie zrozumiała ukrytéj myśli Gucia.

— Pochlebco—przerwała—nie namówisz mnie! Już się wydodobyłam z pod twéj władzy, przestałam być dzieckiem, znam swoje obowiązki.

Gucio nie nalegał. Przycisnął ręce dziewczyny do ust i patrzał na nią wzrokiem zachwytu i podziwu.

Wrzawa i śmiechy wypełniły pokój. Pan Edward deklamował w pół cicho wesołe wierszyki, napisane do narzeczonych. Starszy od Gucia o cztery lata pisywał czasami satyryczne utwory, a w uniwersytecie kończył filozofię.

Śmiéch był szczery i serdeczny, wierszyki udatne i wesołe. Musiał je powtórzyć głośno i przysiądz, że zadeklamuje przy kolacyi. Ustępy do narzeczonéj, jako wzoru gospodyń i trzeźwości, przyjęła Basia z godnością.

— Widzisz, jaką będziesz miał żonę—zawołała z tryumfem.

Przymioty Gucia, jako męża, karykaturalnie określone wywołały oklaski.

Edward umysł otwarty, bystry spostrzegacz, odgadł przyszłość w pożyciu małżeńskiém zakochanéj dziś pary i dobrze ją scharakteryzował.

Gucio się zamyślił. Marzyciel stroił dziewczynę we wszystkie tęczowe barwy swéj fantazyi. Raził go sarkazm przyjaciela i w głębi serca bolał.

Weszła radczyni w szalu tureckim, prezent ślubny męża, koronkowym czépeczku i popielatéj, materyalnéj sukni.

— Patrzajcie, jaka nasza mamusia śliczna — zawołała Basia, rzucając się ku matce.

— Śliczna, śliczna—powtórzyły dziewczęta.

— Matko! — rzekł uroczyście wzruszony Gucio, całując ją w rękę.

Radczyni pocałowała go w czoło.

— Gdybym to ja mogła się doczekać prawdziwych zaręczyn mojéj córki—pomyślała—i to nie z urzędnikiem?

Nie było czasu na refleksye.

— Kto jest w salonie?—rzuciła pytanie.

Basia pobiegła i wróciwszy zdała raport.

— Prałat, pan dyrektor, nasze ciocie, naczelnikowa i prezydentowa z córkami, dwóch radców, partnerów do wista i trzech auskultantów do tańca...

Pochyliła się, kończąc szeptem:

— Cały fortepian zastawiony prezentami.

Twarz radczyni ze wzruszenia zaróżowiła się. Zaciekawiona zakomenderowała:

— Chodźmy! Guciu, podaj ramię Basi, dzieci za mną.

Wyprzedzał gromadkę Edward, roztwierając drzwi do saloniku na rozcież.

Radczyni majestatycznie wkroczyła, ciągnąc za sobą popielaty ogon popielatéj sukni.

— Cóż to za wzruszająca chwila—mówił Gucio blady, przejęty ważnością swéj roli.

— Ho, ho, już klamka zapada, panie mężu, nie wymkniesz się—szczebiotała wesoło Basia.

— Ja, wymknąć się?—powtórzył dramatycznie Gucio.

Weszli do salonu.

— Cóż to za porywający obraz—wydeklamowała Ludka, i całe towarzystwo ruszyło do radczyni, otaczając młodą parę.

Prałat wdział komżę i stułę, ojcowie wyjęli z pudełek pierścionki, kładąc je na srebrnéj tacy—prezent prałata, jako przyjaciela i dalekiego krewnego.

Prałat był dobrym kaznodzieją i przy każdéj sposobności lubił mówić. Powiedział więc zgrabną mówkę o dwóch zasłużonych w mieście rodach i ich latoroślach, łączących się z sobą.

Ciotka Ludka wzdychała głośno, radczyni ocierała chusteczką suche oczy, ojcowie byli dumni i zadowoleni z siebie, Gucio wzruszony i rozmarzony nerwowo ściskał rękę Basi, Edwarda bawiła cała ta scena, a zachwycała ciotki.

Podano pierścionki. Radczyni rzuciła okiem na pierścionek, przeznaczony dla jéj córki, a za nią Basia. Spojrzały na siebie i uśmiechnęły się nieznacznie, lecz przyjemnie.

Prałat uroczyście pierścionki włożył na palce narzeczonych i pobłogosławił, rodzice uścisnęli dzieci. Gustaw ze łzami w oczach, bijącém sercem patrzył miłośnie na dziewczę, szepcąc:

— Na całe życie, na całe życie—moja jedyna, moja ukochana.

Radca zakończył uroczystość frazesem:

— Z pewną dumą—dumą nadziei nazywam cię, mój chłopcze, synem. I nie zawiodę się na tobie, jestem tego pewny.

— Nie, nie zawiedziesz się kolego—poświadczył dyrektor.

— Tatko bardzo kocha swego jedynaka — odezwała się z przymileniem Basia do dyrektora,—lecz może i mnie troszkę—dodała.

Szmer uwielbienia dla sprytu Basi rozszedł się po salonie.

Panie zaprowadziły narzeczoną do fortepianu, wręczając jéj przyniesione prezenta, przy wykrzyknikach podziwu, radości i zachwytów ze strony Basi i jéj matki.

Sakramentalne dwanaście łyżeczek do kawy, zastawa do herbaty, koszyk na ciasta i owoce, taca, lichtarze i wiele innych gospodarskich drobiazgów.

— My nic nie dajemy—rzekła Ludka, — ale tylko dlatego, aby nie uszczuplać wam naszego majątku. Wszystko po nas niedługo zabierzecie.

Po wypowiedzeniu powtarzanego przy każdéj sposobności frazesu, Ludka westchnęła, Madzia zmrużyła oczy.

— Żyjcie jak najdłużéj — odpowiedziała, jak zawsze tak i tym razem radczyni.

— Panie jesteście tak wybornie zakonserwowane—odezwał się Edward—tak młodo i czerstwo wyglądacie.

— Co pan mówisz—zawołały razem ciotki.

— My zakonserwowane? my zdrowe? my czerstwe?

Młodości nie zaprzeczały.

— Czy pan wiész, że ja mam w sobie dwadzieścia jedna chorób—zawołała Madzia.

— A ja dwadzieścia ośm—dokończyła Ludka.

— Jak blagować, to już dobrze—odpowiedziała jéj Madzia.

Edward się wycofał, zostawiając walczące ze sobą siostry.

Basia i Gucio z młodszém pokoleniem zbierali z fortepianu prezenta, chowając je na przyszłe gospodarstwo do szafy narzeczonéj, również prezent matki.

Po ustach Edwarda przesuwał się nieznacznie uśmiech zadowolenia, uśmiech artysty, który dostrzega wszystko, rozumié wszystko i dobrze się tém bawi.

Radca zobaczył uśmiech i odczuł go.

— Piekielnie się uśmiecha ten filozof-literat. Nie jestto odpowiednie towarzystwo dla Gucia i dla jego karyery. Uśmiéch to zjadliwy i opozycyjny. Niezawodnie filozof robi opozycyę. Trzeba będzie chłopaka oswobodzić z tych więzów przyjaźni.

Dyrektor, wielki zwolennik wista, zaczął się niecierpliwić, należało czemprędzéj urządzić dla niego partyę.

Młodzież miała ochotę tańczyć.

Chwila stanowcza wielkiéj radości nadeszła, otworzono fortepian. Ciotka Ludka z miną uroczystą ściągnęła gołąbkowe rękawiczki, zdjęła szal, uderzyła parę akordów i mimo dwudziestu ośmiu chorób, zaczęła żwawo wygrywać walca skomponowanego przez Lhamera, a grywanego z wielkiém powodzeniem w karnawale 1850-go roku.

W pierwszą parę wysunął się Gucio z Basią. Przyjęto ich oklaskami. Od chłopca biły promienie, od dziewczyny szczęście.

Edward stanął przed ciotką Madzią i skłonił się poważnie. Madzia się zawahała chwilę i z tragicznym spokojem wstając, odrzuciła kremowy szal, poprawiła rękawiczki i poszła w tan.

Matedory siedzące na kanapie oniemiały. Ludka wytrzeszczyła oczy i usta rozwarła. Szmer wesołości przeszedł po towarzystwie.

Krysia wpadła do pokoju grających.

— Ciocia Madzia tańczy z panem Edwardem—zawołała.

Mężczyźni porzucili karty, cisnąc się do drzwi.

Edward, trzymając chudą talię Madzi, sunął z nią w takt łagodnych tonów walca. Uśmiechał się rozkosznie—radcy się zdawało, że piekielnie.

— To szyderstwo z mojéj rodziny w moim domu—pomyślał.

Na dany znak przez dyrektora rozległ się grzmot oklasków po sali. Blada twarz Madzi zaróżowiła się, na wązkich ustach błąkał smutny uśmiech podobny do listopadowego poranku.

— Ktoby się mógł domyśléć—odezwał się w tańcu Edward—że pomimo tylu chorób pani tak lekko tańczy.

— Pochlebco—szepnęła ciocia Madzia.

— Czym się nie zagalopował—pomyślał Edward. — Gotowe się dziś odbyć drugie zaręczyny.

Do kadryla Gucio wyprowadził mamę radczynię. Biała tłuściocha nie wyglądała więcéj nad lat trzydzieści.

Bawiono się wybornie.

Przy wieczerzy parę zaręczonych posadzono na pierwszém miejscu. Radczyni, patrząc na rozwiniętą Basię, a przy niéj na chudego młokosa, żałowała, pytając się zawistnego losu: dlaczego przy jéj córce nie siedzi dwuwioskowy szlachcic?

Posypały się toasty. Zaczął je prałat, skończył dyrektor, ojciec Gucia.

Młodzież domagała się głośno, aby Edward powtórzył wiersz na cześć narzeczonych. Proszących poparł prałat i prezydentowa.

Nie było rady, Edward powstał i z nie odstępującym go uśmie-

chem wygłosił wierszyk, pełen humoru i niewinnéj satyry. Śmiano się serdecznie z wyjątkiem ojca Basi. Zrozumiał ukrytą satyrę wierszyka i do reszty zniechęcił się do autora.

O północy skończyła się uroczystość. Rozmarzony Gucio ucałowawszy ręce narzeczonéj i rodziców, opuścił z przyjacielem dom, który uważał za ziemski raj dla siebie.

II.

Dwóch przyjaciół, rozgorączkowanych własnemi myślami, biegło żywo, póki im tchu w piersiach nie zabrakło. Zatrzymali się jednocześnie. Księżyc tajemniczo oświecał mury kamienic, otaczających plac Maryacki.

Spojrzeli sobie w oczy.

— I cóż?—spytał Gucio.

— Nic—masz żonę.

— Narzeczonę.

— Wszystko jedno, wcześniéj czy późniéj ożenisz się z tą, a nie inną.

— Pragnę jutro—pochwycił z entuzyazmem Gucio.

— Wierzę. Lecz czy w twoim wieku, przy twym idealizmie czy marzycielstwie, mieć żonę na karku jest pożądaném, upragnioném, konieczném — zobaczymy.

— Czemużeś nie dodał: wskazaném! To dziennikarsko-polityczno-lekarskie wskazane zaczyna mnie drażnić i gniewać.

Ujął przyjaciela pod ramię, poszli daléj.

— Mój Edziu, ty, jak na wszystko na świecie, tak i na moje zaręczyny zapatrujesz się pesymistycznie.

— Jak na wszystko na świecie, tak i na twoje zaręczyny nie zapatruję się pesymistycznie, lecz może trochę trzeźwo, może mimo mych dwudziestu sześciu lat racyonalnie.

— Więc cóż?

— Zapytuję cię, po co to wszystko?

— Nie rozumiem.

— Oj głowo, ty głowo! Jeżeli po latach dziesięciu, zdobywszy sobie stanowisko, będziesz kochał Basię, a ona do tego czasu nie wyjdzie za mąż — pamiętaj, będzie mieć dwadzieścia ośm lat skończonych, to wtedy oświadczysz się i sprawisz zaręczyny nawet z arcybiskupem! Ciotki Basi puszczą się galopka, radca się spłacze, radczyni wysadzi się z kolacyą, a ty za miesiąc będziesz miał żonę. Gdy

dziś jesteś zaręczonym studentem. Basia za dwa lata może wyjść zamąż, będziesz cierpiał.

— Zabiłbym ją — szepnął ponuro Gustaw.

— Widzisz, popełniłbyś niepotrzebnie morderstwo i wiele jeszcze innych głupstw, z którychby ludzie nie wiele sobie co robili. Przebolałbyś stratę i ten obrót rzeczy byłby jeszcze dla ciebie najlepszy.

— Co? — zawołał oburzony młodzieniec.

— Powtarzam najlepszy, bo ty byłbyś ofiarą i męczennikiem. Lecz jeżeli ty, gdy wyjdziesz z dzieciństwa, przerośniesz o głowę cały ten świat mieszczański, w którym żyje Basia...

— Nigdy!

— W tém nigdy dzieciństwo twoje jest potężne. Wierzysz w postęp ludzi i społeczeństw, a nie wierzysz we własny?

— Edziu kochany, posłuchaj mnie — przerwał wzruszony chłopiec. — Jestem sierotą, ubóstwiana przezemnie matka odumarła mnie prawie dzieckiem, ojciec zajęty biurem, żyje po za domem. Zresztą mężczyzna nie tworzy rodziny a ja jéj tak potrzebowałem. Poczciwa radczyni zaopiekowała się mną i przygarnęła. W domu jéj znalazłem drugą rodzinę, przywiązałem się i zakochałem w Basi.

— Nic ci się nie dziwię. Gdyby cię przygarnęła ciotka Madzia, tobyś się zakochał w ciotce Ludce.

Gucio się rozśmiał.

— Natury, podobne do twojéj, kochają z wdzięczności i przez wdzięczność.

— Chcesz abym kochał z niewdzięczności?

— Kochaj jak ci się podoba. Gdybym był na twojém miejscu niezawodnie zakochałbym się również w Basi, w jéj wesołości, swobodzie, w jéj białych, okrągłych ramionach.

— Edwardzie, nie profanuj świętego uczucia miłości.

— Gustawie, nie blaguj! Widziałem jakiemi oczyma patrzałeś na ramiona Basi. Idealisto, pamiętaj, że przez serce przepływa gorąca krew.

— Proszę o konkluzyą — przerwał poważnie Gustaw.

— Konkluzya jest ta, że jeżeli cię Basia nie uwolni, to ty ją będziesz musiał uwolnić z panieństwa i uwolnisz.

Zatrzymali się na rogu ulicy.

— Dobranoc ci — rzekł Gucio, wyciągając na pożegnanie rękę.

— Nie odprowadzisz mnie?

— Nie, zimno mi, za dużo kubłów zimnéj wody wylałeś mi na głowę.

— Chcesz się odemnie uwolnić, aby swobodnie marzyć?

— Przedewszystkiém, aby się rozgrzać.

— Razi cię mój realizm? może sarkazm?

— Bądź zdrów.

Rozstali się.

— Edziu! — zawołał Gucio przybiegając do przyjaciela. — Proszę cię o jedną łaskę.

— Słucham.

— Nie mówmy już w téj kwestyi, proszę cię.

— Nigdy?

— Nigdy.

— Bylebyś tylko dotrzymał słowa — zgoda?

Uścisnęli się i rozeszli.

Edward zwrócił się na Zielone. Mknął żywo po pustych ulicach. Odgłos jego kroków rozlegał się, odbijając się o mury. Idąc żywo rozgrzał się, krew biła mu do głowy snując coraz nowe myśli.

— Cały ten świat bawił mnie. Śmieszność ich sama się rzucała w oczy. Radca spekulujący na karyerę i zdolności młodego chłopaka, dyrektor żyjący dla partyi wista, mama radczyni, w któréj uśmiechu czytałem apostrofę do Gucia: „Jeżeli się trafi lepsza partya dla Basi, pójdziesz mimo pierścionka z kwitkiem.“

— I ten głupiec naprawdę we wszystko wierzy — zawołał głośno.

— Najprzedniejszym typem mieszczańskim jest bohatérka Basia. Narzeczony tyle ją obchodził, co czerwony głóg w kompocie, położony na gotowanych jabłkach. A już bez porównania więcéj dwanaście srebrnych łyżeczek na fioletowym aksamicie pudełka.

Nerwy nim szarpnęły, uderzył z całych sił laseczką o baryerę skweru.

— Żal mi chłopca a gniéwam się na siebie, że natura dała mi wyostrzony wzrok i pewną przenikliwość w odgadywaniu zamiarów i planów ludzkich.

Westchnął.

— Cóż ja temu winien, że nie lubię mieszczańskiego świata. Nie dla tego, że urodziłem się szlachcicem, lecz, że znam ten mały światek, poziomy, błahy, to wielkie nic, pełne pretensyi do wielkości i tę wielką mierność powszedniości.

Wzruszył ramionami.

— Cóż robić, trzeba przyjąć ludzi takimi, jakimi są, żyć z nimi, cieszyć się ich radością, płakać z nimi nad ich niedolą.

— Nie — tego nie potrafię i tego nie mogą odemnie wymagać. Wolę tańczyć z ciocią Madzią walca niż płakać... Nad kim mam płakać? Jest to najszczęśliwsza część naszego społeczeństwa.

Zatrzymał się przed piętrową kamienicą, przytykającą do dużego ogrodu zadzwonił.

— Pani wróciła? — zapytał.

— Jeszcze zanim zamknąłem — odpowiedział stróż.

Edward macając w ciemnościach dotarł do schodów. Na piętrze zapalił zapałkę, otworzył kluczem drzwi, wszedł cicho do pokoju, zaświecił lampę, siadł na fotelu i z pewną rozkoszą — szepnął.

— Nareszcie uczuwam się w swojém królestwie oddalony od całego poziomego świata o sto mil. Tu jestem królem moich myśli i panem własnych czynów. Tu jednako mnie obchodzi Basia ze swemi na pokaz ośmnastoletniemi ramionami, jak i Madzia z Ludką bez ramion! Nieskazitelny radca ze swymi tańcującymi auskultantami i jego pulchna w tureckim szalu połowica.

— Ten mały pokoik to mój raj! Tu składam przędzę mych myśli i mych uczuć kwiaty.

Spojrzał dokoła.

Na ścianach portrety i akwarelle, w rogu wielka szafa wypełniona książkami, przy oknie staroświeckie biurko z galeryjką i fotel wybity zieloną skórą. W drugim rogu pokoju za parawanikiem łóżko zasłane białą pościelą uśmiechając się czystością ciągnęło do siebie.

Rzucił wzrok na książkę rozłożoną na stole.

— „Wstęp do socyologii.“ Tylko anglik mógł napisać taką książkę, wielki pan, który mógł i umiał wydobyć się z więzów uprzedzeń i przesądów. Spencer nie był mieszczaninem ani londyńskim ani lwowskim, ani galicyjskim panem. I to całe jego szczęście. Radca nie napisałby wstępu do socyologii.

Zdawało mu się, że z drugiego pokoju doleciał do jego uszu szelest. Przesunął się na palcach do drzwi, przyłożył ucho do dziurki od klucza — słuchał.

Cicho było.

— Tak mi się tylko zdawało — szepnął.

Zaczął się rozbiérać.

III.

Nazajutrz o godzinie ósméj rano, przy herbacie za stołem, nakrytym białą serwetą, siedział Edward, mając po prawéj stronie matkę, po lewéj siostrę, czternastoletnią dziewczynkę, bladą, chudą o szafirowych oczach i ciemnych włosach.

Widać było z jego uśmiechu i łagodnego blasku oczu, że mu jest dobrze w tém towarzystwie. Z twarzy kobiét wyglądały zadowolenie i radość. Rozumieli się, odgadywali i przeczuwali.

Marynia chowając się w otoczeniu matki i brata dojrzéwała szybko, nad swój wiek.

— Wakacye się kończą — zaczęła matka.

— I znowu wrócimy do dawnego trybu — odparł Edward. — Marynia pójdzie do piątéj klasy, ja zacznę zapamiętale kuć, aby od nowego roku zostać doktorem filozofii. Przyjdą krótkie dni a długie wieczory, będziemy palić lampy, a późniéj ścieśnimy nasze kółko przy ognisku kominka.

— Cóż myślisz, gdy zostaniesz doktorem?

— Mam dwie drogi. Albo być suplentem i uczyć chłopców geografii i koniugacyi łacińskich za sześćdziesiąt papiérków na miesiąc, albo zostać docentem o dwudziestu guldenach dochodu, lecz pracować w swoim zawodzie i żyć dla nauki.

— Edziu wybierzesz docenturę — zawołała Marynia.

— Niezawodnie — dodała z godnością matka — jeszcze nam nie grozi śmierć głodowa. Dla czterdziestu guldenów miesięcznego dochodu, nie potrzebujesz schodzić z obranéj drogi i marnować życia.

— Tém więcéj mamusiu, że brakujące czterdzieści do pensyi suplenta dorobię pracą, za którą będę miał w zysku odrobinę uznania i sławy.

— I kiedyż zostaniesz profesorem uniwersytetu?

— Edzio profesorem uniwersytetu? fiu, fiu, — szepnęła Marynia, prostując się dumnie.

— W każdym razie, pierwéj ty zamąż pójdziesz — odparł Edward.

— Dlaczego? — spytała matka.

— Dlatego, że Marynia może pójść zamąż za lat pięć, a ja na docenturze będę siadział conajmniéj dziesięć. I czy kiedy z niéj wyjdę to kwestya? Mało mamy stosunków, nie umiem kłaniać się. Nie

ma we mnie cienia serwilizmu, nic z karyerowicza — jestem trochę dziki...

— Dodaj dumny—odezwała się matka.—Mam nadzieję, że w tego rodzaju dumie wytrwasz. To była cecha naszego rodu.

— Wytrwam mateczko bez zasługi, gdyż innym być nie mogę.

— Zobaczymy co będzie daléj. Bylebyś ty był zadowolonym, to tém samém i ja będę szczęśliwą.

— I ja — dodała Marynia rezolutnie.

— A mnie do zadowolenia życia potrzeba, abym tak jak w téj chwili miał obok siebie dwie istoty, które kocham, mógł wobec nich głośno myśléć, spowiadać się z tajników mego serca, kochać je, żyć z niemi, bawić się i w swojéj izdebce pracować. Wszystko inne marność nad marnościami.

— Na dwadzieścia sześć lat życia, to za małe pragnienia — zrobiła uwagę matka z łagodnym uśmiechem.

— Niezawodnie za małe; nauczeni jednak doświadczeniem poprzestańmy na tém co możliwe. Trzeba umiéć być filozofem, mamusiu.

— Trudno to w twoim wieku, bardzo trudno — dodała. — W téj chwili nie myślisz ty głośno.

— Mamo!

— Domyślam się, że i ty masz swoje ambicye, swoje marzenia, które składasz w ofierze ognisku domowemu.

Edward się zarumienił.

— Rumienisz się i zdradzasz się.

— Żartuje mama.

— Nie, mama nie żartuje. Rumieńce palą ci twarz — zawołała Marynia.

— Wywołane przez mamę i ciebie.

— Domyślam się — zaczęła matka.

— Niech się mama niczego nie domyśla. Najlepiéj mi tak, jak jest teraz, dziś, w téj chwili. Nie indagujcie mnie a za to opowiem wam szczegóły wczorajszych zaręczyn.

— Opowiadaj — podchwyciła Marynia — opowiadaj. Twoje opowiadania są wesołe i bardzo zabawne.

— Żal mi chłopca — zrobiła uwagę matka.

— Dlaczego mamusiu? Basia ładna, biała, tłusta. Gucio ją kocha, musi być szczęśliwym. Mamo, on pewno jest bardzo szczęśli-

wym, okropnie szczęśliwym. Prawdziwa miłość jest jedna, jedyna i na wieki.

— Kto ciebie tych rzeczy nauczył?

— Któżby jeżeli nie panna Weronika. Panna Weronika, mamusiu, mówi nam piękne rzeczy o miłości. Przed wakacyami powiedziała nam, że uczciwa kobiéta raz tylko kocha na całe życie. Basia musi być i jest uczciwą kobiétą, a Gucio byłby niegodziwcem, gdyby ją przestał kochać.

— Zdanie panny Weroniki i Maryni — dodał Edward — podziela radca, ojciec Basi. Bojąc się, aby Gucio nie zmienił się kiedyś w niegodziwca, zaręczył go.

— I bardzo uczciwie postąpił — wygłosiła Marynia poważnie.

— I ja wczoraj uczciwie postąpiłem, puszczając się walca z Madzią, starszą ciotką Basi.

— Tańczyła?

— Lekko i ładnie.

— Zlitowałeś się nad staruszką — dorzuciła Marynia — i bardzo masz dobre serce.

— Piekielnie dobre — odparł Edward.

— Jakież wieczorek ten zrobił na tobie wrażenie — zainterpelowała matka. — Ludzie, towarzystwo?

Zadzwoniono, otworzyły się drzwi, wbiegł Gucio.

— O wilku mowa — pierwsza odezwała się Marynia. — Jakże się ma narzeczony, wesoły, szczęśliwy?

— Zmartwiony — odpowiedział Gucio, całując panią domu w rękę, Marynię w twarz.

— Narzeczona zdradziła?

— Edziu — strofowała go siostra. — Basia uczciwa kobiéta.

Gucio zwrócił się do Edwarda.

— Wczoraj pożegnałem się z tobą zbyt zimno. Przykro mi póżniéj było, boję się czy się nie obraziłeś, przychodzę przeprosić cię.

— A tymczasem siadaj między mamą i Marynią. Wiedz o tém, że ja, na dzieci, które kocham, gniéwać się nie umiem.

Marynia nalała filiżankę herbaty i stawiając ją przed Guciem — mówiła.

— Guciu, my się nie gniewamy, gdy złośliwy Edward nazywa nas dziećmi.

— Prawda — odpowiedział Gucio. — Tak mało i tak rzadko nazywano mnie dzieckiem.

— Jeżeli ci to sprawia przyjemność, od dziś będę cię nazywać dzieckiem.

— Ależ to rozkosz być dzieckiem Maryni — zawołał wesoło młodzieniec.

— Moje dziecko, weźże sobie cukru do herbaty i grzankę z talerza.

— Spóźniłaś się Maryniu. Gucio od wczoraj ma swoją ładną, pulchną mamę, panią radczynię.

— To tamta będzie mamą, a ta mamusią — rzekł pieszczotliwie Gustaw.

Edward zamyślony milczał, milczała i jego matka.

— Cóż państwo jesteście tak poważni, smutni — szczebiotała Marynia i to nazajutrz po zaręczynach swego faworyta.

— Nie kontenci są z moich zaręczyn albo ze mnie.

— Albo ze mnie — dodała dziewczynka. — Niezawodnie ze mnie. Lecz cóż ja im biédaczka jestem winna?

Matka przycisnęła ją do siebie i pocałowała.

— Z ciebie najwięcéj — powiedziała.

— Bo pewno, że nie z Edzia. To gagatek, wyrocznia, przyszły docent uniwersytetu a może profesor. Mama się korzy przed rozumem i wielkością jedynaka docenta.

— I ja się korzę przed tą wyrocznią i z pokorą ducha oddaję mu do otaksowania mój dzisiaj napisany utwór.

Gucio wyjął z kieszeni surduta złożoną ćwiartkę papiéru i podał ją Edwardowi.

— Nowe wiersze — odezwała się radośnie Marynia. — Pewno sonet do Basi, taki, jakie Mickiewicz pisał do Maryli. Lubię, bardzo lubię wiersze, muszę go przepisać do swego albumu.

Stanęła za krzesłem brata, oparła brodę na jego ramieniu wlepiając niebieskie oczy w czarne szeregi liter.

Edward czytał półgłosem i nieznacznie się uśmiéchał.

„Na twém obliczu wyrzeźbioném, greckiém
Żaden gorętszy płomień się nie zarzy
Z ócz twych jak słowa w pieniu staroświeckiém
Bijące w niebo z przed pańskich ołtarzy
Płynie melodya tak cichą i rzewną
Że zdajesz mi się dawnéj Psychy krewną".

— Zadarty nosek Basi nie jest greckim. A co do płomienia, przepraszam cię, żarzy się, lecz wtedy gdy Basia za długo stoi przy

blasze w kuchni. Być może, że jest krewną Psychy, ale bardzo daleką...

— Ach ty szyderco niepoprawny — przerwała bratu Marynia — tyś gotów krytykować samego Mickiewicza! Guciu, nic sobie z tego nie rób, sonet ten jest prześliczny, wart aby był drukowany! Dumna jestem z ciebie.

— Oj ty wyrocznio — mówiła matka, gładząc jéj ciemne włosy.

— Wyrocznią jest twój syn, mamo, ale i ja mogę mieć swoje zdanie i wolno mi wierzyć, że to, co mi się podoba, jest ładne.

— Nikt ci tego nie zabrania.

Edward oddał sonet Guciowi i wyszedł z pokoju.

— Nareszcie jesteśmy sami, argusowe oczy krytyka na nas nie patrzą. Guciu czytaj! My cię zrozumimy i ocenimy.

Wzruszony Gucio pocałował rękę matki na znak wdzięczności, rozłożył papiér i cicho, tajemniczo, drżącym głosem zaczął czytać:

„Ja ciebie kocham a tyś jeszcze dzieckiem
O beznamiętnéj i niewinnéj twarzy“.

— Śliczne — szepnęła z entuzyazmem Marynia — śliczne — powtórzyła. — Powtórz strofę o Psyche raz jeszcze.

Pani domu również była zachwycona, lecz powaga nie pozwalała jéj zbytecznie chwalić, aby w młodzieńcu nie rozdmuchiwać zarozumiałości.

Podniecony wykrzyknikami Maryni, Gucio czytał coraz głośniéj i coraz z większym zapałem:

„Ja ciebie kocham nad słońce i zorze
Luba! goręcéj czyż kto kochać może“.

— Nikt — szepnęła przejęta do głębi Marynia. — Ty ją musisz okropnie kochać.

Gucio się uśmiechnął łaskawie jak król, który dla poddanych nowe niespodzianki gotuje.

Odetchnął głęboko i znowu zaczął:

„Nieraz się pytam czy ja kocham ciebie
Czy to nie blaski uczucia zwodnicze
Podobne zorzy wieczornéj na niebie“ [1]).

---

[1]) Jak Kasprowicz.

Wszedł Edward.

— Aleź Guciu, należało się zapytać przed zaręczynami.

— Czekaj na odpowiedź — przerwała Marynia. — Każdy poeta ma prawo zadać sobie pytanie i odpowiedziéć na nie.

— Ale wy, moje panie nie macie prawa wbijać w dumę młodego chłopca i to jeszcze w kierunku poezyi! Radca i Basia nie będą wam za to wdzięczni.

— Jakto Basia nie lubi poezyi? Czy to prawda — zapytała zdziwiona dziewczynka.

— Niezawodnie lubi — odparł zakłopotany chłopiec.

— Nie pytałeś się jéj?

— Nie zgadało się — tłómaczył się.

— Miłość jest najwyższą poezyą. Zakochani, mówiąc o niéj, tworzą najpiękniejszy poemat — rzekł poważnie Edward.

Gucio czuł w powiedzeniu starszego przyjaciela pewną przesadę, lecz nie wiedział jak się bronić.

— Zdaje mi się — ciągnął daléj Edward — że Basia sama w sobie jest poematem.

— Nie żartuj — szepnął smutno Gustaw.

— Nie dokuczaj narzeczonemu poecie i przyjacielowi.

— Talent — dodała matka — można szyderstwem w zarodzie zdusić.

— Lecz pochlebstwami — przerwał Edward — skrzywić. Chłopiec powinien się uczyć, a nie na wierszykach czas marnować. Radca chce miéć zięcia dobrego i pracowitego urzędnika, Basia takiego samego męża, a nie wierszokletę.

— Co? co? Gucio wierszokleta — zaprotestowała oburzona Marynia.

— Zawieszam dyskusyę. Zapisałeś się na nowy kurs prawa?

— Jeszcze nie, lecz się dziś zapiszę.

— Ostatni czas. Maryniu i ciebię muszę zapisać a więc płaszczyk na ramiona, świadectwa szkolne do kieszeni. Przedstawiam ci uczennicę piątéj klasy pensyi pani Żuczkowskiéj, rozprawiającą o poezyi.

Marynia spojrzała dumnie.

— W drogę! — zakomenderował, zbliżył się do matki i pocałował ją w czoło.

— Dziś ostatni dzień wakacyi. Po skończonych formalnościach pójdziemy na Wysoki zamek przywitać Lwów.

— Weźcie mnie z sobą — odezwał się prosząco Gucio.

— A narzeczona — zapytała Marynia.

— Wolno mi tam przychodzić tylko od szóstéj do siódméj. Tak zdecydowali radcostwo, abym nie przeszkadzał sobie i młodszym siostrom Basi w naukach.

— I nie zawadzał w domu — dodał Edward.

— Niezawodnie — poświadczył spokojnie Gucio. — Rodzina pracowita, Basia bierze lekcye ręcznych robót, radca wieczorami odrabia referaty.

— Wszystko w porządku. Chodźmy i my załatwić nasze sprawy, abyśmy również wobec społeczeństwa, przyszłości, pana radcy i panny Barbary byli w porządku.

Matka pogroziła nieznacznie synowi.

— Edziu, ty jesteś bardzo, ty jesteś okropnie dobry — mówiła ożywiona dziewczynka. — Podczas wakacyi dzień cały biegałam po polach i lasach. Teraz w mieście tak mi się przykrzy! Na Wysokim zamku Gucio oddeklamuje sonet, w którym Psyche jest daleką krewną Basi i moją. Prawda mamo, że i moją...

IV.

Od chwili, kiedy rozentuzyazmowany Gucio deklamował na Wysokim zamku:

Płynie meledya tak cichą i rzewną,
Że zdajesz mi się dawnéj Psychy krewną —"

minęło lat cztery.

Edward został docentem filozofii, Gustaw zdał egzamina i otrzymał doktorat. Marynia skończyła pensyą, Basia 22-a lat, rozrosła się, przytyła i spoważniała, jak przystało na córkę dygnitarza.

Radca awansował na naczelnika sądu krajowego, najął mieszkanie o dwieście złotych droższe, radczyni na znak dygnitarstwa kupiła sobie aksamitną suknię i króliczo-gronostajowe okrycie do teatru i na wieczory. Gronostaje uważała za symbol władzy i znaczenia.

Istotnie gronostaje pięknie się rysowały na wspaniałéj postaci, przy ciemnym aksamicie i nieco dumnym, grzecznie uśmiéchniętym, protekcyonalnie łaskawym wyrazie twarzy.

Przy niéj Basia wprawdzie bez gronostai, lecz w jedwabnéj sukni o długim ogonie, przy swéj tuszy, zadartym nosku i holenderskiéj

białości wyglądała więcéj na zakłopotaną gosposię, niż na córkę swéj matki.

Justyna i Krysia występować zaczęły jako dorosłe panny, podododobne do Basi w szesnastym jéj roku, rozwijając się okazale.

Matka, obok niéj trzy córki, usiadły w loży pierwszego piętra na operze. Gustaw tylko co upieczony doktór praw w krzesłach. W ostatnich paru miesiącach ciemny, gęsty puszek osypał mu górną wargę, zapowiadając przy rozmarzonych oczach, wiarę w siebie i siłę. Cała jego postać, wyraz twarzy zmieniły się, przeistaczając młodzieńca w mężczyznę.

Starsze kobiéty wpatrywały się w niego z upodobaniem, młodsze z ciekawością i nieśmiałością.

— Narzeczony, narzeczony — rozchodziły się szepty i przez nie uroki ciekawości i zainteresowania pierzchły jak mgły przed wiosenném słońcem. Lornetki zwracały się w stronę loży radczyni, spoczywając na białéj, okrągłéj twarzy i zadartym nosku Basi. Powoli odsuwały się od oczu i odsłaniały wyrazy twarzy żalu i litości.

Radczyni upojona wielkością swą, zaszyta w gronostaje, nie widziała, nie mogła nawet dostrzedz na twarzach sąsiadek lóż żalu i litości. W jéj przekonaniu Basia robiła, nędzną, w łaskawości swéj nazwaną przez nią, ż a d n ą partyę. Gdy tymczasem Gustaw świetną. Być zięciem naczelnika sądu krajowego i opiérać się, jak o stuletni dąb, o jego protekcyę? Czyż to mało?

Radczyni marząc o dwuwioskowym szlachcicu, nie dawała za wygranę, pokazywała Basię tam, gdzie tylko miała nadzieję, że ją zobaczy dwuwioskowy szlachcic. Od chwili awansu męża, na jednowioskowych patrzyła z góry.

Po skończonym akcie ukazał się w loży Gustaw, wysmukły, szeroki w ramionach. Nieśmiało przed Basią na balustradzie położył pudełko i cofnął się w głąb loży. Basia zwróciła płowe oczy ku niemu, podziękowała uśmiechem i wraz z mamą i siostrami chrupała cukierki.

Nie mieli sobie nic do powiedzenia. Wypowiedzieli już przez lat cztery wszystko.

Należało jednak odezwać się do narzeczonéj.

Gucio pochylił się i przemówił:

— Wcale dobrze dziś śpiéwają, a muzyka Gounoda porywa.

— To nie Wiedeń — odpowiedziała Basia, matka jéj przyświadczyła kiwnięciem głowy. Był to dowód, że obie były w Wiedniu na operze.

Nie ulegało wątpliwości, że to nie Wiedeń i nie opera wiedeńska. Gucio zamilkł, coraz silniéj pobijany praktycznością narzeczonéj. Pobijany przy każdéj sposobności, onieśmielał się i denerwował.

— Niech tylko Basia zostanie moją żoną — pocieszał się — wywrę na nią cały mój wpływ i przeciągnę do swego obozu.

Stał przylepiony do czerwonéj kotary, pogrążony w myślach. Nikt się nim w loży nie zajmował a najmniéj narzeczona. Uważano go za własność. Nie budził pragnień posiadania i pożądliwości. Często nawet ciężył.

— Taką partyę Basia mogłaby zrobić i w trzydziestym roku swego życia — powtarzała w duchu rozżalona na męża i narzeczonego radczyni.

Dyrektor pałeczką uderzył o budkę suflera.

Gustaw pocichu wysunął się z loży. Było mu smutno i ciężko na sercu. Mroziło go w loży przyszłéj teściowéj. Krysia i Justyna patrzały na niego dziwnie boleśnie. Zrozumiał znaczenie ich spojrzeń, mówiły one:

— Zabierz sobie coprędzéj Basię, miejsce po niéj nam się należy. Czy nie widzisz, że jesteśmy dorosłe a udajemy tylko, dla Basi i oszczędności podlotki.

Gucio przyznawał racyę młodszym siostrom. Wrażliwy jego umysł zaczął się oskarżać, że zagradza los siostrom narzeczonéj, że Basi truje i kwasi młodość.

Muzyka Gounoda rozmarzała go, pobudzając skrzydła fantazyi do lotu.

— Oddałbym przyszłość, życie, możliwe szczęście gdybym dziś miał milion, choćby sto tysięcy... Pieniądze rzuciłbym im pod nogi a sam.

— Przecież ty kochasz Basię?

Zastanowił się i spojrzał na lożę. Basia poważna, szeroka w ramionach, siedziała zamyślona, mechanicznie zapatrzona w scenę.

— Smutna jest — pomyślał — boleść czytam na jéj twarzy. Ona mnie kocha i cierpi, że nareszcie po czterech latach oczekiwania nie może mnie nazwać swym mężem.

— A ja nie mogę jéj nazwać żoną! Co robić, co robić — szepnął. — Uciec do Ameryki i tam w rok zrobić majątek. Lepiéj do Australii kopać złoto i wykopać go kilka cetnarów! Tu w kraju wszystko wyczerpane, wszystko pochłonięte! Na jedno stanowisko pcha się dziesięciu, o zdobycie jednego miejsca walczy dziesięciu!

Jestem doktorem praw i wolno mi tylko położyć się na dyplomie i umrzéć z głodu.

Coraz bardziéj ponuro zaczął patrzéć w swoją przyszłość.

— Ożenić się z córką naczelnika sądu krajowego, trzeba odpowiednio urządzić dom i na odpowiednią skalę go prowadzić. Basia nie ma posagu i ja również. Żal mi dziewczęcia, znalazłem się podle, nie wytrzymam dłużéj, należy coś ze sobą zrobić, na coś się zdecydować.

Nerwy nie pozwoliły mu usiedziéć na miejscu, muzyka jeszcze więcéj go drażniła, radby ze skóry wyskoczyć.

Skorzystał z chwili, kiedy chóry przy akompaniamencie trąb i oboi z orkiestry wypełniły salę, powstał i cicho się wysunął.

Na ulicy odetchnął całą piersią, zawrócił na prawo, dostał się na plantacye zasypanéj Pełtwi i pomknął raźno.

Ruch uspokoił go nieco, jaśniéj i weseléj myślał. Krew zaczęła mu w żyłach szybciéj krążyć i jak zwykle u marzyciela snuć coraz przyjemniejsze obrazy.

— Basia, moja Basia śliczna dziś była! Lornetowano ją zawzięcie. Jestem pewny, że wszyscy mężczyźni zazdrościli mi jéj. A że jest poważna, zamyślona, bo smutna. Marnuje młodość swą i piękność. Ja jéj ją marnuję.

Stanął na placu bernadyńskim.

— Ona mnie kocha i chce być moją. Dziś pragnie wpaść w moje objęcia! Nie może, i to ją gniéwa, smuci, upokarza.

Poszedł daléj szybko, nie wiedząc dokąd idzie.

— Co robić, co robić? Gdybym duszę mógł sprzedać dyabłu, gdybym się mógł zaprzedać w niewolę, gdybym mógł ostatnie dwadzieścia lat życia oddać, oddałbym za trzydzieści tysięcy gotówki, dziś! w téj chwili. Jutro Basia byłaby moją, moją... Pragnę i chcę.

Zatrzymał się, spojrzał w prawo. W kamienicy na pierwszém piętrze świeciło się.

— Przyjechali, są. — Radością potrącone serce, zaczęło mu bić gwałtownie. Wpadł do bramy, przesadzał po trzy schody na raz, otworzył drzwi.

— Edziu, droga pani, mamusiu, przyjechaliście nareszcie!

Ucałował ręce matce, uściskał Edwarda, zbliżył się do Maryni i stanął jak wryty.

— Cóż, nie chcesz mnie pocałować, tak bardzo zbrzydłam?

Gustaw się zbliżył, nadstawiła mu twarz, pochylił się i dotknął ustami.

Oboje jak uderzeni stosem elektrycznym odsunęli się raptownie i zarumienili.

— To pani jesteś Marynią, mamusią moją?

— A pan mojém dzieckiem?

— Jakaż zmiana, Boże, Boże. Co się z panią stało przez te cztery miesiące?

Pierwsza oprzytomniała Marynia.

— Jakże się mamusia nie miała zmienić, zestarzéć, kiedy syn w nagrodę po doktoracie dostał od fortuny wąsy! Nie poznałabym pana.

— Ani ja pani.

— Dosyć tych przedstawień, wykrzykników, podziwiań — przerwał Edward. — Aż nadto czterech miesięcy, żeby z poczwarki zrobił się motyl.

— Aż nadto, aż nadto — szeptał zdziwiony i zachwycony Gucio.

Maryni spadły na ramiona kaskadą ciemne włosy. Podniosła ręce, pochwyciła skręcając je w węzeł.

Gustaw objął wzrokiem całą jéj postać. Oczy jéj ściemniały, nabierając dziwnego blasku, rzęsy się wydłużyły, ramiona jasno kościste zarysowały. Z pod stanika dawniéj płaskiego jak deska, wydobywały się pieszczotliwie dwa zaokrąglenia.

Patrzał oniemiały.

— Pani, Marynia, mamusia — wciąż szeptał.

— Czas leci — mówiło dziewczę, nie pytając się o nasze pozwolenie. A cóż się z panem stało?

— Ja wam powiem — odezwał się Edward. — Dziecko zmieniło się w dziewczynę, chłopak w mężczyznę i dlatego jesteście względem siebie nieśmieli, tytułujecie się pan i pani, sami nie wiecie jak się zachować. Zostańcie po staremu przyjaciółmi, to najlepiéj. Guciu, kocham cię w połowie jak ojciec bom cię wychował, a w połowie jak brat. Matka i siostra dzielą te same uczucia.

— Mama jak syna, a ja jak brata — dodała Marynia.

Gucio wzruszony, wdzięczny, ucałował rękę matki, wyciągnął rękę do Maryni i podaną poniósł do ust. Pierwszy raz całował rękę dziewczęcia. I to był mimowolny, naturalny akt czci dla kobiety i dowód, że się skończyły czasy ich dzieciństwa.

— Opowiadaj pan, panie doktorze praw, wszystkie tajemnice i wszystkie plotki Lwowa.

— Nic nie wiem, zaledwo dwa tygodnie jak zdałem rygoroza.

— Jak się ma narzeczona, panna Barbara?

— Dziękuję pani za pamięć, zdrowa.

— Kiedyż ślub?

— Jeszcze daleko.

— Jakto? zostałeś doktorem, doczekałeś się wąsów. Basia jest dorosłą.

— Pomimo wąsów i doktoratu jednéj jeszcze rzeczy krakuje — odparł smutno — kawałka chleba.

— A zatém nie poruszajmy dziś tych ciężkich i przykrych spraw, jak kawały chleba — przerwał Edward. — Na uroczystość naszego zjazdu i wielkich przemian bądźmy weseli, przyjemni, rozradowani.

— Przepraszam, nie wiedziałam, że poruszyłam sprawę nieprzyjemną, myślałam, że dziś jest najprzyjemniejszą.

— Ani słowa więcéj — przerwał Edward.

— Na ciebie koléj Maryniu — dodała matka — opowiadaj gdzieś była, coś widziała.

— Proszę o jedną chwilę — pochwycił Edward i zwrócił się do Gustawa. — W bibliotece jagielońskiéj siedziałem cały miesiąc. Mówię ci skarby! Byłem w Poznaniu i Warszawie. Z Warszawy wróciłem do Zakopanego. Wiesz Gustawie, radziłbym i tobie wyjść na drogę naukową. Urzędnik będzie z ciebie nieszczególny, adwokat? Adwokatem będziesz lichym.

— Czy to sposób objawiania twéj wesołości — zapytała matka.

— To specyalny sposób Edzia, rozbawiania swego gościa — dodała Marynia.

— Nie jestem gościem — odparł Gucio — a rada przyjaciela jest dobra, może jedyna i zbawienna dla mnie. Poszedłbym za nią, gdyby...

— I znowu pan wpadasz w zwątpienia rozpaczy. Żadnych gdyby! Dziś wesołość i radość.

— Radość i wesołość — pochwycił Edward. — Dziś tylko te dwie panie powinny i muszą u nas panować, jak niedługo Gucio musi wejść na drogę naukową, choćby wszystkie radczynie z naczelnikami całego świata postawili się na głowach. Mam w domu butelkę dobrego wina, kucharka smarzy bifsteki, jesteśmy po całodziennéj podróży głodni i odrazu odnaleźliśmy się rozumniejsi i ładniejsi.

— Tak ładniejsi — powtórzył cicho Gustaw, rzucając przelotne spojrzenie na Marynię.

Jedna Marynia szept ten usłyszała i dostrzegła obejmujący ją rzut oczu.

— Znasz pan Zakopane? — zwróciła się do Gustawa.

— Naturę znam tylko na Wysokim zamku, a świat na drodze ze Lwowa do Krakowa.

— Powinieneś się gwałtem wydobyć z parafiańszczyzny lwowskiéj i polecieć w świat do nowych wrażeń, nowych idei, nowych prądów, namiętności... Tu zdziczejesz lub złyczejesz, co na jedno wychodzi.

Służąca wniosła dymiące półmiski, Edward postawił na stole butelkę. Drużyna zabrała się do wieczery.

Marynia opowiadała dziwy o Zakopanem wesoło i żartobliwie. Małe przygody podnosiła do nadzwyczajności. Opisywała Kościeliską dolinę z zapałem, przejęciem i poczuciem piękna. Gustaw patrzał i słuchał.

Basia nigdy nie miała przygód, nigdy o nich nie mówiła, nigdy nie tęskniła za pięknościami natury i nie zachwycała się niemi.

Słuchał smutny i jakoś czegoś nieśmiały.

Edward nalał wino w kieliszki.

— Najprzód zdrowie zwycięzcy, doktora praw! W dwudziestym szóstym roku życia zdobyć doktorat, to rzecz przyjemna i pożądana. Nareszcie na cześć przyjaźni naszéj. Cieszę się, że ciebie pierwszego po przyjeździe do Lwowa zobaczyłem.

— Czy mogę dodać jeszcze jedną apostrofę — zaczęła Marynia.

— Ani jednego wyrazu. Możesz wnieść osoby toast.

— Czy mamusia pozwoli mi wypić za zdrowie pana Gustawa cały kieliszek wina?

— Nie odrazu.

Gustaw był wzruszony i melancholijnie usposobiony. Czuł, że go tu cenią i lubią, że zajmuje w téj rodzinie zaszczytne stanowisko. W domu naczelnikowéj był ostatni na ostatnim planie, nie zwracano tam na niego uwagi, a zawsze się nim posługiwano. Dlaczego on to spostrzegł teraz dopiero i dziś odczuwał różnice, nie wiedział.

— Na Marynię koléj — przerwał chwilową ciszę Edward, nalewając kieliszki.

— Na pomyślność, powodzenie, cześć, nie wiem jak się wyrazić, nowéj ozdoby pana doktora, wąsów.

— O to ważna, wielka, stanowcza chwila w życiu młodego człowieka. A więc wiwat wąsy!

— Wznosić zdrowia przyjaciół można, ale pić czy to nie za wiele, zrobiła uwagę matka.

— Tak wielkie i ważne zdrowie dla Gucia — prosił Edward — pozwól jéj mamo.

— Ten jeden ostatni i już ani kropelki więcéj...

Wypiła duszkiem, oczy dziewczęcia zabłysły ogniem, twarz się oróżowiła, usta się figlarnie uśmiechały, pokazując po za purpurą warg białe zęby.

— Dla pań dosyć, my jako mężczyźni wypijemy resztę — rzekł Edward.—Zdrowie méj matki, która nie wahała się zejść z pałaców sterczących dumnie i zamienić je na kamieniczkę, aby dzieci swoje wychować i zapewnić im przyszłość. Mojéj kochanéj matki zdrowie, méj najlepszéj nauczycielki i przewodniczki.

— Mojéj jedynéj mamusi—zawołała Marynia.

— Edziu, stawiasz mnie tak wysoko!

— A powinienem jeszcze wyżéj. Gdyby nie stanowczość i energia mamy, czémże ja byłbym dziś? Tytularnym właścicielem tysiąca morgów i podrujnowanego pałacu, szukający gwałtownie nie żony, lecz stu tysięcy posagu. Jeżelibym go znalazł, byłbym niewolnikiem, przykutym na całe życie do stu tysięcy. A jeżelibym nie znalazł, zrujnowanym bez sposobu zarobku, szlachcicem na bruku.

— Edziu, przesadzasz—zaprotestowała matka.

— Nie, mamusiu, nie przesadzam! Gdybym, stawiając na loteryi małżeństwa, nie wygrał stu tysięcy, cóżby ze mnie było? Gra była bardzo ryzykowna i niebezpieczna. Mama oszczędziła mi upokorzeń, zawodów, walk, najstraszniejszych dziś walk, z kapitałem i jego brakiem.

— A dla mnie mamusia zrobiła to — przerwała Marynia, — że nie jestem ubogą na wydaniu panną z pałacu, ale ze zwykłéj kamienicy. Z téj pozycyi łatwiéj mi będzie znaleźć męża. Nieprawdaż Edziu?

— Niezawodnie. Lecz coś więcéj mama z nas zrobiła. Nauczyła nas czegoś, jesteśmy czémś, nauczyła nas pracować. Nie jesteśmy bankrutami nazwiska i fortuny, lecz ludźmi na dorobku. Mamy przed sobą przyszłość.

— Mamy przed sobą przyszłość! — zawołała z entuzyazmem Marynia.

— Trójkę, którą stanowimy, stworzyła mama. Trójkę kochającą się, pełną wiary w siebie i w przyszłość. Zrobiła to jedna mama, dlatego, że umiała zrezygnować z pałaców sterczących dumnie i w porę się cofnąć.

Matka zamyślona, może wspomnieniami świetnéj przeszłości, wzruszona wymową ukochanego syna, milczała.

Gustaw, patrząc na kobiéty, również milczał. Nie miał pojęcia, że przyjaciele jego przenieśli się wprost z pałacu, karet, powozów, służby, zbytku i komfortu do kamienicy na Zielonem. Miesz-

czańska jego natura, zaczęła uczuwać kult do tych kobiét, dziś tak naturalnych, swobodnych, pełnych prostoty, a które potrafiły milczéć o swéj świetnéj przeszłości tyle lat.

— To są te wielkie panie, — pytał siebie — którym usługiwali kamerdynerzy i panny służące? Panie, które jeździły w karetach? I ja z niemi, jak z krewnemi! Marynię dziś jeszcze całowałem, jak brat!?

Dotąd damy wielkiego świata widział tylko przejeżdżające w karetach, w teatrze, w lożach i na balach, błyszczące przepychem bogactwa i dumy. Był wzruszony do głębi — pewien szacunek dla samego siebie wypełnił mu serce.

— Panie Guciu, nad czém pan tak dumasz — zapytała go Marynia.

— Raczéj podziwiam i zachwycam się tą wielką abnegacyą mamy i Edzia.

— Ja się wahałem i nawet czas jakiś walczyłem — pochwycił Edward — skończyłem w tym czasie szkoły. Chciałem rzucić naukę, objąć gospodarstwo i wypowiedziéć wojnę losowi. Mama stawiła mi opór i zwyciężyła.

Zatrzymał się chwilkę i zawołał zwruszony:

— Mamo, dziś obchodzimy ósmą rocznicę twego zwycięstwa.

— Mamusiu, ja jeszcze dobrze pamiętam Zagórzany. Dwór stał na wyniosłości. Droga do niego prowadziła od głównego gościńca wśród lip i nadwiślańskich topoli, oznaczona białemi palikami, równa, gładka, jak biała wstęga. Za dworem rozciągał się wielki park angielski, trzy stawy, połączone groblami i mostkami brzozowemi.

— Nie zapomniała mama tych wielkich starych świerków, których konary kładły się na zieloną murawę?

— Czy mama pamięta—zawołał Edward—dziecko jesteś. Mamusia w tajnikach swego serca i swéj pamięci wszystko zachowała. Nawet myśli, które tam snuła, uczucia, nadzieje...

— Mamusiu, ja najwięcéj pamiętam mój własny błękitny pokoik, a potém ciemno-zielony w złote kwiaty mamusi i deskami wyłożony pokój Edzia. Odziedziczył go po naszym ojcu.

— Wszystko się pamięta—odpowiedziała łagodnie matka—lecz ponieważ nie żyjemy przeszłością, lecz dniem dzisiejszym i jutrem, ponieważ w życiu nie jesteśmy przeszłością, lecz teraźniejszością, pracującą na jutro... Przeszłość, moje dzieci, jest zwykle ciężkiém wspomnieniem.

— Jeżeli ono było uczciwe — pochwycił Edward — to mimo

kolców i bólów, z biegiem czasu, gdy rany się zagoją, zmienia się w przyjemne.

— Prawda! W Zagórzanach zostawiliśmy cząstkę siebie samych. Dobrą cząstkę, mój synu.

— A że nie inną, tylko dobrą, to zawdzięczamy mamie.

— Tyle lat minęło, jak was znam, moi drodzy państwo, a nie wiedziałem, że przychodzicie z pałaców sterczących dumnie — odezwał się Gustaw.

— Nie było się czém przechwalać. Dla ogółu zawsze jesteśmy dezerterzy. My tylko, ja i mama wiemy, że w dezercyi téj tkwi spora doza bohaterstwa.

Matka się uśmiechnęła łagodnie, potakując ruchem głowy.

Gustaw został oczarowany wielkodusznością rodziny, któréj był przyjacielem. Węgrzyn powoli rozpalał mu krew, głowę rozmarzał.

— Panna Marynia, panna Marya—poprawił się.

— Mów pan Marynia, na Maryę mam jeszcze czas.

— Panna Marynia, wznosiła toast z powodu szybkiego wzrostu mych wąsów... Ja zaś radbym...

— Wypić zdrowie poczwarki, zmienionéj w motyla—dokończył Edward.—Motylek niech żyje i czaruje nas.

— Edziu, ty dzisiaj przewyższasz siebie — zawołało oróżowione dziewczę.

— Wszystko to z miłości i wdzięczności dla mamy, która w zamian za możność polowania na posagi, dała mi możność zdobywania coraz większych i coraz szerszych obszarów wiedzy. Tych mi nikt nie zabierze, w nich jestem królem i panem.

— Przeczuwałam, że gdy każę walczyć z niepodobieństwami, brakiem i troską, życie mojemu jedynakowi zatruję. Pole więc działania w lepsze dziedziny przeniosłam.

— Kocham cię, mamusiu, a za to jedno ubóstwiam. Nauka dla mnie dziś nowym, rozkosznym światem. W niéj i nią żyje. Przez nią ogarniam wielką przeszłość, rozumiem teraźniejszość, przeczuwam przyszłość.

Gustawowi, słuchającemu wymowy przyjaciela, oczy świeciły, krew w nim rozpalona winem wrzała.

— Edziu, idę z tobą — zawołał namiętnie. — Niech pioruny zatrzasną wszystkie karyery i życie dla kawałka chleba, wszystkie robienia losów w mieszczańskim lub szlacheckim stylu. Idę z tobą. Zawsze zapracuję tyle, że nie umrę z głodu.

— A narzeczona?—spytała fluternie Marynia.

— Narzeczona—powtórzył. Takiego doznał wrażenia, jak gdyby mu kubeł zimnéj wody wylano na głowę.—Narzeczona... narzeczona... W téj chwili zapomniałem o niéj.

— Musi zaczekać—odezwał się Edward.

— Musi, musi — powtórzył Gucio, rozpłomieniony wrażeniami, nowemi ideami i winem. Nauka kochanka, ona nigdy nie zdradza. O ile my ją kochamy, o tyle odpłaca się wzajemnością. Porzucona, zapomniana — czeka. Wracamy, roztwiera ramiona, zawsze młoda, piękna, urocza, niezbadana, niezgłębiona, tajemnicza...

— Brawo, brawo!—wołał Edward—tegom się po tobie spodziewał, tegom oczekiwał. Żal mi cię było, bałem się, abyś się nie zmarnował. Odnajduję cię takim, jakim pragnąłem, jakim wierzyłem, że będziesz. Wielkich zdolności nie zabija się.

— Edziu, robisz krzywdę narzeczonéj.

— Jaką? — przerwał matce Edward. — A mama nie zrobiła krzywdy wielu naszym sąsiadkom, które się spodziewały, że zamieszkają pałac Zagorzański. Trzeba być sprawiedliwą.

— Tak, mamo, trzeba być sprawiedliwą — poświadczyła Marynia. — Wobec wielkiéj przyszłości niech czekają wszystkie narzeczone.

— Wszystkie—wołał Gustaw, ciskając pioruny z oczu.

— Bardzo panu do twarzy z tym zapałem — odezwała się dzieweczka i jednocześnie zarumieniła.—Dawną, z przed roku, mamusię ostrzegła dzisiejsza Marynia i ukazała rumieńca.

— Dla nauki, dla téj jednéj, jedynéj wiecznie młodéj i wiernéj narzeczonéj wszystko poświęcić, to rozkosz—deklamował Edward.

— Nie wszystko—protestowała młodość, wpatrująca się w powabne dziewczę, a nurtująca w głębi serca Gucia. Protestowała w imię swych praw. Protestacyę chciał zgłuszyć zapałem, wiarą w swą moc nad sobą—nie mógł.

Zamilkli raptownie razem we czworo. Każdemu z nich jakaś myśl osiadła na mózgu, pochłaniając serce.

Pierwszy ocucił się Edward.

— Przerywam posiedzenie, mama i Marynia zmęczone, potrzebują spoczynku.

— Zmęczone, lecz nie drogą—oświadczyła Marynia.

— Czémże?—spytał zaciekawiony Gustaw!

— Ostatniemi dwiema godzinami. Edzio za dużo kwestyi poruszył, za dużo wrażeń wywołał. Prawda, mamo?

Matka uśmiechem potakiwała córce.

Edward zwrócił się do Gucia.

— Młodzieńcy podobni tobie, po paru kieliszkach wina skłonni są do awantur. Odprowadzę cię.

Gustaw rozpromieniony, z wyszukaną powagą i serdeczną czcią, żegnał się z paniami. Marynia już nie nadstawiała mu do pocałowania twarzy — wyciągnęła rękę. Przycisnął ją do ust dumny, szczęśliwy.

Wyszli na ulicę.

— Edziu! — zawołał — ty jesteś jedynym moim przyjacielem, jedynym opiekunem. Tobie zawdzięczam to wszystko, co mam w sobie, czém jestem.

— Wybornie, lecz dosyć deklamacyi. Powiédz mi, czy twój ojciec, mógłby ci zapewnić utrzymanie na jednym z uniwersytetów europejskich?

— Nie mam pojęcia. Dawniéj od ojca dostawałem dziesięć guldenów, dziś po doktoracie daje mi 25 na miesiąc.

— Brakuje ci choćby czterdziestu. Dołoży je?

— Nic nie wiem. Mało znam mego ojca.

— A zatém jutro rano pomów z nim poważnie.

— Troszkę się lękam, lecz spróbuję.

Stanął raptownie.

— A co z narzeczoną, jéj matką, ojcem?

— Miéj środki i pozwolenie od swego ojca, to już ci będzie łatwiéj stoczyć wielką batalię z rodziną naczelnika.

— A jeżeli przegram?

— Nie lękaj się, Basia młoda, świeża.

— Właśnie dlatego — zawołał Gustaw. — Liczą na mnie i spodziewają się.

— Być może, lecz sądzę, że ze względu na przyszłą karyerę uwolnią—choćby na rok.

— Boję się wystąpić z propozycyą, bardzo się boję. Dziś byłem z Basią w teatrze. Czułem, że jest nieco już znudzona panieństwem.

— Tobą raczéj—dodał Edward.

— Żartujesz! Radaby już raz mieć swój dom. Ciężka będzie przeprawa.

— Niech tylko ojciec twój zapewni środki, reszta musi się ułożyć.

Gustaw się zamyślił, pragnienia rwały mu serce.

— Edziu, ja nienawidzę ludzkich, powszednich spraw, sporów, brudów, zawiści, procesów.

— Historya filozofii, albo lepiéj filozofia historyi uśmiecha ci się—nieprawdaż?

— Roznamiętniają mnie.

— Wielkie obszary wiedzy ciągną.

— I pochłaniają — zawołał Gustaw, ściskając rękę przyjaciela.

— A zatém śmiało! Nauka jest zazdrosną kochanką, wymaga zaparcia się, bezwzględnego poświęcenia, wtedy oddaje się cała, zapewniając nam nieznane rozkosze.

— Wielka to pani — improwizował daléj Gucio rozmarzony — nie znosi podziału. Nadto wielka arystokratka. Mało ją znam, ale przeczuwam! Tak samo u was przeczuwałem arystokracyę. Matka twoja wielka pani w każdym ruchu, w każdym wyrazie. Marynia! Marynia, młoda dama, ty, mój Edziu...

Edward się rozśmiał.

— Czy stąd wnioskujesz, żeśmy niegdyś mieszkali w piętrowym dworze, który pałacem nazywano?

— Nie, nie — zaprotestował Gustaw — widzę to i odczuwam. Nie sądź, abym był tyle naiwny i nie miał dostrzedz różnic.

— Między kim a kim?

— Między twoją matko, panną Maryą a naczelnikową.

Zatrzymał się i zamilkł. Edward z uczucia delikatności również milczał.

— A więc, ułóżmy na dzień jutrzejszy kampanię.

— Ułóżmy. Ty, Edziu, układaj sam, ja wykonam.

— Jutro rano rozprawisz się z ojcem.

— Ojciec na nieszczęście, nigdy nie ma czasu.

— Odprowadź go do biura. Kiedy bywasz u naczelników?

— Od szóstéj do siódméj.

— Idąc, wstąp do mnie, do Grossa.

Stanęli przed bramą kamienicy mieszkania Gustawa.

— Edziu, ty jesteś moim duchem opiekuńczym. Z pałaców sterczących dumnie zstąpiłeś do mojéj chatki.

— Gotów mi jesteś dowieść, że jedynie tylko dlategom zbankrutował, aby cię wprowadzić na drogę naukową. Może i uwierzę w to, ale nie prędzéj, aż na nowe tory wepchniesz wiedzę! Zrobisz się sławnym i sławą naród swój opromienisz.

— Ach, jakbym tego pragnął!

— Dobranoc.

— Do jutra!

Rozmarzony młodzieniec wpadł do swego pokoju, rzucił się na

łóżko, lecz zasnąć nie mógł. Tyle odebranych wrażeń, postanowienie zmiany karyery wstrząsały nim, a mocne wino paliło mu krew.

Zadrzémał. Chuda i czarna poczwarka zmieniała się w motyla, motyl robił się podobny do Maryni. Śliczna dziewczyna stała przed nim wiążąc w węzeł ciemne swe włosy. Wyciągnął do niéj ręce—odsuwała się, wstępując na marmurowe schody pałacu.

Przebudzony, zerwał się i siadł na łóżku.

— Z pałaców sterczących dumnie nie zejdziesz! Dla mnie jedyna kochanka—nauka...

Położył się, żal serce mu tłoczył, tęsknota go opanowała i w uściskach z tęsknotą zasnął.

Nazajutrz rano czekał na ojca ze śniadaniem.

Pan dyrektor dzielił swój czas skrupulatnie na pracę biurową, obiad, drzémkę poobiednią, czytanie gazet przy czarnéj kawie, krótki spacer i długą grę w kasynie.

Wrócił późno, spał twardo i nieco zadługo. Ubrany wpadł do jadalnego pokoju, wypił duszkiem herbatę i zabierał się do wyjścia.

— Drogi ojcze, pragnę z tobą pomówić.

Dyrektor spojrzał na syna i zégarek.

— Spóźniłem się przeszło o pół godziny.

— Odprowadzę ojca.

— Jadę, moje dziecko. Nie chcę dawać złego przykładu podwładnym.

— Odwiozę.

— Zgoda, będziemy mieli dziesięć minut czasu,

Siedli do jednokonki.

— Ojcze, ja pragnę wejść na drogę naukową.

— Ciężka to droga.

— Trudy mnie ciągną.

— Czémże chcesz być?

— Profesorem uniwersytetu.

— Wszyscy na wydziale prawnym zdrowi jak krzemienie, jak tuczne woły.

— Idzie mi o naukę—ja ją kocham.

— Pić jéj, ani jeść nie będziesz, zaledwo możesz całować.

— Mój ojcze, pozwól mi.

— Na co?

— Chcę jechać, choćby na rok do Heidelberga lub Lipska.

— Basia pozwala?

— Jeżeli tylko ojciec pozwoli.

— To jest jeżeli ojciec da gotówkę.

Gustaw szarpany nadzieją i zwątpieniem milczał, dyrektor liczył.

— Bierzesz dwadzieścia pięć, dodam ci pięćdziesiąt na miesiąc przez dwa lata i sto co rok na koszta podróży—dosyć?

— Ojcze, drogi ojcze.

— Więcéj nie jestem w stanie.

— Wystarczy, musi wystarczyć — wołał Gustaw rozpromieniony.

Jednokonka stanęła przed gmachem rządowym, Gustaw uściskał ojca i pobiegł żywo.

Dyrektor patrzał na syna.

— Naczelnik z tą swoją tłustą dziewczyną pochwycili mi, jak w kleszcze, chłopaka. Prosty, jak świeca, zgrabny, ładny, zdolny, będzie uczony. I nie szkoda go dla téj tłustéj gospodyni? Zemszczę się i będę go trzymał zagranicą choćby cztery lata. Dla niéj dosyć oficyał pocztowy, lub dzierżawca.

Dyrektor lekceważył te dwa stanowiska.

Gustaw zniknął wśród tłumu, dyrektor dumny z syna i rad, że podraźni naczelnika, poszedł do biura.

O szóstéj Gucio niecierpliwie czekał u Grossa. Zaledwo wszedł Edward, przypadł do niego, pochwycił w pół prowadząc na ulicę.

Stanęli na pustém miejscu.

— Ojciec pozwolił—zawołał.

— Byłem tego pewny.

— Daje sto na drogę i siedmdziesiąt pięć miesięcznie. Można wyżyć?

— Można tém więcéj, że ze dwadzieścia zarobisz piórem.

— Niezawodnie,—pragnę, mam nadzieję.

— Nauka, skromna kochanka, nie wymaga zbytków.

— Z pewnością! Za wielka pani, aby przyjmowała prezenta — poświadczył Gustaw.—Cięższa sprawa z naczelnikiem, mamą naczelnikową i Basią.

— Przeciwnie, lżejsza, choćby dlatego, że nie dają pieniędzy.

— Lecz Basia dała miłość, młodość, nadzieję — zawołał patetycznie Gucio!

— Dała, więc już nie daje, gdy ojciec twój będzie ci co miesiąc dawał.

— Edziu, ty jesteś przy całym swoim idealizmie i czci dla nauki wściekłym materyalistą.

— Ostateczności stykają się. Naczelnikowi wytłómacz, że wy-

jazd twój zagranicę potrzebny ci jest do przyszłej karyery. Naczelnik będzie rad, że zięć jego jedzie do Heidelberga. Rozpowie wszystkim.

— Boję się Basi.

— A jeżeli Basia ukarze twą zarozumiałość, będzie ci przykro.

— Da tylko dowód swéj siły i poświęcenia.

— A więc i ty uzbrój się w siłę i poświęcenie.

— Zaczekasz?

— Wrócę do Grossa przeglądać dzienniki.

— Pobłogosław mnie.

— No, no, śmiało, przekonasz się, że...

— Że co?

— Idź—do widzenia, wracaj, czekam!

Gustaw poszedł zrazu żywo. Przed kamienicą mieszkania naczelników zwolnił kroku, po schodach szedł bardzo powoli, przed drzwiami stanął, namyślał się, zadzwonił nieśmiało, na palcach wsunął się do kancelaryi przyszłego teścia.

Naczelnik przypatrzył mu się uważnie?

— Przychodzi po Basię—pomyślał. — Ha, niech się spełni przeznaczenie niewiasty.

— Cóż pan doktór powié?—odezwał się głośno.

— Zanoszę wielką prośbę do mego ojca.

— Aż wielką? Słucham, mów śmiało.

— Ojciec mój przyrzeka mi miesięcznie dawać siedmdziesiąt pięć guldenów i żąda...

— Skąpiec—zawołał, unosząc się dyplomata — i żąda, abym ja dodał drugie tyle? Bierze pensyę taką, jak ja, ma jedynaka i sam jak palec. Ja mam żonę, trzy córki prawie na wydaniu i muszę prowadzić dom otwarty. A on? on po całych dniach siedzi w kasynie.

— Ojciec mój nic nie żąda!—zawołał Gucio.

— Myśli może, że ja oddam swe dziecko na pastwę ośmiuset guldenów rocznego dochodu?

Naczelnik się zerwał, Gucio miął kapelusz, przeklinając swą niezgrabność.

— Ojciec mój wysyła mnie do Heidelberga i prosi o urlop dla mnie—wypowiedział jednym tchem.

— A Basia?—spytał naczelnik. — Basia będzie czekać, czekać, tęsknić, więdnąć i nie doczeka się. .

— Przysięgam—przerwał Gucio, z podniesioną ręką w górę. — Uważałbym się za nikczemnika, gdybym myślą, a cóż dopiéro pragnieniem zdradził Basię.

— O podłość cię nie posądzam i mam nadzieję, mój chłopcze, nie posądzę nigdy—powiedział dobitnie, choć spokojnie naczelnik.

Rozczulony Gucio pocałował go w ramię.

— Ojcze, jestem pewny, że się nie zawiedziesz na mnie.

— A więc do Heidelberga? Wyszedłem z uniwersyteckich stosunków, lecz wiem, że Heidelberg słynie na całe Niemcy. Nad czém myślisz pracować?

— Mam zamiar słuchać filozofii prawa, historyi filozofii i filozofii historyi.

— Trzy siostrzyce, trzy pyszne nauki. Przyjedziesz mądry, jak rabin. Tylko że u nas nauka nie popłaca.

— Wiem o tém—rzekł Gustaw smutno.

— Ale zawsze reklama reklamą, a przy naszéj pomocy może być potęgą! Nastały czasy, że hrabiowie zostają profesorami, a profesorów robią ministrami.

Gustaw się melancholijnie uśmiechnął.

Naczelnik przeszedł się po pokoju, pomyślał i, stając przed przyszłym zięciem, zaczął:

— Profesor prawa rzymskiego mówił mi, że z ciebie łeb. Jeżeli z ciebie łeb w prawie rzymskiém, to dasz sobie łatwo radę ze wszystkiemi filozofiami. Rok, jeden rok Basia może zaczekać, od czegóż poświęcenie?

Gustaw ucałował ramię naczelnika.

— Gdybym miał pięćdziesiąt tysięcy dla Basi, dziśbym was ożenił, a jutro wysłał do Heidelberga, filozofujcie! Ale nie mam pięciu! Utrzymanie godności mego stanowiska przy całéj filozofii drogo trzeba opłacać. Ty to rozumiész?

— Rozumiem—odpowiedział spokojnie Gustaw.

— A więc ja urlop na rok daję, lecz musisz go otrzymać od żony i Basi. Z Basią będziesz miał przeprawę, ona cię kocha.

— Najwięcéj obawiam się Basi—poświadczył młodzieniec.

— Lecz od czegóż, powtarzam, poświęcenie—dodał naczelnik.— Proś, błagaj!

Gustaw przebiegł cicho salon i pokój jadalny, wszędzie było pusto. Służąca powiedziała mu, że pani z panienkami poszły na wizyty, przed imieninami pani, które mają być sute! Na tych imieninach młodsze panienki pierwszy raz wystąpią w świat.

Uszczęśliwiony, że nie zastał narzeczonéj i matki, zbiegł ze schodów. Nerwowa jego natura nie mogła znosić walk wrażliwych. Wpadł do Grossa, uścisnął rękę przyjaciela.

— Chodźmy! potrzebuję powietrza, swobody, obszarów.

— Jesteś wzruszony, zdenerwowany, musisz najprzód wypić kieliszek madery.

Edward zawołał o maderę.

— Powiédz wyrok.

— Ojciec się zgodził—szepnął Gustaw.

— Matka?

— Nie widziałem kobiét. Zbliżają się imieniny naczelnikowéj, na których wejdą w świat Krysia i Justyna, młodsze siostry Basi.

— Więc cóż z tego?

— Naczelnikowa każe mi pewno zabrać Basię.

— Nie, nie każe.

— Skądże wiész.

— Dobre ma serce.

Zamilkli.

Gucio pił maderę i jadł biszkopta.

— Przyszły teść nazwał mego ojca skąpcem. Było mi bardzo przykro... I mnie się dostało.

— I było ci również przykro.

— Lecz nie tyle.

Poszli do jezuickiego ogrodu.

— Podwójne zwycięstwo jednego dnia powinno cię nietylko cieszyć, lecz robić dumnym.

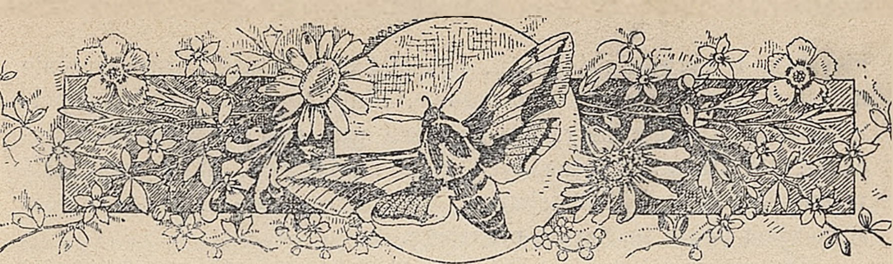
— To drugie, mój drogi, pachniało nieco Pyrrusowém zwycięstwem. Byłem wobec teścia nieśmiały, lękliwy, wyglądałem jak student przed profesorem.

— Cóż ci mówił?

— Za dużo o poświęceniu. Dał mi do zrozumienia, że to ja jestem przyczyną ciągłych poświęcań się Basi.

— Odpoczniesz w Heidelbergu na łonie filozofii, która również wymaga poświęceń, lecz innego rodzaju.

(*D. n.*) *Sewer.*



Organizacya robotnicza w Anglii.



I.

Prawie do końca XIV-go wieku była Anglia krajem wyłącznie rolniczym, a przemysł służył jedynie dla zaspokojania potrzeb miejscowych. Naród, któremu były przeznaczoném dzierżyć późniéj berło rękodzielnictwa i handlu wszechświatowego, pogrążony był przez kilka wieków w letargicznym zastoju. Nie trzeba zapominać, że w epoce podboju Normanów nie było tam więcéj jak 80 miast, a nie miasta to w dzisiejszém znaczeniu, ale sioła były po prostu większe. Z liczby półtora miliona mieszkańców, najwyżéj na miasta przypadało 150,000. Samo się przez się rozumie, że o odrębnéj samodzielnéj organizacyi, warstw robotniczych w tém zaraniu narodowego bytu, mowy nie ma. Różnice pomiędzy klasami towarzyskiemi były wówczas małe, a panowie i słudzy, posiadacze gruntów i używani do ich uprawy pomocnicy, stanowili jedną rodzinę, żyli życiem jednolitém. Pierwsze stowarzyszenia, pierwsze związki społeczne, które napotykamy, były po prostu rozszerzeniem pojęcia rodziny. Szło o wspólne zabezpieczenie zdobytego stanowiska, o wspólną obronę przed napaścią i uzurpacyą, o wspólne obchodzenie uroczystości religijnych, obrządków i ceremonii miejscowych. Pierwszą formą takiego związku było bractwo, tak zwana w Anglii *Frith-Guild*. Sam wyraz *Guild*, giełda, pochodzi, jak wiadomo od pieniądza, opłaty pobieranéj od każdego członka bractwa: z biegiem czasu stowarzyszenie, jako takie, nosiło nazwę giełdy. Jak prof. Lujo Brentano raz na zawsze udowodnił, giełda stała się dla jéj uczestnika szeroka rodziną, a wspólne

biesiady, rozdawanie jałmużn, opieka nad sierotami, uczestniczenie na pogrzebach, ratunek w potrzebie, płacenie *wehrgeld'u* za popełnione zabójstwa i gwałty, oto pierwsze przejawy solidarności społecznéj. W statutach pierwszych giełd angielskich, datujących z XI wieku — w Exeter, Abbotsbury i Cambridge — solidarność członków stwierdzona była uroczystą przysięgą.

Bractwa o czysto religijnym charakterze, albo przynajmniéj przeważnie o takowym, utrzymały się przez cały ciąg średnich wieków, a w Anglii tak samo jak na stałym lądzie, przeszły aż do dni naszych, okazując się żywotniejszemi, aniżeli cechy korporacyjne. Szeroko rozgałęzione stowarzyszenia wzajemnéj pomocy — *friendly societies* — z tego samego trysnęły źródła i są niejako cywilną ich odroślą. Lecz już w ciągu XII i XIII wieku widzimy w Anglii wytwarzające się po miastach giełdy, tak zwane *Town-Guilds*, które z biegiem czasu przybrały bardziéj skomplikowane formy giełdy kupieckiéj — *Merchant Guild* i giełdy rzemieślniczéj — *Craft Guild.* Działo się to w miarę rozwoju i wzrostu miast i organizacyi municypalnéj.

Nie należy zapominać, że bezpieczeństwo i swoboda jednostek i rodzin, bez ustanku zagrażane w pierwszéj epoce wieków średnich, znajdowały większą ochronę w murach miasta, i że się dla tego do nich garnięto. Każdy mieszczanin posiadał grunta i zajmował się fachowo rolnictwem, dodając do niego jakie łatwe rzemiosło, albo zajmując się kupiecką wymianą artykułów żywnościowych i rzemieślniczych. Bezpośrednie sąsiedztwo, wspólność zajęć i interesów wywołały zbliżenie się mieszczan w *convivium conjuratum*, i te gieldy, rozwijające się jednocześnie z wzrostem życia municypalnego, szukały już za pierwszych królów epoki normańskiéj ich sankcyi, jako *communitas perpetua et corporata.* Niezadługo pojęcie obywatela miejskiego *citizen* i pojęcie uczestnika, korporacyi gieldowéj *Guildbrother*, stały się jednoznacznikami. Dopóki miasteczka znajdowały się w pierwszéj fazie rozwojowéj, wszyscy mieszczanie tworzyli jedną tylko gieldę; ale gdy się powiększały i rozrastały, gdy się w nich zajęcia rozróżniać i specyalizować zaczynały, to rzecz naturalna, że się wytwarzało w murach jednego miasta po kilka, kilkanaście odrębnych giełd i korporacyi. Bywały przykłady, że przeciw takiemu odrębnemu istnieniu giełd protestowali przedstawiciele dawniejszéj organizacyi i jak się to zdarzyło w Berwick nad Tweedą w 1283 r. zmusili wyemancypowanych do powrotu do jednolitości; ale były to tylko wyjątki. Pomiędzy XI a XIII wiekiem urabia się samodzielność giełd, a przedewszystkiém odrębność kupieckich i rzemieślniczych.

Giełdy kupieckie, złożone z ludzi, którzy przy wzrastających swych zajęciach wyzuli się z własności gruntowéj, stanęły w przeciwieństwie z innemi giełdami, utrzymującemi się przy takowéj i upatrującemi w niéj niezbędny warunek do zawiadywania sprawami miejskiemi. Walka korporacyjna jest uparta i ciągnie się przez całe wieki, ubarwiona pełnemi rozmaitości epizodami. Wogóle jednak bogata *gilda mercatoria* w zupełności dwoistego swego celu dopina. Polegał on z jednéj strony na braniu udziału w administracyi miast, na wybieralności swoich członków na posady aldermana, rajców, sędziów i t. d. i na rozkładaniu podatków gruntowych, a z drugiéj strony na prawie regulowania wewnętrznego swojéj korporacyi, warunków produkcyi i pracy stosownie do swych własnych potrzeb i w zupełnéj niezależności od giełd postronnych.

Tak sama walka, jaka się toczyła pomiędzy giełdą miejską, jako reprezentującą ciało mieszczańskie, a giełdą kupców, toczyła się także pomiędzy tą ostatnią a rzemieślnikami. Dopóki stan kupiecki działalność swą w szczupłym zakresie roztaczał, zawierał wśród siebie rzemieślników. Handlujący wełną mieli tkaczy przerabiających ją na sukno, skórami — przerabiających je na obuwie albo uprzęże, zbożem — na pieczywo i t. d. Lecz gdy handel wzrastał i gdy rozwielmożniający się kupcy ciemiężyć i prześladować nie przestawali zależących od nich rześmieślników, ci ostatni, majstrowie wraz z czeladnikami około nich zgrupowanymi, zapragnęli także wejść w posiadanie swéj niezależności korporacyjnéj i rozpoczęli o nią walkę. Udawali się o pomoc to do giełd miejskich, to do króla, od którego za drogie pieniądze kupowali statuty nadawcze. Pomiatani, oszukiwani, wyzyskiwani przez czas długi i oni także otrzymują przywileje, o które się ubiegali. Całkowita emancypacya giełd rzemieślniczych nastąpiła jednak dopiéro w XIV wieku za Edwarda III-go: ich statuta nadawcze zostały uroczyście potwierdzone i zaregestrowane, a same nadawały sobie organizacyę wewnętrzną potrzebom swym odpowiadającą, dzieląc się na rozmaite cechy i korporacye — *livery companies*. Król stał się ich honorowym członkiem a za jego przykładem poczęli przystępować magnaci i dygnitarze państwa. Następny wiek XV-y jest kulminacyjną epoką organizacyi pracy w formie giełd i cechów. Wybierają one swoich własnych zwierzchników, aldermana, majstrów—*masters*, i dozorców — *wardens*, zarządzają bez żadnéj zewnętrznéj kontroli swoim majątkiem korporacyjnym, i posiadają— punkt niezmiernéj wagi — swoją własną juryzdykcyę. Tylko członkowie ich własnéj giełdy mają prawo ich sądzić. Łatwo zrozumieć, że w takiéj organizacyi znajdowała cała klasa mieszczańska palladyum

swych swobód, najwyższą rękojmię swego indywidualnego i społecznego bytu. Zebrania uroczyste giełdy, wśród malowniczych obrzędów, rozpoczynały się zawsze odczytaniem statutu nadawczego, którego słuchano z odkrytą głową, czasami na klęczkach. Emancypacya municypalna i ekonomiczna zaczęła się od pozyskania wyłącznego, ciasnego przywileju dla pewnéj, szczupłéj garstki osobników; ale niebawem wąskie ramy pękały pod naciskiem prądu wewnętrznego, potęgującego się życia i przywiléj wywalczony dla setek, stawał się niezaprzeczoném prawem tysięcy, użyteczność publiczna zastępowała użyteczność prywatną.

Trudno zrozumiéć, gdy się ma przed sobą historyę wytwarzania się organizacyi cechowéj, ową nienawiść jaką żywili do niéj pisarze tak zwanéj szkoły liberalnéj. Jest to ten sam ograniczony, fanatyczny punkt widzenia, który na inném polu wyrzuca kościołowi rolę, jaką odegrał w ukształtowaniu się nowoczesnego świata. Jest prawdą niezbitą, że giełdy, cechy i korporacye były najpotężniejszą dźwignią wyswobodzenia masy społecznéj i jéj równouprawnienia. Mówimy, jak to czytelnik zrozumié, o instytucyach tych w ich pierwotnym stanie, gdy nad dążeniem do monopolu górowało staranie o uorganizowanie pracy. Jest niedorzecznością uważać je za martwe karby narzucone społeczności. Przeciwnie krąży w nich ciepła krew życia. „Członkowie gield, jak trafnie powiada Malet Lambert w swéj „Historyi dwóch tysięcy lat giełdowego życia", zasiadali społem u stołu biesiadniczego, poręczali wzajemnie swój honor na targowisku, mieszkali w téj saméj dzielnicy, do jednego i tego samego dążyli celu, szli w jednym szeregu na procesyach, jednakie dzielili zabawy, ramie obok ramienia stawali na murach miejskich, gdy się z nieprzyjacielem potykać przychodziło; ten sam *esprit de corps*, który ożywiał rycerstwo, i u nich równie silnie się ujawniał. Dbali o uczciwość i prawość — szli za trumną swego członka i opłacali grzywny za spokój jego duszy". Życie cechów — to całe życie wewnętrzne jądra narodowego w mętnéj i ponuréj epoce średniowiecznéj. Z wyjątkiem wieśniaków wszyscy pracownicy w ekonomicznéj sferze objęci byli organizacyą cechową. Była ona dla tamtowiecznego świata jednocześnie tém, czém są dla naszego ustroju izby handlowe, stowarzyszenia wzajemnéj pomocy, towarzystwa przemysłowe, instytucye kredytowe, zakłady naukowe i techniczne.

Zamiast ocenić jak należy te strony dodatnie, przeciwnicy organizacyi cechowéj widzą jedynie i wyłącznie ograniczenia, jakim poddaną została praca robotników. Giełda, odpowiada im L. Brentano, była opiekunką, była matką wszystkich swych uczestników,

majstrów zarówno jak czeladników. Jeżeli dla pierwszych była indygenatem obywatelstwa miejskiego, to dla drugich była przygotowawczym do niego stopniem. Raz wszedłszy do cechu, robotnik wiedział, że po siedmioletniém czeladnictwie, będzie wyzwolony i że raz na zawsze byt jego materyalny i stanowisko społeczne zapewnionėm zostanie Nie na ograniczenia i tyranię giełd cechowych użalać się wypada. w interesie klasy robotniczéj, ale raczéj na to, że większa ilość nie mogła być do nich zaciągniętą i wcieloną. Ale masa robotników i wyrobników wiejskich napływała bezustannie do miast i wprowadzała chaos do stosunków mieszczaństwa, tak, że potrzeba opieki i regulacyi pracy mieszkańców już dawniéj w mieście osiadłych i wpisanych do ksiąg miejskich robotników wydawała się koniecznością. Po pladze w XIV wieku takie mnóstwo włóczęgów naciągnęło do Londynu, że taksa cen wydana w 1350 r. była publiczném dobrodziejstwem. Robotnicy nie skarżyli się na regulamin obowiązujący przy pracy. Gdy wśród uroczystych formalności wpisani byli na czeladników wiedzieli, że trzeba im się będzie wysługiwać, ale ponieważ żyli na poufaléj stopie z majstrem i jego rodziną, zależność i służebnictwo nie były dla nich upakarzające. Doglądanie narzędzi i instrumentów, kontrola surowych materyałów, metoda pracy, ścisłe wyznaczenie godzin przy warsztacie spędzanych i t. d. wszystko to były rękojmie i dla robotnika i dla korporacyi, jako ciała zaspakajającego potrzeby społeczne.

Nie można się dziwić, że instytucya odpowiadająca tak doskonale duchowi epoki, rozgałęziała się i kwitła. Za Edwarda III-go było w samym Londynie 48 giełd koporacyjnych, a we wszystkich innych miastach ruch w tym kierunku był równie energiczny. Zrazu źle widziane przez władzę centralną, stały się one następnie organizacyą, dzięki któréj i policya po miastach wykonywana i dążenia do autonomii miejskiéj były trzymane na wodzy. Nie trzeba także zapominać, że opłaty ściągane od cechów, były dla korony pożądaném źródłem dochodu. Jak powiedziano wyżéj, w połowie XIV wieku system korporacyjno-cechowy rozwinął się w Anglii zupełnie i przez dwa następne stulecia zastosowany był bez wyjątku do wszystkich gałęzi wytwórczości przemysłowéj.

Charakterystycznemi rysami ekonomicznemi systemu tego było, jak to sumarycznie wykazał profesor W. J. Ashley na wstępie do swéj „Historyi ekonomiki angielskiéj“, że wytworzył rynek targowy dla przemysłu krajowego, że kapitał zakładowy i obrotowy bardzo podrzędną odgrywał tam rolę. Nie było także robotników w obecném naszém pojęciu, najemnicy i wyrobnicy stanowili wyjątek a maj-

ster grupował około siebie uczniów i czeladź. Niezależność osobista średniowiecznéj warstwy rzemieślniczo-przemysłowéj była daleko większa, aniżeli to miało miejsce i ma jeszcze pod wielu względami w naszém stuleciu. Gieldy i cechy przekazywały z pokolenia w pokolenie ducha i prawa wolnego stowarzyszania się dla wspólnych celów społecznych: były więc bezspornie szkołą swobody publicznéj i tego samorządu, na którym cały ustrój państwowy Anglii spoczywa.

II.

Aż do XVI wieku ekonomiczna działalność Anglii zamknięta jest w ramach organizacyi cechowo-korporacyjnéj. Każda gałąź wytwórczości narodowéj urobiła się pod regulaminami i statutami, przepisanemi jéj przez te stowarzyszenia. Wszędzie majster i dozorcy posiadali prawo zwierzchnictwa i dyrekcyi, ale potrzebowali sankcyi wszystkich stowarzyszonych. Jakość materyału i jego miary, miejsce dla wyrobu i sposób dokonywania onego, miejsce dla sprzedaży, cena, jaką płacić wypadało za surowe materyały i za jaką wyrobiony towar miał być sprzedawany, wysokość zarobku, płaconego robotnikom, godziny ich pracy i t. d.: wszystko to było oznaczoném i niezmiennie ustanowioném przez giełdę, któréj powaga była bezwzględną, bez możliwego odwołania się do jakiejkolwiek władzy wyższéj. Łatwo zrozumieć, że dopóki społeczność znajdowała się w elementarném stadyum rozwojowém, dopóki potrzeby były do zaspokojenia łatwe, warunki życia mało skomplikowane i stosunki zewnętrzne ograniczone, ustrój taki mógł się utrzymać i narzucać się narodowemu życiu. Ale gdy stopniowo społeczeństwo organizować się zaczęło i pozbywać dzikości barbarzyńskiéj, gdy bogactwo wzrastało, gdy następnie odkrycie nowych, zamorskich światów zrodziło żeglarstwo i otworzyło przed kupiectwem nieograniczony widnokrąg, gdy wynalazek druku, odrodzenie nauk i sztuk i nakoniec agitacya powszechna, wylęgła z reformy religijnéj, wytworzyła w XVI wieku świat całkiem nowy, niedziwota, powiadamy, że organizacya cechowa okazała się niebawem za ciasną, i że jéj do całkiem nowych stosunków dopasować nie było podobna. A jak się samo przez się rozumie, uprzywilejowane warstwy społeczne, które się pod osłoną owych instytucyi rozwinęły, nie widziały najmniejszego powodu do zaprowadzania w nich zmian lecz przeciwnie, stawały uporczywie w obronie wszystkich swych dotychczasowych ustaw, przepisów i regulaminów. Nieograniczona władza i powaga, jakiéj w ciągu tylu wieków używały, zamykała im oczy na wejście w grę nowych sił społecznych

i nowych czynników. Martwa litera zastępowała żywego dawniéj ducha. Nie abdykowały one jednakże nigdy dobrowolnie i z taką samą energią, z jaką niegdyś walczyło mieszczaństwo o otrzymanie przywilejów, walczyło w ciągu ostatnich trzech stuleci o zagrodzenie drogi do przywilejów swoich dźwigającym się do niezależności warstwom niższym narodu; gdzie mogły, jak mogły i o ile mogły związki korporacyjno-cechowe utrzymywały swoje przepisy i ustawy. Nawet gdy nie miały już po za sobą prawa, podtrzymywał je zwyczaj, trudna do wykorzenienia tradycya.

We Francyi wielka rewolucya zmiotła za jednym zamachem organizacyę cechów i korporacyi; w Anglii zamierały one powoli, ginęły naturalną śmiercią i jak się czytelnik następnie przekona, nie zniknęły dotychczas całkowicie. Konfiskata znacznych majętności giełd i cechów, dokonana przez Henryka VIII-go podkopała ich byt materyalny, ale nie poskromiła ich pretensyi do zawiadywania ekonomicznemi stosunkami kraju. Prześladowania, jakim uległy za panowania jego syna i następcy, Edwarda VI-go, były tylko stwierdzeniem niezaprzeczonego faktu, iż przestały być nienaruszalną potęgą. Władza państwowa, która w ciągu kilku stuleci stawała po stronie organizacyi cechowéj i poskramiała wielką przeciwko niéj opozycyę, obecnie zaczyna działać i działa coraz jawniéj w kierunku wprost przeciwnym: samo państwo bierze w swą rękę regulowanie warunków pracy. Już za panowania Elźbiety w końcu XVI wieku, nietylko, że centralna władza państwa wydaje jedne po drugich dekrety, dotyczące stosunków robotniczych, ale okazuje dążenie do syntetycznéj ich kodyfikacyi w statucie imie królowéj noszącym. Przez następne półtrzecia wieku, pod wszystkimi jéj następcami, za Stuartów tak samo jak za Wilhelma, za Wilhelma, za Anny i za trzech Jerzych ten sam duch panuje. Każda nowo wytwarzająca się gałęź przemysłu poddawana jest drobiazgowym przepisom i rozporządzeniom; bez ładu, bez systematu, często bez znajomości rzeczy, albo dla faworyzowania jednych ze szkodą drugich władza zwierzchnicza miesza się do stosunków wytwórczości ekonomicznéj. Myśl o swobodzie przemysłu, o swobodzie i niezależności pracy nie świta w umysłach prawodawców. Ludność robotnicza, wyrosła w szkole organizacyi cechowéj, nie posiada także jasnego pojęcia nowych warunków bytu i rozwoju i nie widzi wielkiéj różnicy w narzucanym sobie regulaminie obecnie przez państwo, a dawniéj przez giełdy. Potrzeba czasu, ażeby kark obrożą zgięty wyprostował się całkowicie.

Trzeba było tego wielkiego wzrostu bogactwa narodowego, jaki nastąpił w XVIII-ym wieku, trzeba było potężnego rozkwitu handlu

i narodzin przemysłu fabrycznego dzięki zastosowaniu machin, trzeba byłoześrodkowania kapitałów w rękach pewnéj liczby przedsiębiorczych rękodzielników, — aby niedostatki istniejącego stanu rzeczy stały się namacalnemi. Warstwa robotnicza zdała sobie sprawę z radykalnéj zmiany stosunków i znalazła się w położeniu bez wyjścia. Przedsiębiorcy bowiem nie potrzebowali już powoli wytwarzać dla siebie czeladników i pomocników, wystarczali im już najemnicy, wykonywający pewną, urywkową część pracy wytwórczéj; płacono tych wyrobników za bezcen, a zaczęto używać kobiet i dzieci, jako jeszcze tańszych. Nie było już mowy o równości społecznéj, o godności obywatelskiéj: cała klasa uboga skazana została na bezustanną walkę o chléb codzienny, bez żadnéj rękojmi, że na takowy zapracować potrafi. Przeciwieństwo pomiędzy chlebodawcami a robotnikami, pomiędzy klasą zamożną a proletaryatem zaostrzyło się do nieprzeczuwanych dawniéj rozmiarów. Harmonia społeczna, utrzymywana przez cały ciąg wieków średnich, przez organizacyę hierarchiczną i przez przywileje nadawane ciałom zbiorowym i osobnikom, została zakłóconą, jak się wydawało, bezpowrotnie.

Przewrót, jaki zaszedł wówczas w świecie ekonomicznym, pośrednio tylko dotknął majstrów, przedsiębiorców, rękodzielników. Posiadany przez nich kapitał, albo ten, który sobie wyjednać mogli, uzdolnił ich do prowadzenia produkcyi na nowych całkiem podstawach i podług odmiennéj metody. Inaczéj rzecz się miała z masą, zarobkującą na życie pracą ręczną. Wykolejeni niespodzianie z dotychczasowego organizmu, osłupiali i zrozpaczeni robotnicy, zwracali się mechanicznie ku przeszłości, ku organizacyi korporacyjno-cechowéj, ku regulaminom rządowym i pragnęli, domagali się ich utrzymania. Dzikie napaści na machiny w nowo-zakładających się fabrykach były w Anglii, tak samo jak na stałym lądzie, tylko ostatnią, gwałtowną formą protestacyi. Ale ileż mniéj dramatycznych, choć niemniéj charakterystycznych, poprzedziło i towarzyszyło jéj objawów! Gdy za Jerzego III-go unieważniono i odwołano statuta wielu giełd i korporacyi, przedłożono w 1814 r. parlamentowi petycyą za ich utrzymaniem. Podpisało ją 200,000 robotników, kiedy za nową ustawą przemawiało zaledwie 2,000. Trudno o wyraźniejsze świadectwo opinii, przemagającéj wśród ciała robotniczego.

Byłoby błędem przypuszczać, że te oznaki niezadowolenia z jego strony pojawiły się niespodzianie i jednorazowo. Przeciwnie, rozmaite onego ślady napotkać się dają już od końca XVI-go wieku, gdy za panowania Elżbiety przemysł w nowoczesnéj swéj formie powstaje i organizować się zaczyna. Monopole, o których posiadanie ubiegali

się kupcy i rękodzielnicy, miały swą przeciwstawę w szerzącym się pauperyzmie i dla zapobieżenia mu ucieczono się do prawa dla biednych—*poor law*, do tego prawa, które, jak żaden ekonomista już dzisiaj nie wątpi, przyczyniło się w znacznéj części do obniżenia zarobku dla ludności robotniczéj. Uciekała się ona do protestacyi, do zmów i koalicyi, gdy czasy stawały się dla niéj cięższemi. A różne okoliczności na ten rezultat się składały. Przemysł wełniany wskutek rozmaitych przyczyn, w które tutaj wkraczać nie ma miejsca, przeszedł z Flandryi do Anglii; emigracya hugonotów, odkrycie kopalni węgla i coraz szerszy jego użytek, powstający przemysł metalurgiczny, rozwój kolonii od Indyi i Kanady się rozpoczynający: oto niektóre przynajmniéj okoliczności, pozwalające zrozumiéć, że świat ekonomiczny angielski wzrasta w potęgę i organiczne siły.

Ale prawdziwa rewolucya w ustroju całego wytwórczego świata angielskiego nastąpiła w drugiéj połowie XVIII-go wieku wskutek wynalazków Hergreaves'a, Arkwright'a, Cartwright'a, a nakoniec James Watt'a, uwieńczającego ten szereg wiekopomnych zdobyczy cywilizacyi przez zastosowanie pary do przemysłu. Produkcya bawełnianych, wełnianych, lnianych, a niebawem metalicznych wyrobów, zmieniła w ciągu lat kilkunastu nietylko zewnętrzny wygląd Anglii, ale i cały organizm społeczeństwa. Ludność wyrobnicza, skupiona około olbrzymich fabryk, powstających jedne obok drugich i zalewających świat cały swemi wytworami, poczuła się zepchniętą w czeluści bezdenne, została zaprzedaną w niewolę. W dziejach białego, tak jak w dziejach czarnego niewolnictwa, były wybuchy rozpaczy, gwałty, których nieusprawiedliwia zapewne, ale które dostatecznie tłómaczy brak oświaty i ogrom cierpienia.

Powstawały tajne związki, rodzaj sprzysiężeń pomiędzy robotnikami. Były one tajnemi, gdyż w 1799 r., za Jerzego III-go, stowarzyszenia wszelkie pomiędzy klasą robotniczą zostały wzbronione i uznane za bezprawne. Nie przeszkodziło to ich szerzeniu się, i w przebiegu całéj téj agitacyi, znanéj pod nazwą *combination of workmen*, znajdujemy najrozmaitsze formy stowarzyszeń i różnorodność ściganych przez nie celów. Jeżeli były pomiędzy niemi niektóre średniowiecznym obskurantyzmem nacechowane, albo naiwną ufnością do wszechużyteczności organizacyi cechowéj, jak to miało miejsce w związku zawartym w 1796 r. przez sukienników w Halifax'ie, jeżeli prowadziły tu i owdzie do teroryzmu, jak np. w 1805 r. do palenia fabryk sukna w Nottinghamie, a w 1819, 1820 i 1823 roku do potwornych nadużyć w Glasgowie, Painsley i ich okolicach, to z drugiéj strony dodatnim owocem tych „kombinacyi“ było zakładanie to-

warzystw wzajemnéj pomocy—*friendly societies* — których wpływ na dobrobyt mas okazał się w następstwie olbrzymi, i które oprócz tego były dla klasy robotniczéj pierwszą wskazówką i pierwszą praktyczną nauką solidarności i potęgi samopomocy. Majstrowie i przedsiębiorcy fabryczni niechętnie spoglądali na te towarzystwa wzajemnéj pomocy i uciekali się do wszelkich środków, jakiemi rozporządzali, ażeby je skruszyć w zarodzie: zmowa robotników w warsztatach okrętowych w Liverpool'u i korzyści, jakie im przyniosła, nie pozwalała podawać w wątpliwość, że gdy się raz robotnicy zorganizują niezależnie, stosunki świata przemysłowego ulegną wielkiéj zmianie. Niechęć ta znalazła swój wyraz w statucie, wydanym w 1800 r. z sankcyą parlamentu. Mocą téj ustawy zabronione zostało robotnikom czynić zmowy celem podwyższenia zarobku, celem zmniejszenia godzin pracy, albo wykluczania pewnych osobników z warsztatów. Wystarczał wyrok sędziego pokoju do skazania robotnika, winnego takiego przestępstwa na paromiesięczne więzienie. Cały szereg procesów i prześladowań sądowych, które z mniejszą lub większą surowością przedsiębrane były w imieniu państwa i prawa, ciągnął się przez trzy czwarte części naszego stulecia i skończył się, jak wiadomo, dopiéro w 1875 r., gdy zupełna swoboda koalicyi została robotnikom przyznana. Nie ma potrzeby opowiadać po szczególe dziejów téj martyrologii. Gdy Sheridan w 1814 r. po zniesieniu prawném wszystkich ograniczeń i zastrzeżeń, jakie aż do owego czasu mogły paraliżować swobodę działania fabrykantów i przedsiębiorców, przeciwstawił ich położenie uprzywilejowane prześladowaniu i uciemiężaniu robotników, to przez wymowne jego usta zabrała głos nieprzeparta sprawiedliwość dziejowa i wszyscy emancypatorowie i filantropi, którzy się do tego samego w następstwie zaprzęgli dzieła, powtórzyli tylko jego argumenty.

Drakońskie prawa, wydane przeciwko ludności robotniczéj, nie dosięgły, jak wiadomo, celu i jątrzyły tylko tych, których powstrzymać, ani rozbroić nie zdołały. Prawodawca sam uznał konieczność częściowych przynajmniéj ustępstw i złagodzeń. Nastąpiły one w roku 1824, ale ponieważ jednocześnie wybuchły liczne zmowy robotnicze, nie widziano powodu do nowych kroków reformatorskich. Przez kilka dziesiątków lat następnych prawodawstwo waha się i idzie niepewnym krokiem raz ku wyswobodzeniu robotników, to znowu ku ich ścieśnianiu. Jestto epoka przejściowa, któréj historyk nie ma prawa sądzić zbyt surowo: było rzeczą naturalną, że kiełkowanie nowego społecznego ustroju wymagało czasu, a na pniu, co z téj niwy wystrzelił, tyle jest kwiecia i takie zapowiadają się owoce, że i dłuższym możnaby było je okupić przednówkiem.

III.

Przebiegliśmy szybko dwa pierwsze stadya rozwojowe w organizacyi pracy w Anglii. Nie trudno zrozumiéć, że podczas pierwszego, gdy cechy, giełdy i zamknięte korporacye rozsiadły się były samowładnie w łonie ekonomicznego świata, panowała harmonia i spokój wewnętrzny: duch czasu i instytucye odpowiadały sobie dokładnie. W epoce drugiéj, przejściowéj, gdy się rodzi i stopniowo rozwija przemysł rękodzielniczy, państwo, biorące w swe ręce władzę zwierzchniczą, usiłuje narzucić reguły wytwórczości przemysłowéj i zamknąć w niezmiennych normach stosunek kapitału do pracy. Ponieważ do rozwiązania tego skomplikowanego zadania nie posiadało ono ani świateł, ani kierowniczych zasad, a rządziło się jedynie chwilową użytecznością, oraz interesem wyłącznym jednéj ze stron działających, rzecz oczywista, że chodzono omackiem i popełniano cały szereg nadużyć i niesprawiedliwości. Z téj walki chaotycznéj i uporczywéj wyrodził się jednak nowy porządek rzeczy i powoli powstała nowa organizacya pracy. Politycznie nazwać ją można emancypacyą i równouprawnieniem demokratycznéj masy, ekonomicznie—epoką związków robotniczych i rzemieślniczych — *Trades Unions.* Czytelnik, który cierpliwie szedł za powolną ewolucyą dwóch przebieżonych epok rozwojowych, z góry przewidzieć potrafi, że i ta nowa forma nie powstała doraźnie i że nie wyskoczyła, jak Minerwa w pełnym rynsztuku z jowiszowéj głowy. Nic ciekawszego, jak fazy, przez które już przeszła, a które dalekie są jeszcze od zamknięcia swego cyklu.

Nie ma najmniejszéj wątpliwości, że związki rzemieślnicze utworzyły się na wzór korporacyi cechowych. Ich przeciwnicy i oskarżyciele, walcząc przez kilka dziesiątków lat z nadzwyczajną zawziętością z temi żywiołowemi siłami ludu, skojarzonemi przeciwko przywilejom, potędze i monopolowi klasy przemysłowéj i kapitału, spuścili z uwagi ów wspólny początek, który jednoczył i spokrewniał organizacyą hierarchiczną onegdajszą z organizacyą demokratyczną dzisiejszą. Jabłko padło naprzód niedaleko jabłoni: odsunięto je tylko gwałtownie w inną stronę. Z chwilą, jak się rozwijać zaczął przemysł od XVI-go wieku, liczba robotników wzrastała, a ponieważ cechy i giełdy były nietylko dla nich zamknięte, ale tendencyą ich i interesem było ograniczać liczbę uczniów i czeladników, łączyli się oni w rozmaite związki i stowarzyszenia, dążące do polepszenia bytu, do zabezpieczenia pracy. Związki te były, jak się wyżéj rzekło, wzbronione przez prawo, zatém zawierano je potajemnie. Nietylko władze państwowe, ale i władze uznanych stowarzyszeń cechowych

prześladowały tych *homines novi*. Związki rzemieślnicze w ciągu dwóch ostatnich stuleci przybierały rozmaite formy, tam wzorowały się na cechach, tu były stowarzyszeniem wzajemnéj pomocy, ale zawsze dążyły do podniesienia zarobku, ustalenia cen, oznaczenia i zmniejszenia godzin pracy, oraz warunków przyjmowania i oddalania robotników. Nie mogąc żadnego z tych celów dopiąć środkami legalnemi, przez porozumienie się z przedsiębiorcami, uciekały się do gwałtów, często do zbrodni. Karcono je surowo, ale nie zniweczyło to istnienia tych związków robotniczych. Mnożyły się ciągle, i w końcu XVIII-go wieku na setki liczyć je już można było. Jeżeli pod względem materyalnym nie dawały one przez długi czas żadnego namacalnego, praktycznego rezultatu, to powoli i stopniowo ujawniał się pewien rezultat moralny, a mianowicie zerwanie dawniejszéj solidarności i harmonii pomiędzy stojącemi naprzeciw siebie czynnikami ekonomicznego świata. Robotnik, zaniedbany całkowicie przez przedsiębiorcę lub majstra, który zapłaciwszy mu zarobek — najniższy, jaki mógł—nie troszczył się o niego bynajmniéj, wyrobił w sobie przekonanie, że interesa kapitału a pracy, są wprost sobie przeciwne, nie dające się pogodzić, i odtąd traktuje swoich „panów", jak wrogów. Przepaść, dzieląca dwie warstwy społeczne, może być mniéj lub więcéj spadzistą, może być nawet czasami zarzucona kwiatami, ale istniéć nie przestaje: każdy z dwóch pierwiastków ekonomicznych kieruje się w swą stronę.

Gdy się téj wzajemnéj pozycyi z oczu nie traci, pojąć można zawziętość walki, jaka się toczyła w ciągu naszego stulecia. Robotnicy, w atomicznem rozdrobnieniu, nie mogli stawiać oporu kapitałowi, który ich wyzyskiwał, i dlatego garnęli się do związków robotniczych, a przedsiębiorcy i kapitaliści, mając po swojéj stronie literę i ducha prawa, starali się złamać owe związki, które już nie odosobnionego robotnika, ale całą społeczną siłę im przeciwstawiały. Mówiliśmy już o prawie z r. 1824-go, które zniosło wszystkie dawniéj istniejące zakazy i ograniczenia „kombinacyi" robotniczych. Nie trzeba jednak sądzić, ażeby *Trades-Unions* pozyskały były wówczas już legalny grunt dla siebie. Bynajmniéj. Już w następnym 1825 r. parlament, ulegając wpływowi żywiołu zachowawczego, odwołał istotnie wszystkie ustępstwa dopiéro co uczynione i zabronił wszelkiéj akcyi wspólnéj robotnika, dążącéj do zmienienia warunków pracy. Ale agitacya Chartystów i bil reformy 1832 r. były czynnikami neutralizującemi działalność reakcyi i klasa robotnicza, pod wpływem tego powszechnego fermentu liberalnego, który w owéj epoce owładnął społeczeństwem, silniéj jeszcze obstawała przy jedynych instytu-

cyach, które im dobrobyt materyalny i rozszerzenie sfery prawnéj działalności zapowiadały.

Stopniowo rozmaite dawniejsze typy i formy związków rzemieślniczych zatracały się i wytworzył się nowy, ostateczny, który po kilku dziesiątkach lat prób i prześladowań miał w 1875 r. zatryumfować. Charakterystycznym rysem jego jest naprzód to, że jest to związek dobrowolny, w każdéj chwili pozwalający członkowi z niego wystąpić: jest tu różnica radykalna od dawniejszego związku cechowego, obowiązkowego. Wszyscy uczestnicy, należący zwykle do jednéj i téj saméj gałęzi wytwórczéj w pewnéj miejscowości, dążą do otrzymania najwyższego możliwego wynagrodzenia za pracę. Przez związki federacyjne, jakie się w ciągu ostatniéj ćwierci naszego wieku wytworzyły między związkami rzemieślniczemi, zdążają one do ujednostajnienia płacy zarobkowéj we wszystkich miejscowościach, gdzie istnieją te same gałęzie wytwórczości. Nie potrzeba głębszego zastanowienia, aby zrozumieć, że to dążenie napotyka rozmaite trudności i wyjątkowo tylko osiągnięte być może. Większa jednolitość jest do osiągnięcia na innym punkcie, który od dawna, a szczególniéj w ostatnich czasach zaprzątał związki rzemieślnicze, mówimy o ograniczeniu ogólném godzin pracy i nadaniu jéj jednakowéj normy. Udało się skojarzonym robotnikom zmniejszyć liczbę godzin pracy, niedawno jeszcze rozciągniętą w sposób wołający o pomstę. Otrzymawszy ulepszenia znaczne, obecnie pragną obniżyć godziny pracy do ośmiu bez zmniejszenia kwoty zarobkowéj. Kwestya ta stoi ciągle na porządku dziennym i nie ma potrzeby nad nią się tutaj rozszerzać. Jako ostatni rys charakterystyczny związków rzemieślniczych wymienić należy, iż sprzeciwiają się zawieraniu wszelkich dłuższych umów pomiędzy robotnikami a przedsiębiorcą. Chociaż pozbawiać ich to może zabezpieczonego jutra, poświęcają je całkowitéj niezależności pracy, która ma być równie niezakłócona, jak niezależność kapitału.

W ustroju swoim wewnętrznym są związki rzemieślnicze w całém słowa tego pojęciu demokratycznemi. Ażeby wejść do nich, nie potrzeba żadnéj tajemniczéj inicyacyi, jak do dawniejszych cechów, ani roty przysiężnéj. Wszyscy członkowie związku używają jednakowych praw; wszystkie postanowienia obowiązujące czynione są na walnych zebraniach większością głosów. Zarząd związku powierzony jest naczelnemu komitetowi, wybieranemu corocznie. Członkowie komitetu spełniają swe obowiązki bezpłatnie, z wyjątkiem sekretarza, którego działalność jest ciągłą, a nieraz mozolną. Mimo olbrzymich rozmiarów niektórych związków, liczących swych członków na kro-

cie tysięcy, a kapitały, któremi obracają, na miliony funtów, nigdy płaca sekretarza nie przewyższa 200 funtów szt. Członkowie komitetu wykonawczego otrzymują w niektórych stowarzyszeniach dyety, stosownie do rozmiarów pracy i sesyi. Surowa karność panuje bez wyjątku we wszystkich związkach, a komitet dyrygujący posiada władzę nieograniczoną. Można go zwalić po upływie roku, ale ponieważ jest organem wykonawczym woli większości, nie można mu stawiać oporu aż do czasu, gdy się ta wola w innym kierunku przejawi. Coroczne sprawozdania i bilanse finansowe służą za probierz działalności i prowadzone są z precyzyą i jasnością, nie zostawiającą nic do życzenia. Demos ma argusowe oczy i jest podejrzliwy z natury. Nie było w Anglii dotąd przykładów nadużycia, albo bezprawnego roztrwonienia majątku związkowego.

Znając już cel tych stowarzyszeń i ich organizacyą wewnętrzną, przyjrzéć się wypada z kolei środkom, jakiemi się posługują, ażeby takowy dopiąć i sposobowi, w jaki zadanie swe wypełniają naprzód względem swych członków, następnie względem tych czynników ekonomicznych, z któremi w styczność wchodzą.

Związek rzemieślniczy, uważając się za rozszerzoną rodzinę swego członka, bierze udział w jego indywidualnym losie i współczuje jego przypadłościom i klęskom. We wszystkich bez wyjątku, pogrzéb płacony bywa z kasy stowarzyszenia. Jestto widoczna spuścizna dawniejszéj organizacyi cechowéj. Wiele stowarzyszeń opłaca nawet koszta pogrzebu żony członka. Wdowa otrzymuje z kasy związku sumę, która w niektórych związkach, jak np. u drukarzy londyńskich, wynosi 15 funtów i owdowiały mąż otrzymuje 5 funtów. W czternastu najznaczniejszych związkach wydano z tego tytułu w 1889 r. 29,868 funtów szt. [1]). Chociaż związki robotnicze współzawodniczą pod tym względem ze stowarzyszeniami wzajemnéj pomocy (*Friendly Societies*), do których prawie cała klasa robotnicza w Anglii przystąpiła, to nie wstrzymuje ich to bynajmniéj, bo zdają sobie sprawę, że nigdy nie ma dość pomocy i osłody w czarnych chwilach choroby i śmierci. Wszystkie téż, począwszy przynajmniéj od 1850 r., płacą swym członkom podczas choroby, uniemożliwiającéj za-

---

[1]) Statystyczne dane, tyczące się „Trades-Unions“, zarówno jak wiele szczegółów tyczących się ich organizacyi, czerpaliśmy w mnóstwie dzieł tą kwestyą się zajmujących, a których przytaczać nie było potrzeby. Czytelników bliżéj się tą sprawą interesujących, odsyłamy do dwóch prac Jerzego Howell'a: „Conflicts of Capital & Labour“, 2-gie wydanie z 1890 r. i „Trades Unions old & new“, 1891 roku.

robkowanie, od 10 do 15 szylingów tygodniowo. W wyżéj wzmiankowanych związkach wydano tytułem zapomogi dla chorych członków w 1889 r. nie mniéj jak 93,150 funtów. Rozszerzając zakres swéj opiekuńczéj działalności, związki rzemieślnicze wzięły się do płacenia pensyi emerytalnych starszym swym członkom, całkowicie, albo nawet częściowo do pracy nieuzdolnionych. Wraz z latami istnienia stowarzyszenia liczba starych członków się powiększy i nie można zapewnić, czy będzie podobném to dobrowolnie podjęte zobowiązanie wypełnić. Już w roku 1889 ostatnim, za który posiadamy zupełne tablice statystyczne, cyfra rozchodu na pensye emerytalne w 14 najgłówniejszych związkach wynosi potężną sumę 895,076 f. Robotnicy skaleczeni i poszkodowani podczas pracy otrzymują także zapomogi. Wynosiły one 195,434 f. W razie wyjątkowych wypadków, jak przesileń handlowych, bankructw finansowych i t. d., związki rzemieślnicze dawały nieraz nadzwyczajne zasiłki swym członkom, otwierały im kredyta i ratowały z topieli. Gdy zawierucha przeszła, zaliczki zostały zwrócone i stan majątkowy stowarzyszenia, chwilowo zachwiany, powrócił niebawem do normalnego stanu. Nakoniec, pod rubryką rozmaitych wydatków, a obejmujących wsparcia dla rodzin członka, koszta przeprowadzenia się i podróży, zapomogi w razie niewystarczającego zarobku, etc., związki te wydały w 1889 r. nie mniéj jak 3,604,341 funtów szt.

Nie potrzeba się długo nad temi cyframi zastanawiać, ażeby zrozumiéć znaczenie, jakie do związków rzemieślniczych przywiązuje cała warstwa robotnicza. Można powiedziéć, że z chwilą, gdy do jego organizmu wstępuje, robotnik przestaje być osobnikiem cierpiącym, upośledzonym, prześladowanym. Nowe wstępuje weń życie i czuje bijące w swém sercu serce milionowéj masy, po za nim stojącéj. Nie temu zatém dziwić się należy, że się stowarzyszenia te rozmnożyły i rozrosły, ale temu chyba, że są jeszcze robotnicy, którzy do nich nie przystąpili.

IV.

Dotąd braliśmy pod uwagę jedynie te ochronne, dobroczynne środki, jakie związki rzemieślnicze podejmują dla swego uczestnika. Czynią jednak one dla niego daleko więcéj, biorąc w swe ręce obronę wszystkich jego praw ekonomicznych i publicznych, walcząc z nigdy nie stygnącą energią za podniesieniem i rozszerzeniem sfery jego towarzyskiéj. Związek rzemieślniczy jest armią zawsze w pogotowiu będącą do walki za swego członka. Walki te przechodziły rozmaite

fazy, były podjazdową wojną zaczajonych ochotników, były także otwartém rzuceniem rękawicy przedsiębiorcom i kapitalistom, pojedynkiem na śmierć i życie; ale, jakkolwiek różniły się planem i uzbrojeniem, zawsze ten sam duch je ożywiał: otrzymać dla klasy robotniczéj niezależność prawną i jaknajwiększy możliwy dobrobyt.

Byłoby tendencyjnym fałszem utrzymywać, że związki rzemieślnicze nie popełniły niesprawiedliwości, gwałtów, przestępstw i zbrodni, walcząc za swą sprawę. Zdarzało się to przeważnie w pierwszéj połowie naszego stulecia, a nawet obecnie, w epoce ich tryumfu niepodobna zapomnieć a przebaczyć im działalności, która na wielu punktach kraju, a szczególniéj w Sheffieldzie i Manchesterze napiętnowała ich sromotnie. Robotnicy nietylko czynili wówczas wielkie materyalne szkody po fabrykach, które z tych lub owych powodów zasłużyły na ich niechęć, rujnując materyały, machiny, podpalając gmachy i budowle, uciekając się nawet do osobistych napaści i mordów, ale nadto nie było gwałtu, któregoby nie popełnili na tych robotnikach, którzy zamiast do ich związku przystąpić, stawali w obozie kapitalistów. Zbrodnicze te zamachy zmniejszyły się i rzec można, ustały całkowicie z chwilą, gdy prawo przyznało robotnikom nieograniczone prawo kojarzenia się i koalizowania. Zmowy robotnicze i zawieszenie roboty — oto środek ostateczny, do którego się uciekają, środek ryzykowny, zawsze raniący jedną i drugą stronę, ale jest on o wiele moralniejszy od dawnéj formy podstępnego napadania przeciwnika. Tak samo, jak przedsiębiorcy posiadają prawo wydalenia robotników i zamknięcia swych zakładów, jeżeli robotnicy nie chcą pracować na warunkach, jakie oni uważają za niezbędne; tak samo ci ostatni mają prawo zawiesić pracę, dopóki nie otrzymają reform uznanych za konieczne: *lock-out* i *strike*, są dwoma biegunami gospodarki ekonomicznéj nowoczesnéj. Związek rzemieślniczy zmowę taką organizuje, przygotowuje, negocyuje alianse, zgromadza kapitały, kreśli plan walki, oświeca opinię, rozdaje hasła i ostatecznie albo składa broń pokonany, albo odnosi zwycięstwo: stąd jego znaczenie, jako dźwigni emancypacyjnéj. Nie potrzeba zapewne przypominać czytelnikom historyi wielu zmów robotniczych: dramatyczne ich przejścia żyją w pamięci wszystkich.

Nie ma wątpliwości, że zmowa robotnicza i zawieszenie roboty jest środkiem ostatecznym i porównać je można do téj operacyi chirurgicznéj, którą przedsiębierze się jedynie dla ocalenia życia chorego, gdy inaczéj niechybnie byłoby stracone. Zawieszenie roboty lekkomyślne, bez usprawiedliwiającego je powodu, bez środków materyalnych wystarczających, było dawniéj daleko częstsze, aniżeli

w ostatniéj ćwierci wieku. Można obliczyć materyalne koszta, które za sobą pociąga i straty wytwórczości narodowéj, ale niepodobna ocenić ran moralnych, ani ofiar, których wymaga od biorących udział w walce. Gdy nastąpił *lock-out* nad Clydą, związki rzemieślnicze dla utrzymania wypędzonych robotników wydały 150,000 funt. szt., a stracili oni oprócz tego zarobku 312,000 funt. szt. Wiadomém jest, że podczas manchesterskiéj zmowy, robotnicy wydali 80,000 f. szt., a przedsiębiorcy 300,000 f. szt. Doniosłość téj ostatniéj cyfry pokazuje, że fabrykanci mogli byli powiększyć płacę robotników i że jedynie niechęć do trakowania z klasą robotniczą, jako taką, leżała nieraz na dnie tych uraganów wstrząsających świat ekonomiczny. Nie mając tutaj na celu specyalnego traktowania kwestyi zmów robotniczych, nie dotykamy różnych ich stron i nie kładziemy nawet nacisku na zasadniczą różnicę, jaka istnieje między zmowami uorganizowanemi dla polepszenia warunków pracy, gdy są one upośledzone w epokach przesileń przemysłowych, a temi, które są czynione w epokach wielkiego rozkwitu téj lub owéj gałęzi wytwórczéj dla przypuszczenia robotników do udziału w korzyściach monopolizowanych przez fabrykantów. Każda z tych licznych stron, dotyczących sprawy zmów i bezrobocia umyślnego, przedstawia szerokie pole do badań i spostrzeżeń.

Tutaj wystarczyło zaznaczyć po prostu, że *Trades-Unions* są organizacyą nie ustanowioną wyłącznie do organizowania zmów i bezroboci, jak to błędnie a tendencyjnie utrzymywali przez długie lata ich ekonomiczni przeciwnicy, ale że wzięły na siebie tę część zadania i że wykonywują je stale i systematycznie. Olbrzymie sumy na ten cel obracane przestały już oddawna wywoływać zdumienie. Nie ma naturalnie żadnéj przeciętnéj ilości w tym dziale, gdyż bezrobocia, wymagające utrzymywania robotników przez cały czas jego trwania, nie są przedsiębrane corocznie, ani nie obejmują wszystkich rzemiosł. I tak, biorąc rezultaty dziesiątkami lat, znajdujemy, że owych 14 związków najprzedniejszych, wydały na ten cel w 1869 r. 10,140 f. szt., w 1879 r.—60,224, a w 1889 r. znowu tylko 10,906. Że jednak całość wydatków na tę wojnę ekonomiczną kosztuje robotników sumy olbrzymie, pokazuje cyfra 462,818 f. szt. wydana w ciągu czterech ostatnich dziesiątków. Jakkolwiek surowy zewnętrzny świadek téj walki potępić zechce te bratobójcze bitwy, a ekonomia polityczna dawniejsza bezwarunkowo zmowy robotnicze i bezrobocia potępiła, nie można zaprzeczyć, że warstwy robotnicze angielskie zawdzięczają im niejeden dodatni rezultat, niejedną cenną zdobycz. Sama ich groźba wystarczyła nieraz do polepszenia położenia masy pracującé.

Jest przeto więcéj, niż prawdopodobném, że świat ekonomiczny nie jedną jeszcze tego rodzaju kampanię ujrzy. Nie można wątpić, że robotnicy stawiają wyżéj jeszcze usługi oddawane im przez związki rzemieślnicze pod tym względem, aniżeli owe ochronne i dobroczynne środki, o których mówiliśmy wyżéj. Te ostatnie znaleśćby mogli i w stowarzyszeniach pokojowych, *ad hoc* urządzonych, ale jedynie i wyłącznie te *Trades-Unions* walczą za ich prawa i przywileje, jako klasy społecznéj.

Jak powiedziano już wyżéj, organizacya robotnicza była nawet po oswabadzającém ją pozornie prawie z 1825 r. prześladowana i podejrzewana przez czas długi. Rozmaite nadużycia popełnione przez rozjątrzone masy, rozmaite zawieszenia roboty pomiędzy 1850 a 1860 rokiem, a między innemi kolosalne zmowy w Prestonie w 1853 roku, w Yorckshire w 1858 r. i t. d., posunęły niechęć do związków rzemieślniczych do najwyższego stopnia. Parlament wobec licznych, a krzyżnjących się oskarżeń, wobec wzrastających wymagań warstw robotniczych, które upośledzonemi dłużéj być nie chciały, postanowił utworzyć wielką komisyę królewską do zbadania sytuacyi. Było to postanowienie rozumne. Jak wiele razy przedtém, tak i w 1867 roku komisya śledcza, wybrana z łona parlamentu, posiadająca wszechwładzę w prowadzeniu docieklań, wyjaśniła sprawę wszechstronnie. Po gruntownem przeprowadzeniu badań pokazało się, że związków rzemiosł nie można było czynić odpowiedzialnymi za przestępstwa, popełnione w Sheffieldzie i Manchesterze, i że stawiane im zarzuty i oskarżenia pozbawione są podstawy. Z raportu komisyi wyszły związki oczyszczone i uniewinnione. Następstwem praktyczném tego przychylnego dla nich raportu było prawo z 1871 r. znane pod nazwą *Trades Unions Act*; usamowolniało ono i dawało prawne istnienie związkom rzemieślniczym. Walka odwieczna została wygrana przez demokratyczną masę narodową. W cztery lata później, w 1875 r., uchwalono prawo noszące ogólną nazwę *Labour Law* i związki te otrzymały od téj chwili wszystkie rękojmie, jakich tylko wymagać mogły: ich osoba cywilna, tak samo jak majątek zbiorowy zostały zabezpieczone. Żadna tama nie jest położona ich rozwojowi.

Pozostaje nam obecnie do wyczerpania téj części naszego przedmiotu pokazać, jakie następstwa wywołała ta prawna emancypacya związków rzemieślniczych w ich organizacyi i w ich rozwoju.

Jeżeli wskutek połączenia się słabych i mdłych jednostek stanu robotniczego potrafiły one doprowadzić potężną klasę kapitalistów do kapitulacyi, i przyznać im równouprawnienie z klasą od wieków uprzywilejowaną, to dalsze połączenie już nie jednostek, ale tych or-

ganizmów zbiorowych, tych związków rzemieślniczych, musiało narzucić się jako logiczna konieczność uczestnikom takowych. Widzieli oni w federacyi tych stowarzyszeń nietylko dźwignią nowego postępu, ale zdawało się im możliwém uorganizować całą masę robotniczą krajową w jedną zwartą armię i prowadząc ją do szturmu na kapitał zdać go na łaskę zwycięzców. Na corocznych zjazdach i wiecach, które się regularnie odbywały, widzimy już od 1873 r. istotnie myśl tę poruszaną i obrady toczące się nad wprowadzeniem jéj w czyn. Sam ów projekt wywołał gorączkowe obawy wśród klasy przemysłowéj, która się już widziała zrujnowaną i wydziedziczoną. Pokazało się jednak niebawem, że i obawy te są przesadzone i że federacya związków nie będzie nigdy w stanie takich rewolucyjnych osiągnąć rezultatów.

Najprzód stało się widocznem, że o ile są do uskutecznienia łatwe federacye pomiędzy jednogatunkowemi, pokrewnemi związkami, gdzie istnieje jednolitość interesów i podobieństwo procederu, o tyle są trudne pomiędzy gałęziami wytwórczości całkiem odrębnemi, a nawet nieraz się krzyżującemi, ażeby nie powiedziéć wykluczającemi się wzajemnie. Następnie związki rzemieślnicze, mając w świeżéj pamięci trudności, które trzeba było pokonać, ażeby pozyskać samodzielność, żywiły obawę zatracenia jéj całkowicie, albo przynajmniéj częściowo po zlaniu się w jeden ogólniejszy związek. Były tedy rozmaite próby przedsiębrane częściowo; utworzyły się związki solidarności, np. między związkami górników, albo mechaników, albo cieśli i stolarzy i t. d. Ale ogólna, powszechna federacya narodowa związków rzemieślniczych, któréj programat ostateczny nakreślony został na zjeździe w 1889 r., nie skrystalizowała się dotąd w czynie. Tém mniéj jeszcze może być mowy o międzynarodowéj federacyi całéj robotniczéj ludności europejskiéj, o któréj prawią smalone duby na zjazdach socyalistycznych stałego lądu. W Anglii tego rodzaju mgliste widziadła nie są w stanie rozpłomienić wyobraźni robotniczéj masy. Gdy mówić nam przyjdzie o ostatniéj fazie organizacyi pracy, téj, która zbliżyła się wielce do socyalizmu, przynajmniéj w swych tendencyach ogólnych, znajdziemy tam większy pohop do wielkich federacyi; lecz w typowych *Trades-Unions*, któremi się dotąd zajmujemy, nie miały one przeważnéj roli.

Ale jeżeli federacya związków nie jest dotąd dziełem urzeczywistnionem, to nie można powiedziéć tego samego o radach rzemieślniczych, (*Trades-Councils*). Instytucyi takich już jest mnóstwo i okazały się wielce użytecznemi. Złożone z delegatów od komitetów pojedynczych związków, a zatém z najwykształceńszych i najenergicz-

niejszych reprezentantów klasy robotniczéj, zajmują się te rady wszystkiemi kwestyami dotyczącemi wspólnych interesów, rozstrzygają spory i nieporozumienia pomiędzy pojedynczemi związkami, zbiérają składki na cele publiczne, prowadzą agitacyę w wielu kwestyach, gdzie klasa robotnicza wypowiada już teraz swoje *quos ego* i biorą na siebie wogóle propagandę polityczną. Coraz większy zastęp członków robotniczych wybieranych do parlamentu i inicyatywa, jaką oni biorą w prawodawczéj działalności, dotyczącéj kwestyi robotniczych, przypisane być winny czujnéj akcyi rad związków.

Nie potrzeba nakoniec przypominać zjazdów corocznych. Z początku patrzano na nie niechętnie i wyklinano je z ambon, z mównic i w prasie. Ale rozpoczęte w 1868 r., odbywać się one nie przestawały regularnie i nietylko zwalczyły stawianą sobie *à priori* opozycyę, ale pokazuje się ze szczegółowego przeglądu prac na nich dokonanych, że posłużyły takowe za podstawę i punkt wyjścia do wszystkich bez wyjątku praw i ustaw, które rząd i parlament wydał w kwestyach ekonomicznych w ciągu ostatniéj ćwierci wieku.

Przy takiéj silnéj organizacyi związków rzemieślniczych i wobec bijących w oczy okazów ich użyteczności, ciągły, normalny rozwój tych stowarzyszeń nie miałby powodu nas zadziwiać. Przyznajemy wszelako, że gdy statystyczne dane ostatnich czasów porównamy z mikroskopijną kolébką całego tego ruchu, ogrom ich usprawiedliwia zdumienie. Nie należy bowiem zapominać, że istotnie czują one pewny grunt pod sobą, uzdalniający je do rozwoju zaledwie od jakich lat dwudziestu, że żyją jedynie własnemi siłami, składką swych uczestników a z wykluczeniem wszelkiéj zewnętrznéj pomocy i podpory. Nadzwyczajne rezultaty osiągnięte zostały dzięki zasadom samopomocy i solidarności.

W r. 1861, *Directory of Trade-Union*, t. j. katalog obejmował ich 2,000 a przybliżalna ilość członków wynosiła od 1,000,000 do 1,250,000. Od tego czasu wiele tych drobnych związków albo się rozwiązało, albo inaczéj uorganizowało, albo weszło w skład większych ciał zbiorowych. Wzrost ich okazuje się najdokładniéj, przy rozpatrywaniu okresów dziesięcioletnich. Ograniczając się do trzynastu najprzedniejszych związków rzemieślniczych, znajdujemy się wobec ciągłego, regularnego ich przyrostu; lecz nie ulega wątpliwości, że istnieje on we wszystkich innych stowarzyszeniach i że należy już fakt ten uważać za normalny, niezmienny.

Związek rzemieślniczy	liczba członków. w r. 1869	1879	1889	1890
Zjednoczeni mechanicy	33,539	44,078	60,728	67,800
Robotnicy machin parowych	2,805	4,074	5,300	5,822
Kotlarze	6,298	16,988	29,993	—
Gisernicy	8,990	12,276	13,805	14,821
Ludwisarze	2,432	4,519	5,992	6,198
Kowale	1,509	2,118	2,077	2,323
Cieśle i stolarze	9,305	17,034	26,472	31,784
Kamieniarze	23,036	15,650	11,306	—
Strycharze	2,020	5,874	8,189	—
Zjednoczeni krawcy	3,994	13,888	15,776	—
Zecerowie londyńcy	3,300	4,930	7,975	8,910
Typografi	2,266	5,150	8,388	—
Powoźnicy	5,719	6.908	4,985	5,367
13 związków liczyło członków	105,216	155,184	200,666	—

Wogóle liczba uczestników wszystkich związków rzemieślniczych przenosi już sumę dwóch milionów. Armii o takiéj potędze nikt już lekceważyć nie myśli. Niektóre ze związków, licząc zanadto wielką liczbę członków dla dobréj organizacyi, podzieliły się na sekcye; tak np. mechanicy mają 497 sekcyi, gisernicy 116, kowale 42, cieśle i stolarze 501 i t. d. Jest to do zrozumienia łatwe, gdy się weźmie na uwagę, że związki te są rozsiane po całéj przestrzeni kraju a często nawet organizują się po koloniach.

Finansowa siła, jaką te stowarzyszenia stworzyły, jest olbrzymią. Powstała ona jednak, o czém zapominać nie należy, wyłącznie z jednego tylko źródła, mianowicie z wkładek tygodniowych każdego uczestnika i z nadzwyczajnych wkładek tychże uczestników w wyjątkowych okolicznościach. Wysokość tych obowiązkowych wkładek tygodniowych, rzadko spada poniżéj szylinga, ale rzadko go także przewyższa: jeden szyling jest tedy kwotą, któréjześrodkowanie zmieniło tak całkowicie położenie klasy robotniczéj. Dochód roczny wyżéj wymienionych związków przedstawia się w następujących cyfrach:

Związek rzemieślniczy	Dochody w funtach szterlingów. w. r. 1869	1879	1889	1890
Zjednoczeni mechanicy	82,406	135,267	183,651	—
Robotnicy machin parowych	7,091	10,618	15,303	15,849
Kotlarze	—	46,974	104,523	—
Gisernicy	33,513	43,104	39,800	—
Ludwisarze	6,476	14,123	20,983	22,184
Kowale	2,181	3,552	4.585	—
Cieśle i stolarze	21,802	39,854	75,069	—
Kamieniarze	21,835	31,213	19,043	—

Związek rzemieślniczy	w. r. 1869	1879	1889	1890
	Dochody w funtach szterlingów.			
Strycharze	1.909	8,270	12,696	—
Zjednoczeni krawcy	—	17,517	20,953	—
Zecerowie londyńscy	4.366	7,712	14.242	16,533
Typografi	—	6,616	9,667	—
Powoźnicy	10.206	30,699	10,971	11,963
	192,787	395,319	531,486	—

Jeżeli dochody związków mogą być z góry przewidziane, jako zależące wyłącznie od liczby członków, to nie można tego bynajmniéj powiedziéć o rozchodach. Są one do przewidzenia trudne, zależą bowiem od rozmaitych przypadłości. Niektóre lata, wyjątkowo ciężkie, jak np. 1866 albo 1879, pochłonęły nietylko całe dochody ale w niektórych stowarzyszeniach znaczną część dawniejszych oszczędności. Tak np. mechanicy zmuszeni byli wydać w 1879 r. 100,000 f. szt. a kotlarze 40,000. Były stowarzyszenia jak np. kamieniarze, którzy zrujnowani byli przez zmowę i stracili przez nią 10,000 członków. A jednakże właśnie w ich związku wydatki na cele dobroczynne, na pensye emerytalno, choroby, pogrzeby, wypadki, subskrypcye publiczne, etc. wynosiły 435,862 f. szt., kiedy wydatki na podtrzymanie rezrobocia wynosiły w tym samym okresie czasu tylko 108,404 f. szt. czyli, że stosunek pierwszych wydatków do drugich wyraża się w cyfrach 75 : 25.

Wogóle finansowe położenie związków uważane być winno za wysoce zadawalniające, skoro posiadają zawsze, po zamknięciu rocznego bilansu znaczne sumy zapasowe w gotowiźnie. W wymienionych związkach suma gotowizny wynosiła:

przy końcu 1869 r. 126,422 funt. szt.
„ 1879 „ 309,373 „
„ 1889 „ 623,164 „

Gdyby się nawet te kapitały zapasowe daléj nie podwajały tak szybko i nie rosły jak śnieżne lawiny, to łatwo zrozumiéć jaką materyalną podstawę dają one klasie robotniczéj jako takiéj. Sama wiadomość, że kasa związku posiada amunicyę do walki, że po za jednym związkiem stoi kasa federacyi, wystarcza do powstrzymania przemysłowców w ich zamiarach zmniejszenia zarobku robotnikom i narzucenia im uciążliwych warunków. Klasa robotnicza angielska ocenia téż jak należy to znaczenie kapitału i nigdy nie zdarza się tam słyszéć czczych i niedorzecznych dyatryb przeciwko niemu. Zmierzać do innego jak dotychczas rozdziału zasobu społecznego a brać się do jego zniweczenia, to dwie rzeczy całkiem odmienne.

V.

Byłoby widoczną przesadą i optymizmem nie do darowania utrzymywać, że instytucya związków rzemieślniczych rozwiązała zagadnienie społeczne, choćby dlatego poprostu, że zagadnienie to nie dopuszcza żadnego jednolitego i jednorazowege rozwiązania. Każda epoka wobec odmiennych stosunków załatwia się z niemi inaczéj. Ale jeżeli się nie spuszcza z oka interesu masy społecznéj, albo innemi słowy, jeżeli się staje na demokratyczném stanowisku nowoczesném, to niepodobna zaprzeczyć, że zarówno dawniejsza organizacya cechowo-korporacyjna, jak i stan następny interwencyi państwowéj, nie przyniosły tak dodatnich rezultatów dla sprawy emancypacyi społecznéj i nie posunęły jéj tak dalece naprzód, jak to uczyniła organizacya utworzona przez sam stan robotniczy. Jéj to zasługą, że położenie klasy zarobkującéj uległo całkowitéj zmianie. Nie ma pisarza, któryby jéj nie uznał, a chociaż są jeszcze wielkie postępy do uczynienia, niecierpliwość w ich pozyskaniu nie powinna nam zamykać oczu na istotny stan rzeczy. W dziedzinie czysto politycznéj demokracya angielska coraz nowe osiąga zdobycze i potężna oligarchia Wielkiéj Brytanii należéć będzie za kilka dziesiątków lat do historycznéj przeszłości. W ekonomicznéj — przywileje i monopole klas wyższych i średnich znikają szybko. Przedsiębiorcy, fabrykanci i kapitaliści z jednéj strony, a masa robotnicza, uorganizowana w związki z drugiéj, stają wobec siebie jako dwa równouprawnione czynniki i traktują się jako godne jedna drugiéj potęgi. Trzymając w odwodzie jedni swój *lock-out* a drudzy swéj *strike*, mają oni wrazie nieporozumienia rozmaite środki uprzednie. Coraz częściéj wchodzą w użycie sądy polubowne, konferencye między przedsiębiorcami a ciałem robotniczém. Przy jawności, jaka panuje w Anglii, dzięki prasie i statystycznym informacyom, nie ma sposobu utaić zysków, albo po prostu sił rozporządzalnych. Robotnicy znają dokładnie dochody, jakie przedsiębiorstwo daje akcyonaryuszom i administracyi, tak samo jak fabrykanci wiedzą jak długo robotnicy przetrwać mogą bezrobocie. Coraz częstsze są porozumienia w razach przesileń handlowych i przemysłowych i ustępstwa czynione przez jeden żywioł drugiemu. Robotnicy dążą do zaciągnięcia wszystkich bez wyjątku rąk w danéj gałęzi pracy do swego związku, i utrzymują, że wtedy mogliby dyktować samowładnie prawa. Ale nie o to idzie, lecz o sprawiedliwość, któraby ucierpiała niezawodnie na takim stanie rzeczy. Wystarczy robotnikom posiadać ⅔ części rąk zaciągniętych do swéj organizacyi związkowéj. Ma to już miejsce w wielu gałęziach wytwórczości,

jak u kotlarzy, robotników przy warsztatach okrętowych albo górników.

Utrzymanie ustroju ekonomicznego, który tak świetnych dawać nie przestaje owoców i utrzymanie go takim, jakim jest, zdawało się rzeczą nieodzowną. Nie da się jednak zaprzeczyć, że obok tego typu *Trades-Unions*, któryśmy tutaj rozbierali, zaczął się w ostatnich czasach wytwarzać inny. Różnice nie są jeszcze dość wybitne, aby wolno było mówić o przełomie, o odszczepieńcach; ale tendencye wielu związków robotniczych w ostatnim dziesiątku lat okazują się odmienne od przemagających dawniéj. Wielu agitatorów na mównicach, wielu dziennikarzy w prasie, a nawet niektórzy pisarze bacznie za objawami społecznemi śledzący, mówią już o *Trades-Unions* dawniejszych i nowych jak o organizmach sprzecznych. Sprzeczności, zdaniem naszém nie ma, ale oryentacya jest inna. Ażeby ją jedném określić słowem, powiemy, że dawniejsze związki rzemieślnicze opiérały się na samopomocy, a nowe skłaniają się do żądania pomocy od państwa i przechylają się zatém ku socyalizmowi.

Zadaleko by nas odwiodło od traktowanego tutaj przedmiotu, gdybyśmy wejść chcieli w propagandę socyalistycznych doktryn w Anglii; zamierzamy to uczynić niezadługo. Tutaj wystarczy powiedziéć, że wpływ agitacyi socyalistycznéj musiał naturalnie oddźwięknąć na już uorganizowanych ciałach robotniczych, i że znalazł tam szranki otwarte. Niecierpliwość natychmiastowego osiągnięcia oddawna upragnionych celów doprowadziła wielu gorących agitatorów do błędnego wniosku, że związki rzemieślnicze doszły już do swego kulminacyjnego punktu, że żadnych zdobyczy nowych uczynić nie potrafią i że trzeba uciec się do państwa, do siły prawa i zażądać od niego rozstrzygnięcia aspiracyi warstwy robotniczéj. Na kongresie *Trades-Unions*, odbytym w Liverpoolu we wrześniu 1890 r. zaszły burzliwe walki między przedstawicielami nowego kierunku a zasłużonymi od lat wielu organizatorami stronnictwa robotniczego. Tomasz Burt, Karol Fenwick, James Wilson a szczególniéj Broadhurst i Shipton, dwaj przywódcy całego rozwoju i organizacyi związkowéj, zostali oskarżeni o niedołęstwo, brak energii, ciasność poglądów, wyłączność, etc. a chociaż potężną większością otrzymali wotum zaufania, nie można było utaić, że klasa robotnicza angielska podzieliła się na dwie grupy. Nowatorowie zażądali od deputowanych w parlamencie, ażeby się domagali prawnego ograniczenia godzin pracy do ośmiu we wszystkich gałęziach pracy. Napróżno udowodniano im, że nie ma pod tym względem jednomyślności pomiędzy samymi robotnikami; napróżno przypominano im, że garstka deputowanych robotni-

czych w parlamencie nie będzie w stanie takiego bilu przeprowadzić; nie przekonano ich i zwada się toczy na tym punkcie. Bezrobocie jakie wynikło pomiędzy robotnikami w dokach londyńskich w zimie 1890 r. dodało nowych żywiołów do rozterki. Ta najniższa, dotąd nieuorganizowana, warstwa robotnicza, znalazła kilku dzielnych i energicznych przywódców, którym się udało zjednoczyć ją i osiągnąć dla nich lepsze warunki materyalne. Ci działacze ostatniéj godziny, jak John Burns, jak Tomasz Mann i inni, są przewodnikami robotniczego proletaryatu i widzą w dawniejszéj organizacyi związków rodzaj arystokracyi. Nie można się dziwić, że z tego nowego obozu wystrzeliły rozmaite programaty płomienne i propozycye, któreby niedawno jeszcze mogły uchodzić za awanturnicze. Te nowe związki popychają energicznie do szerokiéj federacyi całego robotniczego stanu angielskiego i do zjednoczenia jéj z organizacyą robotniczą stałego lądu. Silny nacisk kładzie to nowe stronnictwo na utworzenie biur pracy oraz centralnéj giełdy pracy na wzór paryskiéj, na municypalizowanie robót i przedsięwzięć publicznych. Dotąd są to tylko, powtarzamy, wskazówki wewnętrznéj fermentacyi, odbywającéj się w łonie warstw zarobkujących angielskich. Zanadto wiele przeszkód politycznych i ekonomicznych leży jeszcze na drodze urzeczywistnienia tych dążeń, ażeby była potrzeba wchodzić we wszystkie szczegóły proponowanéj organizacyi. Byłoby jednak błędném lekceważyć tę agitacyę. Wiatr dmie w jéj żagle, a że na wielu punktach średniowieczna forteca, w któréj się dotąd chroniły przywileje dawniejszéj Anglii, kruszy się i rozpada na szczątki, to przewidzieć nie trudno, że się do niéj przez otwarte szczerby przedostanie niejedna nowa instytucya, wczoraj jeszcze za niemożliwą uznawana.

Nie mamy bynajmniéj zamiaru przepowiadać jakie formy przybierze w przyszłości organizacya pracy w Anglii. Ale zdaje się nam niewątpliwém, że dopóki gospodarstwo przemysłowo-fabryczne trwać będzie i rozwijać na podstawie indywidualizmu, najlepszą, najużyteczniejszą organizacyą dla sił robotniczych pozostaną związki rzemieślnicze. Dawniéj napastowali je kapitaliści, obecnie krytykuje je proletaryat wyrobniczy. Spotykamy się nawet z przepowiednią, że taki sam los je spotkać musi, jaki spotkał dawniejszą organizacyą cechowo-korporacyjną. Nie potrzebujemy zapewne tego dziwacznego wybryku odpiérać. Ale nie będzie od rzeczy, obecnie, gdyśmy do końca naszego rozwojowego obrazu doszli, zobaczyć co się z owemi cechami angielskiemi stało: porównanie z organizacyą *Trades-Unions* stanie się jeszcze jaskrawszém.

Gdy Henryk VIII skonfiskował majątek klasztorów a następnie

majątek wszystkich cechów i korporacyi, oszczędził jedynie londyńskie, których dotknąć się nie poważył. I tak się stało, że aż do dnia dzisiejszego przechowało się w Londynie istniejących wówczas 73 cechów, czyli *Livery Companies*. Nie wywiérają one żadnego wpływu na ekonomiczne warunki produkcyi, a są jedynie uprzywilejowaném ciałem, strzegącém giełdowego majątku. Jest tedy jakie 8,000 członków tych giełd, którzy wybierają z pomiędzy siebie znowu jakich 1,500, formujących biura, czyli tak zwane *Courts of Assistants*. Biura te albo komitety cechowe zawiadują majątkiem bądź pochodzącym z zapisów i będącym pod prawną kuratelą — *trust*, bądź nieograniczonym żadnemi klauzulami. Rozległe majątki ziemskie, grunta i domy w obrębie Londynu, kapitały na hypotekach, pałace, galerye obrazów, srebra, kosztowności, etc. czynią z tych giełd *city* londyńskiéj istotnych potentatów. Roczny dochód dwunastu najbogatszych cechów wynosi 510,760 fun. szt. a jest on własnością 2,715 członków, dochód dwunastu drugorzędnych wynosi jeszcze 108,126 fun. szt. dzielony pomiędzy 1,296 członków, a w 50 trzeciorzędnych 50,000 roczny dochód przypada na 3,500 członków. Członkowie tych uprzywilejowanych korporacyi obracają te fundusze na płacenie sobie pensyi i honoraryów w wysokości 220,000 fun. szt., na wydawanie słynnych bankietów, których koszt przenosi 100,000 fun. szt. Trzeba jednak dodać, że wielką sumę 500,000 fun. szt. przeznaczają corocznie na rozmaite fundacye, na szkoły, instytucye technologiczne, oraz na różne cele filantropijne. Działalność w tym kierunku jest przedewszystkiém widoczną po roku 1880, gdy mianowaną została komisya parlamentarna dla zbadania finansowego stanu tych korporacyi. Rezultaty śledztwa, zawarte w trzech olbrzymich tomach *in folio*, rzuciły przerażające światło na nadużycia, jakie czyni ta garstka uprzywilejowanych jednostek z majątku ocenionego na 15 do 20 milionów fun. szt. Chociaż dotąd parlament nie uwzględnił praktycznych wniosków, do jakich doszła owa komisya, i nie położył kresu skandalom i nadużyciom na tym gruncie się rodzącym, można jednak z pewnością powiedzieć, że ten fundusz zagrabiany przez jednostki ze szkodą ogółu w téj lub owéj formie temuż ogółowi ostatecznie zwrócony zostanie i że organizacya cechowa nie mająca żadnéj racyi bytu wśród nowoczesnego świata utraci i ten ostatni zabytek przeszłości.

Dr. M. E. Trepka.





ETER.

Studyum.

„In Nature's infinite book of secrecy
A little I can read..."

Shakspeare, Antony and Cleopatra Ac. I Sc. 2.

Zbadanie mechanizmu zjawisk natury przedstawia trudności nadzwyczajne. Pomijając nawet zupełnie te kwestye, na które nie ma odpowiedzi w poznaniu ludzkiém, bo jéj być nie może — „rzecz samą w sobie" Kanta, „niepoznawalne" Spencera, — nawet to, co jakościowo dla nas jest dostępném, staje się niedościgłém ze względów czysto formalnych, z niewydoskonalenia dostatecznego władz umysłowych w zakresie naszego poznania. Laplace najlepiéj określił tę granicę, do któréj może dojść poznawanie zjawisk przez istotę umysłem jakościowo takim, jak u człowieka, (t. j. nie mogącéj poznać rzeczy saméj w sobie), lecz ilościowo nieskończenie może przewyższającym najpotężniejsze umysły ludzkie. „Podobna istota, którąby w danéj chwili znała wszystkie siły i stosunkowe położenia istności składających naturę, a także byłaby dostatecznie uzdolnioną, by poddać te dane analizie matematycznéj, istota taka objąćby mogła w jednym wzorze matematycznym tak ruchy największych ciał wszechświata jak i najlżejszych atomów; nicby nie było dla niéj niepewném: przeszłość i przyszłość leżałaby przed nią otworem" [1]). W rzeczywistości umysłowość ludzka jest tylko słabém echem istoty

[1]) Laplace, Essai philosophique sur les probabilites p. 3.

Laplace'owéj; nawet dla Newtona, wszystkie jego odkrycia nie zdawały się niczém znaczniejszém jak kilkoma świecącemi muszlami, zebranemi na brzegu wielkiego oceanu prawdy...

Ale wyrzekając się poznania nawet w granicach, które trzeźwy, matematyczny umysł Laplace'a zakreślił owéj istocie idealnéj, czyż mamy się zupełnie wyrzec dążenia do pewnéj syntezy zjawisk natury, do rozwikłania nieskończonych i nieskończenie rozmaitych splotów zależności, które się dla nas uwidoczniają w wszechświecie? Czy w szeregu pojedynczych hypotez, jakie stawiać musi badacz, by zdać sobie sprawę z każdéj poszczególnéj grupy zjawisk, nie dałoby się znaleźć nici czerwonéj, pewnego, wspólnego wszystkim hypotezom pojęcia o widomym wszechświecie, innemi słowy, czy nie dałoby się utworzyć pewnéj liczby ogólnych przypuszczeń, któreby zadawalniająco wytłómaczyć mogły możliwie najwięcéj różnorodnych zjawisk... Przytém, chociaż hypoteza taka—jedna lub cały ich szereg—bynajmniéj nie odbije ustroju świata, takim, jakim on jest w rzeczywistości — rzecz sama w sobie jest niepoznawalną — to jednak zadowolni ona nasze poczucie przyczynowości, jeżeli z niéj wszystkie zjawiska danéj grupy wywnioskować będziemy mogli, i powtóre, jeżeli da ona nam takie przedstawienie o mechanizmie natury, które moglibyśmy sobie p o m y ś l é ć w postaci dostrzegalnych powszechnie zjawisk. Hypotezy powinniśmy miéć możność f i z y c z n i e sobie uprzytomnić; sam wzór matematyczny, co je przedstawia, może wystarczyć tylko dla wielkich umysłów, które go przed oczyma duszy oblekają w ciało fizyczne; dla ogółu hypteza będzie dostępną tylko wtedy, gdy stanie się, że tak się wyrazimy, d o t y k a l n ą, wyobrażalną.

Badanie przyrodnicze na schyłku XIX wieku osiągło to wielkie zwycięstwo, iż liczba zasadniczych hypotez coraz bardziéj się zmniejsza, iż zapomocą małéj stosunkowo liczby przypuszczeń możemy objaśnić obszerne grupy zjawisk. Hypoteza e t e r u — ośrodka przenikającego cały wszechświat podległy poznaniu zmysłowemu, jest jedną z najobszerniejszych: tłómaczy ona z jednéj strony zjawiska światła i ciepła promienistego, z drugiéj, dzięki właśnie najnowszym odkryciom, daje nowe objaśnienie zjawiskom elektrycznym i elektromagnetycznym; wreszcie może ona, w pewnéj przynajmniéj mierze, wytłómaczyć własności materyi i nawet budowę atomów (podług W. Thomsona). Chcielibyśmy w następujących kartkach chociaż w najogólniejszéj formie przedstawić tę hypotezę, która, podług największego z żyjących dzisiaj badaczy natury — Sir W. Thomson'a — jest przedstawieniem rzeczywistości: „*That (the luminiferous ether) is the only*

substance we are confident of in dynamics“ [1]), i która, bądź, co bądź, jest jedną z najogólniejszych, jaką umysł ludzki postawił. Przytém idąc za wzorem myślicieli angielskich, o ile możności starać się będziemy pozostawać na gruncie dotykalnych analogii fizycznych, z zastrzeżeniem, iż analogie te nie przedstawiają nam może tego co koniecznie być musi, ale to coby być mogło, i co w każdym razie nasze zrozumienie tych nadzwyczaj trudnych kwestyi ułatwia.

I. Eter i światło.

Gdy w pogodną noc obserwujemy ciała, rozsiane po sklepieniu nieba, jedynym prawie czynnikiem, świadczącym zmysłowo o ich egzystencyi, są promienie światła i ciepła, jakie wskroś przestrzeni od nich do nas dochodzą. Dla ścisłości należałoby tu dołączyć jeszcze oddziaływanie przyciągania Newtonowskiego, które jest zupełnie niezależne od świetlnego promieniowania ciał; natura jednak oddziaływania téj siły jest dotychczas jeszcze zupełnie tajemniczą.

W każdym razie nie ulega wątpliwości, iż olbrzymie przestrzenie, dzielące nas od ciał niebieskich, nie stoją na przeszkodzie, by między temi ciałami a naszą ziemią istniał pewien łącznik fizyczny w postaci promieni światła. W takim razie jednakże przestrzenie te nie mogą być absolutnie próżne, musi się w nich znajdować pewien substrat, niekoniecznie materyalny, który umożliwia przejście energii świetlnéj w przestrzeni, gdyż działanie na odległość przez bezwzględną próżnię, owa „*actio in distans*“ nie może być przez nas fizycznie pomyślaną.

Pierwsze, możliwe przypuszczenie o charakterze międzyplanetarnéj przestrzeni, polega na domyślném zapełnieniu jéj przez pewien materyalny ośrodek, np. przez gaz nadzwyczajnie rozrzedzony, któryby służył jako mechanizm konieczny dla egzystencyi promienia świetlnego. Ta hypoteza nie może się jednak ostać przedewszystkiém wobec faktu, iż światło bez przeszkody przechodzi przez najdoskonalsze sztuczne próżnie, jakie drogą doświadczalną możemy otrzymać w naszych pracowniach; a następnie wobec wniosków, jakie wyprowadzić możemy z badania saméj natury promieni świetlnych [2]).

---

[1]) Lord Kelvin (Sir W. Thomson) Popular Lectures and Adresses.

[2]) Dowód z przechodzenia światła przez sztuczną próżnię nie byłby dostatecznym, gdyż próżnia otrzymana drogą doświadczalną, zawsze zawiera pewną choć bardzo nieznaczną ilość materyi (gazu), a już *à priori* wnioskować możemy, że leżeji

Jedna z najcharakterystyczniejszych własności promieni świetlnych, polega na możliwości ich interferencyi, t. j. na możności zgaszenia jednego promienia światła za pomocą drugiego. Zupełnie podobne zjawisko spostrzegamy i dla promieni dźwięku: może ono być objaśnione tylko w ten sposób, iż tak jedno jak i drugie zjawisko polega na ruchu falowym, podobnym w przybliżeniu do tego, co obserwujemy na spokojnéj powierzchni wody, gdy ją uderzymy np. kamieniem. Z punktu wstrząśnienia rozchodzą się na wszystkie strony koliste fale, przyczem cząsteczki wody bynajmniéj nie biegną razem z rozszerzającemi się falami, lecz każda z nich kołysze się na miejscu, podnosząc się i spadając [1]). Jeżeli obecnie w drugiém miejscu powierzchni wywołamy nowe wstrząśnienie, to powstające nowe fale będą się krzyżowały z poprzedzającemi, przyczem w pewnych miejscach ruchy od dwóch fal będą silniejsze, a w innych słabsze, i nawet zupełnie niknąć mogą, tak, że pływający korek pod wspólnym wpływem dwóch fal interferujących zostanie w spokoju.

Istnieje jednak pewna zasadnicza różnica pomiędzy falami dźwięku i falami światła, która nas zmusza do orzeczenia, iż zwykła materya ważka w ruchu świetlnym udziału nie bierze, gdy tymczasem, jak to każdemu wiadomo, dźwięk jest właśnie falowaniem, wahadłowym ruchem cząstek materyi, w skutek czego np. głos przez próżnię nie przechodzi.

Jeżeli będziemy badali własności promienia świetlnego w pewnych szczególnych warunkach (t. j. t. zw. polaryzowanego), to przekonamy się, iż promień ten nie ma jednakowych własności ze wszystkich swych stron na około kierunku promienia. Pewne kryształy np. będą przepuszczały nasz promień (będą dla niego przezroczyste) w określoném położeniu; jeżeli je obrócimy na pewien kąt, przestaną być przezroczystémi dla tegoż samego promienia, innemi słowy stan ośrodka, którego ruch falowy wywołuje światło, nie jest jednakowy we wszystkich płaszczyznach przechodzących przez promień. Może to pochodzić tylko stąd, że wahadłowe ruchy cząsteczek ośrod-

---

w przestrzeni międzyplanetarnéj istnieje materya, to tylko w stopniu najwyższego rozrzedzenia, skoro nadzwyczaj szybkim ruchom ciał niebieskich (np. ziemi 4 mile na sekundę) nie stawia żadnego oporu np. w formie tarcia, któryby mógł być zauważony. Niektóre spostrzeżenia (np. nad kometą Enkego) zdają się nawet potwierdzać przypuszczenie egzystencyi ośrodka materyalnego w przestrzeni międzyplanetarnéj.

[1]) Latwo to sprawdzić, rzucając, na falującą powierzchnię jakiekolwiek lekkie pływające ciało np. korek; będzie on się w miejscu ciągle podnosił i opadał, choć fale szybko będą się rozbiegały we wszystkie strony.

ka, którego fale stanowią światło, są poprzeczne względem kierunku promienia, przyczém cząstki kołyszą się w ten sposób, iż podnoszą się one nad promień, ciągnąc za sobą sąsiednie, następnie znów opadają i t. d. Tym sposobem przepuszczenie światła przez kryształ w jedném położeniu, a nieprzepuszczanie w drugiém, można objaśnić tém, iż kryształ przepuszcza tylko wahania jednego kierunku, tamując drogę pozostałym. Nic podobnego do zjawisk tego rodzaju nie zauważono w dźwięku; dla tego przyjmujemy, iż wahania dźwiękowe są zawsze symetryczne względem każdéj płaszczyzny przeprowadzonéj przez kierunek promienia, co może być tylko wtedy, gdy fale dźwięku będą podłużne, t. j. kierunek wahań będzie ten sam, co i kierunek promienia i rozchodzenia się dźwięku.

Najlepiéj różnicę między poprzecznemi i podłużnemi falami uwidocznimy sobie na następującym przykładzie. Wyobrażamy sobie długi i bardzo gruby pręt gumowy, którego jeden koniec opiera się np. o ścianę, a drugi jest swobodny — falę podłużną w pręcie otrzymamy, uderzając np. w swobodny koniec młotkiem w kierunku osi pręta. Wtedy oczywiście pręt się skurczy, co wywoła przesunięcie naprzód poprzecznych jego przecięć; następnie każde pojedyncze przecięcie, doszedłszy po niejakim czasie do krańcowego położenia, zacznie się cofać, przejdzie przez położenie równowagi do drugiego krańcowego położenia, potém znów zawróci i t. d. Ruch falowy w podobny sposób otrzymywany, będzie zatém podłużny, gdyż kierunek wahania przecięć jest ten sam, co i rozchodzenia się fali wzdłuż osi pręta; pojedyncze wahania będą się tu odbywały w zależności od tego, jak sprężyście ściśliwym jest materyał pręta; im więcéj daje on się ścisnąć tém oczywiście więcéj przesuną się pojedyncze przecięcia od położenia równowagi.

Wyobraźmy sobie teraz, iż zamiast uderzenia ściskającego pręt skręcimy go u swobodnego końca około osi na pewien kąt i następnie puścimy wolno. Pojedyncze płaszczyzny poprzeczne nie będą zmieniały wtedy swego położenia względem osi pręta, nie będą się przesuwały naprzód i w tył; natomiast będą się one kręcić na około osi, a dzięki spójności materyału pręta, skręcenie piérwszéj płaszczyzny pociągnie za sobą skręcenie następnéj naturalnie już na mniéjszy kąt, téj znowu następnéj i t. d. Wahania skręcającego się i rozkręcającego pręta będą zatem prostopadłe do kierunku rozchodzenia się fal, t. j. będziemy tutaj mieli do czynienia z falami poprzecznemi, t. j. z takiemi, jakie poprzednio musieliśmy przypuścić dla objaśnienia fal świetlnych.

Z powyższego można wywnioskować, że fale podłużne mogą po-

wstawać w każdém ciele, gazie, płynie, lub ciele twardém, byle tylko ciała te mogły być ściśnięte a po ściśnięciu sprężyście starały się powrócić do poprzedniego stanu, co ma miejsce dla wszystkich znanych ciał natury. Zupełnie jednak inaczéj się przedstawia kwestya fal poprzecznych: by w wyżéj przytoczonym przykładzie mogła powstać taka fala; trzeba, by cząstki pojedynczych przecięć wychodząc z położenia równowagi ciągnęły za sobą cząstki sąsiednich przecięć, t. j. by pomiędzy cząstkami ciał istniał pewien związek materyalny, sprzeciwiający się sprężyście odkształceniu. Związek taki nie egzystuje w płynach i gazach, których forma zależy tylko od otaczającego naczynia, w skutek czego w tych ciałach fale poprzeczne powstawać nie mogą: fale poprzeczne mogą istnieć tylko w ciałach stałych.

Ten ostatni wniosek stanowczo rozstrzyga kwestyę na rzecz niemateryalnego (t. j. nie związanego z wahaniami ważkiéj materyi) charakteru fal świetlnych. Ponieważ doświadczenie okazuje, iż światło przechodzi przez ciała płynne i gazowe, zatem fale świetlne nie są wywołane przez ruchy materyi, lecz powstają w pewnym ośrodku, znajdującym się wszędzie, gdzie mogą być promienie świetlne, a więc w całej przestrzeni gwiazdowej z jednéj strony i przepełniającym z drugiéj strony wszystkie ciała natury, ponieważ one w dostatecznie cienkich blaszkach są dla światła przezroczyste. Ten ośrodek tajemniczy, którego istnienie na podstawie powyższego szeregu wniosków zmuszeni jesteśmy przypuścić, i który podług przytoczonych już wyżéj słów W. Thomsona, jest jedyną substancyą godną zaufania w dynamice, zowiemy eterem [1]).

Atoli powyższe rozumowanie doprowadza nas do ciekawego paradoksu: z jednéj strony eter musi być ciałém twardem, a przynajmniéj takiém, które ma sprężyste własności ciała twardego; z drugiéj wiemy, iż tenże „twardy“ eter, przepełniając przestrzenie międzygwiazdowe, nie stawia żadnego, albo prawie żadnego oporu przechodzeniu ciał niebieskich, pomimo ich chyżości, wynoszącéj np. dla ziemi do czterech mil na sekundę. Jak pogodzić tę sprzeczność, która stanie się jeszcze wyrazistszą, gdy zauważymy, że niezależnie od swéj sztywności, eter powinien mieć gęstość, wiele bilionów razy mniéjszą od gęstości wody [2]).

---

[1]) Wyraz eter w znaczeniu substancyi piérwotnéj (αἰθήρ) spotykamy już u najdawniéjszych filozofów greckich. Platon wyraz „eter“ wyprowadza od wiecznego ruchu: ὅτι θεῖ περὶ τὸν ἀέρα ῥέων ἀειθεήρ δικαίως ἂν καλοῖτο.

[2]) Prędkość v rozszerzania się fal (poprzecznych lub podłużnych) w jakimkolwiek ośrodku zależy od gęstości (ciężaru gatunkowego) ośrodka d, i sprężystości

Angielscy fizycy trudność tę obchodzą, upodobniając międzyplanetarny eter do rodzaju galarety lub smoły bardzo gęstéj. Ciała podobne nie przedstawiają prawie żadnego oporu, jeżeli się przez nie przesuwa jakiekolwiek inne ciało; wysiłkom jednak skręcającym galareta pewien opór sprężysty przedstawia, tak że drgania poprzeczne przez ciała galaretowate przechodzić mogą.

Ale zagadka eteru, „który istniéć koniecznie musi“, nie ogranicza się tylko kwestyą jego struktury. Eter przepełnia całą przestrzeń, ale jednocześnie przepełniać musi i wszystkie ciała natury, gdyż inaczéj przez nie światło przejśćby nie mogło. Jakże więc zachowuje się eter przestrzeni w obec eteru związanego z materyą? innémi słowy, jeżeli materya (np. nasza ziemia) przesuwa się przez eter, że tak go nazwiemy przestrzenny, czy eter zawarty w materyi przesuwa się z nią razem, czy bywa zawłóczony, czy téż nie; czy naprzykład światło przechodząc przez przestrzeń i ciała w niéj się znajdujące, bierze udział w ruchu tych ciał, czy prędkość promienia światła, który od ciał niebieskich do nas dochodzi, zależy od tego, czy ziemia idzie mu naprzeciw, czy téż odeń się oddala?

Zagadnienia wspomniane są może najtrudniejszemi w dziedzinie fizyki teoretycznéj. Ostatecznego rozwiązania do téj pory nie posiadamy pomimo, iż obmyślano cały szereg doświadczeń, mających odpowiedziéć na rzeczone pytania. Jeżeli eter jest nieruchomy w obec zwykłéj materyi, to, jak już wspomniano, prędkość rozszerzania się światła w ciałach poruszających się, nie zależy od prędkości ich ruchu i jest w ogóle jednaką w przestrzeni międzygwiazdowéj i w ruchomych ośrodkach; w przeciwnym razie, jeżeli eter jest stale związany z materyą ważką, t. j. jeżeli np. ziemia obiegając naokoło słońce, wlecze z sobą całą masę eteru, przenikającą jéj cząstki materyalne, to prędkość światła w ciałach poruszających się w kierunku rozsze-

---

ośrodka, t. j. oporności przesunięciom podłużnym lub skręcającym e, w sposób wyrażony wzorem matematycznym $v = \sqrt{\frac{e}{d}}$. Ponieważ prędkość rozszerzania się światła wynosi do 300,000 kilometrów na sekundę (światło, gdyby mogło biedz po linii kołowéj okrążyłoby ziemię w sekundę siedem i pół raza na około po równiku) więc gęstość eteru musi być w obec tak wielkiéj szybkości nadzwyczajnie mała. Powyższy wzór tłómaczy także, czemu nawet przy przechodzeniu światła przez przezroczyste ciała twarde, przyjmujemy, że nie materya, lecz eter w nich drga. Dla szkła np. i sprężystość i ciężar gatunkowy są znane, a więc można wyrachować i prędkość rozchodzenia się drgań poprzecznych w materyi szkła. Prędkość ta jest wiele tysięcy razy mniejszą od rzeczywistéj prędkości światła.

rzania się światła dla nieruchomego obserwatora powinna być równą sumie (algebraicznéj) prędkości ciała i światła.

Przypuszczenie, iż ziemia wlecze z sobą w swym ruchu w przestrzeni cały zapas eteru zapełniający jéj cząstki, zdaje się być na piérwszy rzut oka naturalniejsze. Arago w początku bieżącego stulecia badał tę kwestyę, obserwując gwiazdy w rozmaitém położeniu na kuli niebieskiéj przez pryzmat umocowany na szkle przedmiotowém teleskopu. Jeżeli eter „ziemski" bierze udział w ruchu ziemi, to kąt załamania światła w pryzmacie nie zależy od położenia padającego promienia względem kierunku ruchu ziemi; w przeciwnym razie dla różnych gwiazd (t. j. dla różnych kierunków padającego promienia) powinny się otrzymywać pewne nieznaczne różnice. Rezultat doświadczenia był ujemny (t. j. przemawiający na korzyść zawłóczenia eteru), podobnie jak i rezultat analogicznych doświadczeń Maxwella i Mascarta.

Jednakże „zawłóczenie" eteru jest w sprzeczności z jedném z najlepiéj zbadanych zjawisk astro-fizycznych, a mianowicie z tak zwaną aberracyą światła, wymagającą dla jéj objaśnienia przypuszczenia, iż eter się razem z ziemią nie porusza, t. j. że ziemia przesuwając się w przestrzeni, jak gdyby „przenikała" eter, t. j. zachowywała się w obec eteru jak drucianna klatka w obec wody, przez którą woda swobodnie w czasie ruchu klatki przechodzić może i do niéj nie przylega. Aberracya gwiazd stałych, odkryta jeszcze w XVIII stuleciu, polega na tem, iż przy dostrzeżeniach astronomicznych, gwiazdę widzimy zawsze przesuniętą naprzód w kierunku ruchu ziemi od miéjsca jéj rzeczywistego na sklepieniu niebieskiém. W skutek tego gwiazdy stałe pozornie odbijają ruch ziemi w przestrzeni, opisując na niebie maleńkie koliste (właściwie eliptyczne) drogi, których pozorny promień przedstawia nam właśnie owo przesunięcie. Zjawisko to może być objaśnione tylko w ten sposób, iż przez ten czas, gdy promień światła przechodzi długość teleskopu, sam teleskop razem z ziemią i obserwatorem przesunie się na pewną odległość, zależną od ruchu ziemi względem eteru napełniającego teleskop i zostającego w spokoju. W rezultacie promienie światła będą się nam pozornie zdawały odchylone w kierunku ruchu ziemi na kąt równy stosunkowi prędkości ziemi do prędkości światła, t. j. około $^{1}/_{10000}$ czyli 20″ w łuku. Zjawisko aberracyi jest zupełnie podobne do następnego spostrzeżenia, które można np. uczynić w czasie silnego deszczu. Jeżeli wtedy prędko biedz będziemy, to oczywiście odczujemy na twarzy uderzenia kropel deszczu, choćby te spadały najzupełniéj prostopadle; i wtedy zdawać się nam będzie, iż deszcz trzepie

nam w twarz ukośnie, t. j. kierunek kropli deszczu pozornie przesunięty będzie dla nas w kierunku ruchu naszego własnego.

Zasadnicza sprzeczność pomiędzy zjawiskiem aberracyi i spostrzeżeniami Arago, skłoniła badaczy do przedsięwzięcia bezpośredniego doświadczenia, t. j. określenia prędkości światła w ośrodku będącym w ruchu.

W połowie bieżącego stulecia Fizeau, a następnie kilka lat temu Michelson i Morley w Ameryce, przedsięwzięli te klassyczne doświadczenia, przepuszczając promień światła przez wodę będącą w ruchu. Zgodne rezultaty tych nadzwyczaj trudnych doświadczeń okazały, iż przy przechodzeniu światła przez poruszającą się wodę, prędkość światła wzrasta prawie o połowę prędkości wody, t. j. że eter znajdujący się wśród ciał materyalnych, jak gdyby częściowo bierze udział w ich ruchu, częściowo zaś jest stałym. Podług Fresnela można zjawisko to objaśnić przypuszczeniem, iż niezależnie od eteru zapełniającego przestrzeń, który jest nieruchomym w obec ciał materyalnych a więc i ziemi, z każdą cząsteczką materyi jest połączona pewna stała masa tegoż eteru, poruszająca się razem z materyą. Gęstość jednakże tego „materyalnego“ eteru jest różną dla różnych ciał materyalnych i równą kwadratowi współczynnika załamania ciał [1]) względem próżni.

Częściowe takie „zawłóczenie“ da się pogodzić ze zjawiskiem aberracyi, ale stoi znowu w sprzeczności z rezultatami najnowszych doświadczeń Michelsona (1887 r.), których rezultat zgodnie ze zjawiskiem Arago wymaga przepuszczenia zupełnego zawłóczenia eteru przez ziemię. Teoretycznie można łatwo wywnioskować, iż jeżeli eter w części lub w zupełności nie bierze udziału w ruchu ziemi, to prędkość rozszerzania światła w kierunku ruchu ziemi od prędkości w kierunku prostopadłym do ruchu ziemi, powinna się różnić o wielkość zależną od kwadratu stosunku prędkości ziemi i światła. Pomi-

---

[1]) Współczynnikiem załamania dwóch ciał względem siebie zowiemy stosunek między prędkością światła w jedném i drugiém ciele, albo téż stosunek między wstawami kątów padania i załamania promienia przy przejściu z jednego ciała do drugiego. Jest rzeczą oczywistą, iż jednocześnie ze zmianą prędkości rozszerzania się światła zmienia się i kierunek promienia, podobnie jak np. oddział konnicy, zjeżdżając z równego pola na świeżo zorane, zboczy od swego poprzedniego kierunku, gdyż przy dążeniu zachowania równéj linii frontu, ta strona frontu, która najpierwéj na pole zjechała, by się zrównać z jeźdźcami, którzy są jeszcze na równém polu, musi nieco zawrócić od pierwotnego kierunku. (W powyższym przykładzie przypuszczamy naturalnie, iż linia prosta jest ukośną od linii rozgraniczającéj pola, t. j. kierunek jazdy pochylony do prostopadłéj do linii granicznéj pól).

mo jednak najskrupulatniejszego przeprowadzenia odpowiednich (niezmiernie trudnych) doświadczeń, Michelson otrzymał rezultat ujemny t. j. różnicy prawie żadnéj nie zauważono, czyli jak gdyby eter w zupełności był przez ziemię zawłóczony.

Niezrozumiałe sprzeczności pomiędzy wszystkiemi przytoczonemi rezultatami skłoniły ostatniemi czasy Fitzgeralda w Londynie i Lorentza w Amsterdamie do postawienia hypotezy, iż wymiary ciał materyalnych na ziemi zmieniają się w zależności od tego, w jakim kierunku ziemia się porusza, t. j. ciała stają się krótsze lub dłuższe. By taka zmiana mogła w doświadczenie Michelsona zamaskować wpływ zmiany kierunków na prędkość światła, dostatecznėm jest, by zmiana długości odbywała się, podług Lorentza, w granicach dla ziemi $^1/_{200000000}$ całkowitéj długości rozpatrywanych ciał. Jeżeli więc hypoteza Lorentza jest zgodną z rzeczywistością, to wymiary saméj ziemi w czasie jéj obrotu ciągle zmieniają się w takich granicach, iż średnica równoległa do kierunku postępowego ruchu ziemi koło słońca, skraca się prawie o trzy cale przy przejściu w skutek obrotu do położenia prostopadłego do kierunku ruchu postępowego [1]).

I tak w dzisiejszym stanie wiedzy naszéj o eterze przypuścić musimy, iż „galaretowaty“ ten i niewidzialny sam przez się ośrodek w swéj masie nie bierze udziału w ruchu ziemi, lecz ją swobodnie ciągle przenika; jest jednakże prawdopodobném, iż część przynajmniéj eteru stale jest z ziemią związana, tworząc owo „zgęszczenie“ optyczne w myśl hypotezy Fresnela i zgodnie z zjawiskiem Fizeau. Jeszcze jedno pytanie nasuwa nam się, gdy zagłębiamy myśl naszą w te zagadki natury — czy eter wszędzie w przestrzeni ma jednakie własności?

Ponieważ o własnościach eteru sądzić możemy tylko na podstawie prędkości światła, pytanie to jest równoważne z drugiém: czy światło wszędzie w przestrzeni z jednaką rozszerza się szybkością.

---

[1]) Przytaczamy tu podług *R-ue des Sciences* słowa Lorentza (Séances de l' Academie des Sciences d' Amsterdam 26 Listopada 1892 r.) „ce qui determine la forme et la grandeur d' un corps solide c' est évidement l' intensité des forces moleculaires. Or dès qu'on admet, que les actions électriques et magnétiques sont dues à l' intervention de l' ether, il est naturel d'étendre cette manière de voir aux forces moléculaires. Il faudra alors s'attendre à ce que l'action mutuelle de deux points materiels, qui se deplacent à travers l'ether avec une vitesse commune eprouve *par cela même* une modification, qui depend de la direction du mouvement“. Porównaj także referat prof. Lodge'a na posiedzeniu tow. fizycznego w Londynie 27 Maja 1892 r. Klassyczne doświadczenia Michelsona są opisane w American Journal of Science, oraz w ostatnim tomie najnowszéj Optyki Mascarta (Paryż 8913).

Obserwacye astronomiczne nad zaćmieniami Jowisza, które w XVII w. po raz pierwszy posłużyły dla określenia prędkości światła, potwierdzają to pytanie dla obrębu przestrzeni, zawartego w orbicie ziemi około słońca — co do słońca możemy być przekonani, że światło, by dojść od téj gwiazdy do nas rzeczywiście potrzebuje około 500 sekund t. j. $8^1/_2$ minut czasu; co się tyczy jednak planet, a tém więcéj gwiazd stałych, znajdujących się po za orbitą ziemi, bezwzględnego dowodu jednakich własności eteru nie posiadamy, jakkolwiek niektóre zjawiska (np. brak zmian zabarwienia w gwiazdach silnie zmiennych) pozwalają przypuszczać z wielkiém prawdopodobieństwem, że nasz eter przestrzenny wszędzie jest jednaki [1]).

II. Eter i elektryczność.

Jeszcze niezbyt dawno wszystko to, co wiedzieliśmy w nauce o zjawiskach elektrycznych stanowiło ogromny zbiór faktów, których synteza w jeden ogólny systemat zdawała się być jeżeli nie zupełnie niepodobną do wykonania, to przynajmniéj utrudnioną. Zasadnicze zagadnienie, czém jest elektryczność pozostawało bez odpowiedzi, a pojedyncze tak zwane „prawa“ zjawisk elektrycznych—bez wewnętrznego związku w formie pojedynczych cegieł, nie tworzących jednolitéj budowy.

Nie można powiedziéć, by dziś już wszystko, co się tyczy nieznanego „czegoś“ zwanego elektrycznością, było rozwikłane i wyjaśnione; w każdym razie wiedza nasza w ostatniém trzydziestoleciu, a szczególniéj dzięki odkryciom lat ostatnich (od 1888 r.) zrobiła niezmierne kroki w celu wydarcia naturze téj ciemnéj zagadki. Tajemniczy wszechświatowy eter i tutaj powołany został do objaśnienia zjawisk, które bez niego byłyby zupełnie niezrozumiałe.

Już od końca zeszłego stulecia wiedziano, iż tak zwane „ładunki elektryczne“, czyli elektryczność zebrana na izolowanym przewodniku elektrycznym odpycha się lub przyciąga podług prawa, które jest zupełnie podobne do prawa Newtona : siła działa po linii prostéj łączącéj ładunki i zmienia się odwrotnie proporcyonalnie do kwadratów

---

[1]) Arago widział w jednakiéj aberracyi wszystkich ciał niebieskich dowód jedności eteru w całéj przestrzeni międzygwiazdowéj. Pogląd ten jednakże jest błędny, gdyż zjawisko aberracyi zależy tylko od prędkości światła w rurze teleskopu, i nie zależy od prędkości promienia na drodze od gwiazdy do szkła przedmiotowego teleskopu. Cfr. Mascart, Traité d' Optique, III. p. 84 et sqq.

odległości. Wiedziano także, dzięki Ampère'owi i Laplace'owi, iż siły odpychające i przyciągające istnieją także między prądami elektrycznemi i że biegun magnetyczny i prąd prostolinijny oddziaływają na siebie w ten sposób, iż biegun stara się kręcić na około prądu. Ale wnioski matematyczne wysnute z praw Coulomb'a, Ampère'a, Laplace'a, na których oparto elektrostatykę, elektrodynamikę i elektromagnetyzm, niczém się nie przyczyniły do objaśnienia samego mechanizmu zjawisk elektrycznych, który pozostał nieznany jak i przed wypowiedzeniem tych praw.

Dopiéro dzięki genialnemu umysłowi Faradaya († 1867), a szczególniéj badaniom nieśmiertelnéj pamięci Jamesa Clark'a Maxwell'a († 1879) nauka o elektryczności zrobiła krok stanowczy naprzód, krok, który w najświetniéjszy sposób znalazł doświadczalne potwierdzenie za naszych czasów (1888 r.).

Dawne teorye elektryczne oparte były na przypuszczeniu filozoficznėm, t. zw. „*actio in distans*“, t. j. na przenoszeniu się siły czy to elektrycznéj, czy magnetycznéj, czy jakiéjbądź innéj pomiędzy dwoma punktami bez udziału przestrzeni dzielącéj dwa działające na siebie punkta. Przed duchowém okiem Faradaya takie zapatrywanie ostać się nie mogło: wszędzie gdzie działa siła musi w tém działaniu brać udział ośrodek, przez który siła przechodzi. Udział taki bezpośrednio sprawdzić możemy w zjawiskach dźwięku i światła, i zjawiska elektryczne muszą być zatém poddane ogólnemu prawu; linie siły elektrycznéj, jak je nazwał Faraday, muszą być w zależności od ośrodka i zmieniać się razem z jego zmianą [1]).

Podług Faradaya cała przestrzeń otaczająca ładunki elektryczne znajdzie się w pewnym szczególnym stanie wzbudzenia, stanowi tak zwane „pole elektrostatyczne“. W tém polu siła działa wzdłuż linii sił rozchodzących się promieniście od jednego ładunku do drugiego, w razie jeżeli ładunki się przyciągają (są zatem różnych znaków). Działanie ośrodka tłómaczy Faraday w ten sposób, iż każda linia siły ma dążenia skurczyć się na długość i rozszerzyć swe przecięcie poprzeczne, podobnie jak wyciągnięta guma elastyczna. W skutek piérwszego ładunki są do siebie przyciągane, w skutek drugiego pojedyncze linie siły wzajemnie się odpychają, co odpowiada faktom doświadczalnym.

---

[1]) Jeszcze Cavendish w zeszłém stuleciu wypowiadał takie przypuszczenia i sprawdził je doświadczalnie. Ale prace Cavendish'a, niezrozumiane przez współczesnych, zostały prędko zapomniane; i tylko dzięki Faradyowi, a szczególniéj Maxwellowi, na nich oparto całą dzisiajszą naszą wiedzę o elektryczności.

Wobec takiego zapatrywania właściwém podścieliskiem zjawisk elektrycznych nie są bynajmniéj przewodniki, na których się zbiérają ładunki lub po których przechodzą prądy elektryczne; wbrew zwykłemu przypuszczeniu, całe działanie umiejscawia się w otaczającym ładunki i prądy nieprzewodniku (w zwykłych wypadkach — powietrzu), gdzie „linie siły“ i wywoływują wszystkie zauważane zjawiska przyciągań i odpychań.

Atoli ponieważ działania elektryczne i magnetyczne przechodzą również i przez sztuczną próżnię i ponieważ podług wszelkiego prawdopodobieństwa przestrzeń międzygwiazdowa nie stanowi również zapory dla sił tego rodzaju, zmuszeni jesteśmy zatém do wniosku, iż w mechanizmie zjawisk elektrycznych bierze udział pewien niemateryalny ośrodek. Za ośrodek ten najnaturalniéj przyjąć ten sam eter, który służy do rozprzestrzenienia wstrząśnień świetlnych: poniżéj przekonamy się, iż przypuszczenie to potwierdza się w zupełności. Oczywiście przytém, iż obecność zwykłéj materyi w podobny sposób modyfikuje oddziaływania elektryczne eteru, jak to ma miejsce i dla zjawisk światła.

Podług James'a Clark'a Maxwella, którego cudownéj prawie przenikliwości umysłu dzisiejsza wiedza zawdzięcza najpiękniejszy nabytek umysłowy XIX stulecia — elektromagnetyczną teoryę światła—eter związany z materyą, lub też swobodny w przestrzeni, może z punktu widzenia elektromagnetycznego podlegać dwojakim, rozmaitym zmianom. Pierwsza z tych zmian ma miejsce w polu elektryczném Faradaya wzdłuż linii sił, łączących oddzielne ładunki. Każda z tych linii sił, jak już widzieliśmy, stara się zbliżyć ładunki, skracając się; otóż Maxwell przypuszcza, iż zjawisko to jest równoważne z pewném przenikaniem elektryczności wzdłuż linii sił, któremu ośrodek przeciwdziała, wskutek czego zachodzi tu zjawisko podobne do sprężystego ściskania pręta; siły elektryczne między dwoma ładunkami starają się przeniknąć, ścisnąć, że tak się wyrazimy, ośrodek, który się temu sprężyście opiéra. Ta „sprężystość“ elektryczna, oprócz pewnéj analogii, nie ma zresztą nic wspólnego ze zwykłą sprężystością. Oczywiście, że oporność ośrodka działaniu sił elektrycznych, czyli jego „sprężystość“ jest tém większa, im mniejsze „przenikanie elektryczności“ przy danych ładunkach i danéj ich odległości zauważyć możemy [1]).

---

[1]) Doświadczalnie wpływ „sprężystości“ elektrycznéj najlepiéj się uwydatnia w butelce lejdejskiéj. „Pojemność“ takiéj butelki zmienia się odwrotnie proporcyonalnie do owéj sprężystości elektrycznéj szkła lub innego materyału izolują-

Drugą elektryczną zmianę eteru Maxwell przyjmuje dla objaśnienia pola linii sił prądu elektrycznego. Prostolinijny prąd elektryczny wywołuje w otaczającéj przestrzeni pewien stan nieco różny od stanu przestrzeni pod wpływem ładunków izolowanych, czyli pola „elektrostatycznego.“ Prąd działa na igiełkę magnesową, starając się ustawić ją prostopadle do kierunku prądu, jakiego to zjawiska nie spostrzegamy w polu elektrostatyczném. Dlatego téż pole prądu nosi nazwę elektromagnetycznego. „Linie siły“ pola elektromagnetycznego, które odpowiadają położeniu, jakie przybiéra igiełka pod wpływem prądu, otaczają prąd w formie zamkniętych, współśrodkowych kół w płaszczyźnie prostopadłéj do prądu. Linie te również mają dążenie do możliwego skracania się i pęcznienia w poprzek, t. j. odpychają się wzajemnie, podobnie jak i linie elektrostatyczne. Linie elektromagnetyczne najlepiéj uwidocznić, nadziawszy na prostolinijny drut, po którym przechodzi prąd elektryczny, kartę sztywnego papiéru i nasypawszy na nią opiłek żelaznych: opiłki w takim razie ułożą się na współśrodkowe koła i biegiem swoim wskażą nam egzystencyę siły elektromagnetycznéj.

Stan eteru wzdłuż owych linii elektromagnetycznych przedstawia Maxwell jako pewien wir, pewien obrót około osi linii sił. Każda pojedyncza cząsteczka wiruje oddzielnie, ale osie wszystkich wirów razem wzięte, stanowią zamkniętą linię siły, przyczém oczywiście wirowanie odbywa się w płaszczyźnie prostopadłéj do kierunku linii siły. Siła odśrodkowa obrotu objaśnia dążenie każdéj oddzielnéj cząsteczki linii siły do pęcznienia, a zatém całéj, zamkniętéj linii siły do możliwego ściągania się. Z drugiéj strony *à priori* i przez analogię staje się bardzo prawdopodobném, iż owe wiry, stanowiące pole elektromagnetyczne, powinny zależéć od rodzaju materyi, w jakiéj pole powstaje. Doświadczenie najzupełniéj potwierdza to przypuszczenie: dany prąd wywołuje daleko silniejszy wpływ magnetyczny w żelazie np. niż w powietrzu; odchylenie igiełki magnetycznéj wskutek prądu w oznaczonéj od niego odległości, będzie bez porównania słabsze, jeżeli między prądem a igiełką znajduje się powietrze, niż jeżeliby ta przestrzeń zapełnioną była przez żelazo. Maxwell przyjmuje wogóle, że cząsteczki w ciałach magnetycznych albo wirują prędzéj albo też gdy cięższe „magnetycznie“, t. j. że jeden wir w żelazie jest równoważny kilkuset wirom w powietrzu, innemi słowy, że jak

---

cego, pomieszczonego między dwiema okładkami z cynfolii, na których się mieszczą ładunki.

gdyby trudniéj zmusić do wirowania cząsteczki żelaza, niż powietrza, szkła, miedzi i t. p. ciał nie magnetycznych. Ciężar ten, czyli „gęstość ciał“ magnetyczną można inaczéj nazwać jeszcze przenikliwością eteru związanego z danêm ciałem. „Gęstość“ magnetyczna eteru w próżni jest prawie ta sama jak w powietrzu, t. j. próżnia prawie zupełnie nie może być namagnesowaną.

Jesteśmy na podstawie pojęć powyższych dostatecznie już przygotowani, by zdać sobie sprawę przynajmniéj w najogólniéjszych rysach z korony wniosków Maxwella, z jego teoryi promieni elektromagnetycznych, utożsamionych przezeń ze światłem.

Oczywiście, jeżeli tylko ośrodek bierze udział w rozszerzaniu sił elektrycznych, to rozszerzanie to nie może być natychmiastowe, lecz będzie wymagało pewnego czasu, by dojść do oznaczonego punktu. Jeżeli przez prostolinijny drut przepuścimy prąd, to naokoło prądu pole będzie się tworzyło stopniowo: najpierw powstaną najbliższe drutu linie siły, potém dalsze i t. d. Wirowanie pojedynczych linii będzie się udzielało coraz dalszym masom eteru, podobnie jak szereg kół zębatych zaczepia następujący po nim szereg, przyczém osie wirów t. j. kierunek siły magnetycznéj, będą oczywiście prostopadłe do kierunku rozszerzania się wysiłu [1]). Wyobraźmy sobie daléj, iż po pewnym przeciągu czasu, bardzo nieznacznym zresztą, zmieniamy kierunek pierwotny prądu elektrycznego, wyślemy wtedy w przestrzeń nowy szereg wirów — linii sił — tylko obracających się w przeciwnym kierunku. Jeżeli takie zmiany kierunku będziemy powtarzali ciągle, to nasz prąd stanie się źródłem fal wirowych elektromagnetycznych, każda pojedyncza linia siły będzie najpiérw wirować w jednym kierunku, następnie zawróci, będzie wirować w kierunku przeciwnym i t. d. Prędkość rozszerzania się takich wirów, czyli promieni elektromagnetycznych będzie oczywiście tém mniejszą, im cięższe są cząsteczki, t. j. im ośrodek jest magnetyczniejszy, i tém większą, im ośrodek jest elektrycznie sprężystszy, t. j. im lepiéj oznaczony wir zaczepia za następujący po nim, im mniéj ma miejsca ślizganie i przesuwanie się powierzchni wirów jednéj po drugiéj. To ostatnie zaś zależy mianowicie od elektrycznéj sprężystości eteru, która nie pozwala na przesuwanie cząsteczek jednéj wzdłuż drugiéj.

Wyżéj opisany sposób rozszerzania się fal poprzecznych, elektro-

---

[1]) W rzeczywistości, jak wiadomo, prawdopodobnie zjawisko odbywa się w przeciwnym kierunku, prąd w przewodniku jest rezultatem przenikania linii sił w przewodnik (rozsiewania energii). Dla ułatwienia zrozumienia jednakże pozostawiamy w tekście dawny pogląd na prąd elektryczny.

magnetycznych od przewodnika, w którym bezustannie zmienia się kierunek prądu elektrycznego, podług Maxwella, wywołuje między innemi zjawisko światła. W tym wniosku ostatecznym Maxwell oparł się przedewszystkiém na tożsamości, otrzymanéj drogą czysto elektryczną, prędkości rozszerzania wstrząśnień elektromagnetycznych, z prędkością światła, otrzymaną drogą optyczną i astronomiczną [1]). Obie te prędkości wynoszą podług najnowszych określeń prawie jednakowo 299,000 — 300,000 kilometrów na sekundę (dla fal elektromagnetycznych Abraham $299,_2$; J. Thomson $299,_6$; dla światła Michelson $299,_{85}$; Newcomb $299,_{86}$ tysięcy kilometrów na sek.).

Taka zupełna zgoda cyfr nie mogłaby być samą tylko igraszką natury. Daléj teorya Maxwella pozwala sprawdzić jeszcze kilka wniosków, które potwierdzają się w rzeczywistości. Tak, kwadrat współczynnika załamania ciał dla światła wobec próżni powinien być równy w myśl téj teoryi odwrotności, pojemności elektrycznéj [2]).

---

[1]) Prędkość rozszerzania się fal elektromagnetycznych jest równą stosunkowi między tak zwaną elektromagnetyczną i elektrostatyczną jednostką elektryczności. Nie kusząc się tu o wytłómaczenie zupełnie dostępne téj zależności, podajemy następujący szereg rozumowań dla czytelników, którym nie obce są skądinąd podstawy mymiarów elektrostatycznych i elektromagnetycznych. Wielkość jednostki elektromagnetycznéj określa się na podstawie magnetycznego działania elektryczności na igiełkę magnesową, zatém zależy od „gęstości“ magnetycznéj ośrodka; elektryczna jednostka określa się na podstawie działań w polu elektrostatyczném, zatém zależy od „sprężystości“ elektrycznéj *) ośrodka. Stosunek tych dwóch jednostek zależy zatém od i l o r a z u gęstości i sprężystości (dokładnie jest równy pierwiastkowi kwadratowemu z tego ilorazu, gdyż w powyższe wyrażenia wchodzą również pierwiastki kwadratowe gęstości i sprężystości). Ale pierwiastek kwadratowy ilorazu gęstości i sprężystości jest na podstawie ogólnych praw ruchów falowych równy szybkości rozszerzania się ruchu t. j. w danym wypadku fal elektromagnetycznych, co było do dowiedzenia.

[2]) Jak wiadomo, współczynnik załamania $n = \frac{v}{V}$, gdzie v prędkość światła w próżni, V w ciele. Jeżeli światło jest wstrząśnieniem elektromagnetyczném, jak przypuszcza Maxwell, to w myśl tego, cośmy powiedzieli w poprzedzającéj nocie, prędkość $V = \sqrt{\frac{k}{m}}$, gdzie k „sprężystość“ elektryczna eteru, m jego „gęstość“ magnetyczna. Podobnie mieć będziemy i dla prędkości fal w próżni $v = \sqrt{\frac{k_1}{m_1}}$, gdzie k_1 i m_1 gęstość i sprężystość w próżni. Jeżeli daléj zgodnie z rzeczywistością

---

*) Nie należy zapominać, iż sprężystość jest odwrotnością pojemności.

Postulat ten sprawdza się dla bardzo znacznéj ilości ciał. Daléj w myśl teoryi Maxwella wszystkie dobre przewodniki elektryczności, a więc przedewszystkiém metale powinny być nieprzezroczyste, wszystkie izolatory na odwrót przezroczyste [1]). Jak wiadomo, zgadza się to za małemi wyjątkami również z rzeczywistością.

Wszystkie te wnioski przewidział i sprawdził Maxwell teoretycznie, gdyż za jego czasów „fale elektromagnetyczne“ przedstawiały się tylko przed okiem jego duszy. Dopiéro w dziewięć lat po śmierci Maxwella (w 1888 r.) zrobione zostało przez Hertza w Karlsruhe doniosłe odkrycie, wykazujące, że fale elektromagnetyczne w rzeczywistości istnieją w naturze, i doświadczalnie potwierdzono teoryę Maxwella, która dziś stała się jedną z podstaw naszéj wiedzy o naturze.

Trudność otrzymania fal elektromagnetycznych polegała mianowicie na ich olbrzymiéj prędkości rozprzestrzeniania się. Długość fali równa się ilorazowi z prędkości przez czas trwania prądu danego kierunku w pierwotnym przewodniku. Jeżeli nawet 1000 razy na sekundę zmieniać będziemy kierunek prądu, to jeszcze długość fali będzie $\frac{300{,}000}{1{,}000} = 300$ kilometrów, odległość z Warszawy do Krakowa, wielkość niemożliwa dla eksperymentowania. Dopiéro Hertzowi udało się za pomocą genialnego i nadzwyczaj prostego przyrządu otrzymać w przewodniku zmiany prądu, które dochodzą do 150,000,000 razy na

---

zauważymy, że dla ciał niemagnetycznych i próżni $m = m_1$, to $n = \frac{v}{V} = \sqrt{\frac{k}{k_1}}$. Jeżeli sprężystość eteru w próżni k przyjmiemy za jedność i zastąpimy k_1 przez odwrotność pojemności $k_1 = 1/K$, $n = \sqrt{K}$, albo $n^2 = K$, co było do dowiedzenia. W rozprawie naszéj „Elektrometryczna teorya światła J. O. Maxwella“ Lwów 1886, przytoczyliśmy szereg cyfr, potwierdzających doświadczalnie tę zależność.

[1]) We wszystkich przewodnikach siły elektrostatyczne, jak pokazuje doświadczenie, działać nie mogą. Dlatego przewodniki w myśl teoryi Maxwella nie mogą posiadać żadnéj sprężystości elektrycznéj, a więc fale elektromagnetyczne spotykając na swéj drodze przewodnika, jeżeli ten tylko jest znaczniejszéj grubości, przezeń przejść nie mogą, gdyż pojedyncze wirowe elektromagnetyczne linie siły doszedłszy do powierzchni przewodnika ciągle się ślizgają o eter w nim zawarty, nie mogąc pobudzić go do wirowania. Jeżeli więc fale światła są falami elektromagnetycznemi, to przez przewodniki przejść nie mogą, więc są te ostatnie nie przezroczyste, co się zgadza z rzeczywistością.

sekundę, wskutek czego można otrzymać fale długości kilku metrów. Fale te posiadają wszystkie własności fal światła: mogą być odbite, załamane, rozszczepione i t. p. Hertz np. przygotował olbrzymi pryzmat z asfaltu, który wobec fal elektromagnetycznych zachowywał się zupełnie tak samo, jak pryzmat szklany wobec promieni światła. Nakoniec zmierzono bezpośrednio prędkość rozszerzania się fal elektromagnetycznych; okazała się ona prawie takąż samą jak przewidziana teoretycznie.

Obecnie cały szereg najwydatniejszych badaczy pracuje doświadczalnie i teoretycznie nad rozwiązaniem pojedynczych jeszcze ciemnych stron teoryi Maxwella i doświadczeń Hertza, ale bezwątpienia dzięki tym pracom kwestye eteru i elektryczności posunęły się niezmiernie naprzód ku ostatecznemu, o ile takie dla człowieka jest możliwe rozwiązaniu [1]).

Streszczając wszystko, cośmy do téj pory powiedzieli, dochodzimy do wniosku, iż stan dzisiejszy wiedzy wymaga przypuszczenia egzystencyi pewnego, niemateryalnego ośrodka, zwanego eterem, zapełniającego całą przestrzeń widomą i wszystkie ciała materyalne. Wstrząśnienia falowe tego eteru, wywołują w nas odczucie ciepła i światła i oprócz tego są przyczyną powstawania zjawisk elektrycznych i magnetycznych. Czy przypuszczeniem istnienia pewnych no-

---

[1]) Do zadań, jakie obecnie najwięcéj w nauce budzą zaciekawienia, należy przedewszystkiém otrzymanie tak prędkiéj zmiany prądów w przewodniku, iżby fale elektromagnetyczne miały długość fal światła t. j. ok. 1/1000 milimetra. Dla tego należy mieć możność zmieniać kierunek prądu 600 bilionów razy na sekundę. Jeżeli teorya jest słuszna, przewodnik powinien w takim razie się świecić. Daléj teoretycznie ważną jest kwestya powstawania prądu elektrycznego, t. j. zbadania czy ładunek w ruchu, ma własności prądu, t. j. czy pole elektrostatyczne, przemieszczając się nabywa własności elektromagnetycznych. Klasyczne doświadczenie Rowlanda popiéra to przypuszczenie, ale wymaga jeszcze potwierdzenia. Nie sprawdzono także dotychczas doświadczalnie, czy ciało wirujące posiada własności magnetyczne, oraz czy prąd elektryczny nie jest pozbawiony bezwładności, w rodzaju téj, którą widzimy w materyi ważkiéj. Najlepszém źródłem do zapoznania się z dzisiejszym stanem „mechaniki eteru“ są wykłady fizyki matematycznéj prof. Poincarè w Sorbonie w Paryżu: „*Electricité et Optique*“ 2 tomy Paris 1890/91, zawierające i dokładny obraz prac doświadczalnych Hertza i innych. Dzieła Maxwella mogą być czytane tylko z wielką trudnością. Bardzo ładny, względnie popularny na sposób angielski, wykład tych teoryi, ogłosił prof. O. Lodge: „*Modern views in Electricity.*“ Klasyczne prace Hertza są zebrane w jego dziele: „*Untersuchungen ueber die Ausbreitung elektrischer Kraft*“ Lipsk, 1892 r.

wych ruchów w eterze nie moglibyśmy, zgodnie z Helmholtzem i Sir Williamem Thomsonem dać możliwego objaśnienia ustroju atomów materyi, lub nawet mechanizmu siły ciążenia (Lesage i inni) odpowiedź na to pytanie wychodzi już po za ramy niniejszéj pracy, któréj celem było przedstawienie czytelnikowi ostatnich wyników naukowych „mechaniki eteru,“ z dziedziny światła i elektryczności o ile to jest wogóle możliwe w formie dostępnéj dla ogółu.

Heryk Merczyng.

Petersburg 8 stycznia 1893 r.





Ze statystyki ludnościowéj Królestwa.



Nie tak dawnym jest spór, prowadzony przez pisma nasze, co do wzrostu, czy téż zaniku sił fizycznych wśród ludności Królestwa, w którym obie strony powoływały się na dane cyfr poboru wojskowego. Ubolewaniom naszych publicystów nad zwyrodnieniem ludności Królestwa zaprzeczył w broszurze swéj („Czy się wyradzamy?“) p. W. Wścieklica, który dochodzi do bardzo korzystnych dla ludności naszéj wniosków, porównywując rekruta z Królestwa z ludnością poborową w innych krajach.

Cyfry, jakich dostarczają nam dwa ostatnie zeszyty (III i IV) wydawnictw warszawskiego komitetu statystycznego, równie pomyślny sąd pozwalają wydać, co do wzrostu i bujnego rozradzania się naszéj ludności. Obliczenie ruchu wśród takowéj odnosi się wprawdzie do jednego tylko roku 1889-go; poprzednio zaś posiadamy cyfry dla całego Królestwa z lat 1371/73, nie ma przecież powodu przypuszczać, aby 1889-ty rok wyróżniał się w czémkolwiek od innych. Obliczenie ludności za rok 1890 (zesz. VII), dokonane na podstawie tych samych ksiąg ludności, co rachunek z 1873 r., pozwala porównać stan ludności obecnéj z ówczesną i wykazuje szybszy przyrost, niż w innych krajach Europy. Nie jestto jeszcze dostateczna wskazówka wyjątkowo pomyślnych stosunków zdrowotnych wśród ludności, a nawet dzieje się niekiedy wprost przeciwnie. Ostatni spis ludnościowy w Austryi wykazał np. wśród wszystkich krajów państwa najwyższą cyfrę rocznego przyrostu dla Galicyi, nie przekonawszy nas przecież o pomyślnym rozwoju ludności w tym kraju, gdzie znów cyfry poborowe opłakane wykazują stosunki. Jeżeli jednak wzrost

cyfry ludności zjawia się jednocześnie ze stwierdzeniem jéj dzielności fizycznéj, to niewątpliwie za korzystny objaw uznać go wypadnie.

Porównywując cyfrę ludności z r. 1890 z dawniejszém zaludnieniem Królestwa, jak je podaje Załęski („Statystyka porównawcza") otrzymujemy wprawdzie dla ostatnich lat siedmnastu (od 1873 r.) mniejszy przyrost, aniżeli poprzednio, łatwo to jednak wytłómaczyć, nie uciekając się do niekorzystnych horoskopów, co do sił fizycznych ludności. I tak, przyrost roczny na 1,000 ludności był:

w latach	1816 — 29	33.0%
„	1831 — 46	17.3%
„	1863 — 73	26.0%
„	1873 — 90	17.0%

Porównywując zatém różne okresy w rozwoju ludności Królestwa, dochodzimy do wniosku, że powiększa się ona obecnie wolnéj, aniżeli w poprzednich, za wyjątkiem niekorzystnych lat 15-tu po roku 1831. Porównywując przecież wzrost ludności naszéj z takimże przyrostem w innych krajach, dostrzeżemy, że wszędzie (wyjąwszy Stany Zjednoczone) był on niższym. I tak, w okresach od 1870 do 1880 r. [1]) wykazują przyrost roczny na 1,000 mieszkańców:

Niemcy	10.8	Irlandya	— 4.6
Szwajcarya	6.4	Dania	9.9
Włochy	6.0	Szwecya	9.1
Francya	4.5	Norwegia	6.0
Belgia	9.8	Austrya	7.5
Holandya	11.4	Węgry z Siedmiogrodem	1.1
Anglia i Walia . .	13.5	Stany Zjedn. Am. P. .	26.5
Szkocya	10.7		

Ludność nasza pomnaża się przeto prędzéj, niż gdziekolwiek w Europie, jeżeli zaś wzrasta dziś wolniéj, aniżeli przed r. 1873 wynika to prawdopodobnie z faktu, że stosunki ekonomiczne ukształtowały się już obecnie na kapitalistyczną modłę. Widzimy zaś wogóle, że w społeczeństwach o formach bytu już skrystalizowanych przyrost staje się zwykle powolniejszym, zwłaszcza jeżeli mają one już tak gęste zaludnienie, jak Królestwo (w 1890 roku 73.7 na 1 w. kw.). Z porównania urodzeń dochodzimy mniéj więcéj do tego samego

---

[1]) „Handwörterbuch d. Staatswissensch.", t. II, str. 523. Biorę okrągłe cyfry 1870—1880 r., jakkolwiek obliczenia w niektórych krajach sięgają o jeden rok w tył, lub parę naprzód po tym okresie.

wniosku; cyfra ich raczéj zmniejsza się, niż wzrasta, względnie do znanych nam okresów poprzednich, jakkolwiek tu wnioski mogą być mniéj pewne, gdyż dane komitetu odnoszą się tylko do jednego 1889 roku. Na ten rok przypada wśród całéj ludności 43.4‰, gdy w roku 1826-ym było ich 46.0, w r. 1840-ym 48.0, w r. 1863-im 49.0, a w roku 1873-im 42.7. Porównywując przecież urodzenia z lat ostatnich w innych państwach, znajduję cyfrę wyższą od 43‰ tylko w Węgrzech, Rosyi i Serbii, we wszystkich innych krajach cyfry są niższe, nie przechodząc zwykle 36—37‰ [1]). Zresztą przykład Węgier, gdzie ludność wzrasta najwolniéj w Europie, wykazuje, że powiększanie się ludności nie zawsze postępuje równomiernie z liczbą urodzeń. Co do śmiertelności, któréj zmniejszenie, niezależnie od wszelkich porównań, zawsze będzie korzystném dla stanu ludności objawem, to obniżyła się ona z 30.4‰ w latach 1871/73 na 27.2‰ w r. 1890, jakkolwiek i tu mając tylko cyfrę z jednego roku, wniosków z niéj wyprowadzać nie mogę. Co do małżeństw, to cyfra ich wśród całéj ludności 9.2‰ wyższą jest od cyfry z 1871/73 r. (7.3‰), jakkolwiek niższą od stosunku z 1827 r. (12‰), lub 1856 r. (14‰). W każdym jednak razie wśród ludów Europy należymy do rzędu tych, które najchętniéj wchodzą w związki małżeńskie. Fakt ten zarówno chwalebny dla cnót rodzinnych naszych mężczyzn, jak i wdzięków niewiast polskich, uznanych zresztą na szerokim świecie, ułatwia téż wielka przewyżka kobiét wśród ludności polskiéj. W całéj Europie wypada na 1,000 mężczyzn 1,024 kobiét. Tymczasem u nas, jeżeli nie liczymy wojska, 1,076. Cyfrę tę zmiejszyć przecież trzeba, gdyż jakkolwiek stojące u nas wojska, nie składają się z ludności miejscowéj, to z każdym poborem ubywa ludności męzkiéj w stosunku 1 na 120 mieszkańców. W taki sposób, jak liczy Simonenko, 68,285 mężczyzn znajduje się za krajem, kobiét tedy wypada nie 1,076, ale 1,058 na 1,000 mężczyzn.

Księgi ludnościowe, które dostarczają cyfr dla obliczenia ludności, istnieją u nas od początku stulecia. W r. 1861 wydana została instrukcya, wskutek któréj, oprócz urodzeń, wypadków śmierci i osób, wstępujących w związki małżeńskie, zapisywana jest w księgach ludności każda zmiana mieszkania i miejsca pobytu. W ten sposób księgi te służą nietylko jako spisy ludności stałéj i prawnéj, a więc wszystkich poddanych państwa, ale zarazem mają i potrzeby policyjne na oku, a mianowicie na ich podstawie w każdéj chwili wykazać można miejsce pobytu i adres danéj osobistości. Ten drugi

---

[1]) Juraschek, „Geograph.-Stat. Tabellen“, 1888, str. 43.

cel utrudnia niezmiernie poprawne prowadzenie spisów, bo robić w nich trzeba nieustanne poprawki, kreślić, mazać, dopisywać. W gminach wiejskich, gdzie ludność jest mniéj ruchliwa i zresztą mniéj liczna, łatwiéj to jeszcze przeprowadzić; w miastach przecież przy znaczniejszym odpływie i przypływie ludności z zewnątrz, oraz częstych zmianach mieszkań, wiadomości takie stają się niemal nieczytelne (zesz. I, str. 66). Dane o ruchu ludności wnoszą się do ksiąg na podstawie wiadomości, dostarczonych przez duchownych każdego wyznania, oraz dla osób wyznań niechrześciańskich przez wójtów gmin i burmistrzów. Wiadomości te często zalegają (np. w guberniach Łomżyńskiéj i Radomskiéj) (zesz. I, str. 64) po lat dziesięć i więcéj. Wskutek tego w obliczaniu ludności występować muszą bardzo znaczne błędy, ratowane tylko przez fakt peryodycznego powtarzania owych błędów, oraz wprawę, jaką posiadają urzędnicy, zajęci obliczaniem ludności, w oryentowaniu się wśród zmian i dopisków. Obok ksiąg ludności stałéj istnieją jeszcze księgi, w które wpisywana jest ludność niestała. Schemat jednych i drugich jest prawie ten sam, a mianowicie obejmują one ogólną liczbę ludności, przyrost lub ubytek roczny, naturalny i rzeczywisty.

Księgi ludności zastąpić prawie mogą jednorazowe popisy, czego dowodem, że system ten, zaprowadzony w Szwecyi od 1775 r., popisy w tym kraju całkiem zbytecznemi uczynił. Musiałyby przecież prowadzone być ściśle prawidłowo, nie wykazywać opóźniań i błędów tak znacznych, o jakich wyżéj była mowa. Nasze jednak dostarczyć mogą tylko najogólniejszych danych, gdyż szczegóły co do daty urodzenia, oraz członków rodziny, oprócz jéj naczelnika nie są wnoszone do ksiąg ludności niestałéj, obliczenie zaś z porównania dopiéro obu spisów (ludności stałéj i niestałéj) powstać może.

To téż dla gubernii Warszawskiéj naczelnik jéj baron Medem obrał inny sposób obliczania ludności, mianowicie z porównania urodzeń i wypadków śmierci. Powstałą w taki sposób cyfrę ludności dopisuje się corocznie do poprzedniéj. Nie brane są tu zupełne pod uwagę przesiedlenia, określone tylko ogólnie co roku wyrazami: znaczniejszych przesiedleń nie było. Naturalnie, że cyfry tego rodzaju za jeszcze mniéj pewne od innych uważać trzeba.

Ogólna cyfra ludności Krolestwa wynosiła w 1890 r. 8,256,562, co wobec zaludnienia z 1873 roku (6,398,793), stanowi przyrost 1,857,769 głów w ciągu lat 17-tu. Względnie do gęstości zaludnienia, Wisła rozdziela kraj na dwie nierówne części. Mniejsza, leżąca po lewym jéj brzegu, obejmuje gubernie z wyższém zaludnieniem od średniego: Warszawska (110.9 na wiorstę kwadratową), Piotrkowska

(101.0), Kaliska (82.4), Kielecka (79.0), oraz Radomska z niższém (66.9) i rozciąga się na 51,139 wiorst kw., z ludnością 4,630,000 mieszkańców. Wschodnia część Królestwa, po prawym brzegu Wisły, ma ludność o milion niższą, a przestrzeń 60,835 wiorst kw. Wszystkie należące tu gubernie mają zaludnienie niższe od średniego: Lubelska 66.4 głów na 1 w. kw., Płocka 64.3, Łomżyńska 56.8, Suwalska 54.3, Siedlecka 53.6 Największe skupienie ludności zauważyć się daje w trzech ogniskach przemysłowych: Warszawa i Łódź (miasta i powiaty), oraz w powiecie będzińskim. Do centrum warszawskiego, oprócz powiatu i miasta Warszawy, należy powiat błoński, w którym znajdują się fabryki żyrardowskie. Do centrum łódzkiego zaliczyć można powiaty: łódzki, brzeziński, łęczycki i kutnowski. Trzecie centrum ciągnie się nad granicą austryacką od Sosnowic do Zawichostu. Z wyjątkiem Warszawy i Łodzi, gdzie ludność jeszcze więcéj jest skupioną, zaludnienie średnie wynosi tu od 85.8—103.5 głów na wiorstę kwadratową. Nad granicą pruską zaludnienie jest znacznie rzadsze, niż nad austryacką.

Wschodnia część kraju nie posiada większych centrów przemysłowych i fabrycznych, ludność jéj jest téż nietylko rzadsza, ale i równomierniéj podzielona. Przedewszystkiém brak tu miast większych, oprócz gubernialnych, tak że nawet nie trzecia część całéj ludności miejskiéj (1,464,807 głów) wypada na 55 miast i miasteczek wschodnich części kraju.

Należy przecież zrobić zastrzeżenie, co do ludności miejskiéj wogóle. Sprawozdanie komitetu podaje liczbę miast na 114, gdyż miejscowości, używających praw miejskich, faktycznie tyle się u nas w Królestwie znajduje. Tymczasem miast jeszcze w 1866 r., podług Suworina i Obruczewa, liczyło Królestwo 452, a 26% całéj ludności wypadało na miasta. Dopiéro ukazem z 1 czerwca 1869 r. 327 miast zamienionych zostało na osady. To téż i ostatnie obliczenie ludności wspomina, że oprócz 114 miast oficyalnie uznanych, w 300-tu przeszło osadach ludność przedstawia raczéj typ miejski, niż wiejski. Faktycznie przeto znacznie więcéj, niż 17.7%, jest u nas ludności miejskiéj i gdybyśmy porównywać się mieli pod tym względem z Europą zachodnią, to prawdopodobnie stalibyśmy najbliżéj ludności miejskiéj Francyi, gdzie ona w r. 1886 stanowiła 35.9%.

Za przykład podaje sprawozdanie powiat Nowo-Aleksandryjski w gub. Lubelskiéj, gdzie wobec prawa nie ma ani jednego miasta, tymczasem około 30 mieszkańców na 100 należy do ludności mieszczańsko-żydowskiéj, zajmującéj się nie rolnictwem, lecz rzemiosłem, handlem, faktorstwem i t. p.

Stosunek ludności stałéj do niestałéj daje nam téż pojęcie o migracyach ludności wewnątrz kraju. Wogóle liczono ludności niestałéj 9%, z tych było wśród ludności w miastach 26.6, we wsiach 5.2%. Odsetki cudzoziemców wśród ludności Królestwa niezmiernie są małe, mianowicie 2.0% w miastach, 0.9% po wsiach, czyli wogóle 1.1 obcych poddanych na 100 mieszkańców Królestwa. Znacznie większy procent stanowią ruscy z Cesarstwa, przebywający czasowo w granicach Królestwa, 7,9 na sto. Ludność niestała rozdziela się bardzo nierówno wśród mieszkańców Królestwa, najwięcéj znaleźć jéj można w znaczniejszych ogniskach ludnościowych i ekonomicznych. I tak, w powiecie warszawskim stanowi ona 41.5% całéj ludności, w łódzkim 34.4, w będzińskim 23.8, w lubelskim 18.8, w błońskim 18.6, we włocławskim 18.6, w brzezińskim 13, płockim 11.1 i w nieszawskim 10.9. W tych dziewięciu powiatach skupia się przeszło 454 tysiące ludności niestałéj, co stanowi 28.7%, tak, że na pozostałe 75 powiatów wypada jéj tylko 292 t., czyli 4.4 całéj ludności tych powiatów. Większe jeszcze różnice co do podziału niestałéj ludności znajdziemy, porównywując pojedyńcze miasta lub osady z ich powiatem, czy téż gubernią. Warszawa ma np. 47.1% ludności niestałéj, gdy cały powiat ma jéj 23 na sto. Wyższym jeszcze jest procent ludności niestałéj w gminach: Czyste (59.2), Młociny i Mokotów (52.0 i 57.3). W Żyrardowie spotykamy 58.2% niestałéj ludności, a nawet niezwykle u nas wysoki procent cudzoziemców 7.5, gdy w całym powiecie błońskim jest pierwszéj 18.6, a drugich 2.2 na stu mieszkańców. Fabryczne miasta i osady gubernii Piotrkowskiéj wykazują również niemal połowę ludności niestałéj wśród swoich mieszkańców, obok znacznego procentu cudzoziemców. W Łodzi ludności niestałéj 51.7%, cudzoziemców 5.7, w Tomaszowie 41.4 oraz 7.6, gdy wśród ludności całéj gubernii mieszkańców niestałych jest 15.8, a cudzoziemców 2.7%. W takich przecież miejscowościach fabrycznych, jak Częstochowa, Pabianice, a nawet Zgierz, ludność niestała jest stosunko bardzo nieliczna: od 14—23 na sto, obok 2.3—5.8% cudzoziemców. Dopiéro rozpatrzywszy stosunki niektórych miejscowości w powiecie będzińskim, jak Gzichów, Górna, spotykamy na 100 mieszkańców 47.2 i 59.1 niestałych, oraz 11.0 i 26.8 cudzoziemców. Dla Sosnowca, który nie stanowi gminy, nie znalazłam danych, można przecież *à priori* przypuszczać, że stosunki są podobne. Tu więc istotnie przemysł posługuje się przeważnie elementem ludności napływowéj, a nawet obcéj.

Pierwszą tedy cechą miast naszych będzie to, że stanowią one centra ludności napływowéj. Drugą jeszcze wyraźniejszą, olbrzymi

procent ludności żydowskiéj [1]). Z 1,134,268 ogólnéj liczby żydów w Królestwie 598,476 zamieszkuje stale w miastach. Element izraelski stanowi przeszło połowę (50.6%) osiadłéj ludności miejskiéj, wśród mieszkańców wsi i osad znajduje się go 7.6%. Tę cyfrę przeciętną przekracza 72 miast i miasteczek na 114, wykazując więcéj niż połowę ludności żydowskiéj. Krańcowy stosunek znaleziony np. w Ostrołęce: jest tu na stu mieszkańców 87.3 żydów, a katolików 6.5. Miast, posiadających ludności katolickiéj więcéj niż połowę, jest tylko 22, należy przecież dodać, że w liczbie téj znajduje się i Warszawa, gdzie rdzennie-polskiéj ludności (katolickiéj) jest 55%, z pośród protestantów zaś i żydów znaczna część, jak wiadomo, za Polaków się uważa.

Element izraelski przeważa głównie w miasteczkach z ludnością niżéj 10 tysięcy. Wśród miast większych tylko Lublin, Łomża, Suwałki, Siedlce, Chełm mają wśród swéj ludności przeważającą ilość żydów. Tymczasem w miastach poniżéj 10 tysięcy mieszkańców wyjątkami prawie nazwać można te, które mają mniéj niż połowę ludności żydowskiéj. Zwykle w miastach od 10—5,000 ludności waha się ona, stanowiąc naprzemian 40 do 70%, w miastach zaś mniejszych, niż 5,000, których, nawet według urzędowego podziału na miasta i osady, jest 27, tylko siedm miasteczek mają ludności izraelskiéj mniéj, niż połowę. Najczęściéj spotykany typ ludności miejskiéj wśród téj kategoryi miasteczek stanowi 20 — 30% ludności katolickiéj, a więc rdzennie miejscowéj, 50—70% żydów (w Terespolu 91.7), resztę stanowią osoby wyznań prawosławnego i protestanckiego.

Nie za ujemny, ale przeciwnie za bardzo dodatni objaw uważać wogóle należy wzrost miast i miasteczek danego kraju, nawet wobec jednoczesnego wyludniania wsi. Znaczy on przedewszystkiém, że przemysł rolny prowadzonym być może z mniejszym nakładem pracy, a więc prawdopodobnie z większém zastosowaniem techniki, bo w naszych czasach szybkiego przyrostu ludności, o zaniechaniu uprawy na jakiéjkolwiek roli nie ma przecież mowy. Wskazuje on daléj na rozwój przemysłu i rzemiosł,ześrodkowujących się głównie po miastach, na przebudzenie się ludności wiejskiéj z apatycznéj drzémki, która kazała jéj pokornie znosić niedostatek, marnować siły zbyteczne na roli, zamiast obejrzéć się energicznie za innym sposobem zarobkowania. Że narusza się przytém dawna równowaga społeczna, że nie-

---

[1]) Za podstawę do idących tu wyliczeń wziąć musiałam podział ludności podług wyznań, gdyż podział co do narodowości, wogóle mało pewny w statystyce, zupełnie w sprawozdaniach podany nie został.

jedna egzystencya zmarnieje w mieście prędzéj, niż na wsi, — jest to smutném, ale nieuniknioném następstwem wszelkiego ruchu—wstecznego czy postępowego. Miasta jednak są nietylko ekonomicznemi centrami, ale również i ogniskami oświaty. Szkoły, pisma, większa ilość inteligencyi, niż po wsiach, dobroczynnie wpływać muszą i mogą na okolicę. Stanie się to przecież faktem tylko w takim razie, jeżeli wyjdą one z łona ludności okolicznéj i organicznie będą z nią zespolone. Musi być do nich przeto ciągły przypływ i odpływ nietylko towarów, lecz i ludności. Jeżeli zaś miasta i miasteczka będą tylko osadami, jakie założyła sobie ludność odrębna od okolicznéj, to przedewszystkiém albo żyć będą na koszt wsi, albo téż nie zdołają wpływać na nią zupełnie.

Co jednak wykazują stosunki współżycia naszéj ludności miejskiéj? Tylko Warszawa i niektóre miasta większe są istotnie zespolone z ludnością okoliczną, miejscową. Inne zaś przyczyniają się wprawdzie do zaspokojenia niektórych potrzeb owéj ludności, przez samo swe istnienie są już potrzebne; ale tam, gdzie tak przemaga żywioł izraelski i to nie żydów uspołecznionych, poczuwających do obywatelskich obowiązków, ale ciemnéj masy, spójni téj nie ma i być nie może. Z tego téż powodu i życie umysłowe, płynące szerokiém korytem w mieście naszém, wegetujące na prowincyi, zamiéra zupełnie w miasteczkach przeważnie żydowskich. Dla inteligentnego człowieka egzystencya w nich równa się pogrzebaniu żywcem i tém się tłómaczy, że młode siły inteligentne, jak lekarze, aptekarze, kupcy, w ostateczności dopiéro osiadają w miastach małych.

Zarówno przewaga ruchliwego bardzo elementu żydowskiego, jak niezadawalniające warunki życia tłómaczą nam zjawiska wyjazdów ludności z miast. Wśród ludności Warszawy nieobecnych było tylko 5 osób na 100. Z miast innych powyżéj 10,000 mieszkańców, tylko Suwałki wykazują znaczne odsetki nieobecnych (32), co pozostaje niewątpliwie w związku ze znaczną emigracyą zamorską z gubernii Suwalskiéj. Wśród miast mniejszych zauważyć się daje prawie najwyższy procent, który dochodzi w Terespolu i Szakach do 60 na 100 wśród ludności osiadłéj (stałéj). Wogóle wśród ludności miejskiéj zapisano do nieobecnych 9.2%, wśród wiejskiéj 8.2, wśród całéj zaś ludności Królestwo 8.3.

W miastach uderza nas większa przewyżka osób płci żeńskiéj, niż po wsiach (na 100 mężczyzn 110.1 kobiét, wobec 107.1 we wsiach i osadach). W znacznéj części przypisać ją zapewne można przewadze elementu niewieściego pomiędzy służbą domową. Zresztą za mało mamy danych, aby zjawisko to wytłómaczyć, ale jest ono wogó-

le cechą życia miejskiego. Wśród ludności miejskiéj w Austryi spotykamy również najczęściéj przewagę elementu żeńskiego. I tak, w Wiedniu było 1880 r. na każde 100 mieszkańców, nie licząc wojska, 52.9 kobiét, w Pradze 53.9, w Bernie morawskiém 51.3, w Grazu 51.8, w Lublanie 51.1 [1]). Wśród naszéj ludności miejskiéj ciekawém jest zwłaszcza, że płeć żeńska przeważa nietylko w miastach większych, takich jak Warszawa (109.7 na 100), Lublin (119.7), Płock (127), Kalisz (129), Kielce (135), lub w osadach fabrycznych, jak Żyrardów, gdzie przemysł przędzalniany i tkacki więcéj zajmuje rąk kobiécych, niż męzkich, lecz i tam, gdzie fabryk nie ma. Taka Kalwarya (w gub. Suwalskiéj), Sejny, Zamość, Pułtusk, Nasielsk i inne wykazują przewagę ludności żeńskiéj nad męzką po 115 — 123 na 100.

Sprawozdanie z ruchu ludności opiéra się na danych z jednego tylko roku, jakkolwiek więc dla całego kraju otrzymujemy większe cyfry, z których już wnioski jakieś wyprowadzić można, to wiadomości, odnoszące się do szczególnych miast lub powiatów, często przypadkowemi być mogą. To téż VII-my zeszyt wydawnictw komitetu statystycznego wówczas dopiéro ciekawym się stanie, gdy nastąpi po nim cały szereg innych, których cyfry z pierwszemi porównać będzie można. Drugą przeszkodą do ocenienia zjawisk ruchu ludności stanowią bardzo niekompletne i wadliwe wiadomości o ruchu wśród żydowskiego elementu. Cyfry są tak małe, a unikanie wszelkiéj kontroli tak widoczne, że zupełnie pominąć je trzeba. Przyczynę stanowi chęć ujścia przed kontrolą, co jest tém łatwiejszém, że wszelkich obrządków religijnych dopełniają rabini, a zaciąganie do ksiąg stanu cywilnego odbywa się późniéj przez wójta lub burmistrza. Tymczasem u ludności chrześciańskiéj zapisują do ksiąg sami duchowni, tak że zapisanie cywilnych danych stanowi niejako część obrządku. Z tego téż powodu rozumiéć należy, że właściwy ruch ludności był żywszym, aniżeli cyfry podane przez sprawozdanie. Moglibyśmy błąd ten uważać za przyczynę niższych wskaźników urodzeń, małżeństw i wypadków śmierci, gdyby nie to, że błędy te nie są właściwością cyfr ostatnich, ale powtarzały się zapewne we wszystkich poprzednich wykazach, tak że zarówno cyfry Załęskiego, jak i komitetu nie za rzeczywiste, ale za minimalne winny być przyjmowane.

Możnaby wprawdzie ograniczyć się do cyfr, obejmujących tylko ludność katolicką i tu przeprowadzić porównanie, ale staje temu na przeszkodzie sposób zbiérania danych. Przy określeniu stanu ludno-

---

[1]) W całéj Austryi wypada na 100 ludności 51.1 kobiét.

ści, według wyznań uwzględniono tylko ludność osiadłą, ruch ludności różnego wyznania obliczony zaś jest w stosunku do ludności zarówno stałéj, jak i niestałéj.

Zadowolnijmy się przeto kilku danemi, które na podstawie cyfr istotnie otrzymać można.

Rozpatrując wsie i miasta, otrzymujemy małżeństw i urodzeń wśród ludności wiejskiéj więcéj, niż wśród miejskiéj, jak również niższą śmiertelność. Z tego téż powodu i przyrost na wsiach jest większym, jeżeli tylko brać nie rzeczywisty przyrost ludności, ale naturalny. W oddzielnych gminach spotykamy naturalnie odstępstwa od tego prawidła, ale te zdarzają się wogóle rzadko. Na 1,000 mieszkańców było w 1889 roku:

Gubernia	Małżeństw		Urodzeń		Zmarłych		Przyrost naturalny	
	miasta	wsie	m.	w.	m.	w.	m.	w.
Warszawska (i miasto Warszawa) . .	9.7	9.4	49.2	45 5	29.9	28.6	19.3	16.9
Kaliska	9.5	9.2	40.3	43.0	26.4	24.4	13.9	18.6
Kielecka	8.2	9.7	39.1	44.6	26.8	24.6	12.3	20.0
Piotrkowska . . .	10.2	9.3	43.8	44.6	27.7	26.5	16.1	18.1
Radomska	8.7	10.1	32.9	44.7	27.1	26.0	5.8	18.7
Łomżyńska	8.2	9.9	35.6	45.2	28.6	29.3	7.0	15.9
Lubelska	7.8	9.6	33.2	46.2	27.9	29.8	5.3	16.4
Płocka	7.8	9.0	33.6	43.9	25.7	25.4	7.9	18.5
Suwalska	5.4	7.2	28.7	37.2	27.4	27.6	1.3	9.6
Siedlecka	7.1	8.9	34.8	39.5	23.2	26.9	11.6	12.6
W całym kraju . .	9.0	9.3	41.7	43.7	28.0	27.0	13.7	16.7

Ten sam podział, który przeprowadzałam przy opisywaniu stanu ludności na części, leżące po prawym i lewym brzegu Wisły, powtórzyć można i teraz. W pierwszych pięciu guberniach, które wykazywały zaludnienie wyższe i ruch ludności szybszym się zdaje, a przyrost większym. Urodzenia i małżeństwa dosięgają najwyższéj liczby w miejscowościach najbardziéj zaludnionych i przemysłowych.

I tak np. w gub. Warszawskiéj najwyższe cyfry daje powiat błoński i warszawski, w Piotrkowskiéj—łódzki i będziński. Wśród innych miejscowości najżywszy ruch, co do urodzeń i małżeństw wykazują gubernie Kielecka i Radomska, oraz zachodnie powiaty siedleckiéj i lubelskiéj.

Na 352,405 urodzeń w 1889 r. było 4.6% nieślubnych. Na miasta, jak tego zresztą można było się spodziéwać, wypada nieprawych dzieci przeszło dwa razy tyle, co na wsi. Na 8.5% nieprawych dzieci po miastach wypadało tylko 3.8% wśród wszystkich urodzeń na wsi. Rozpatrując oddzielne gubernie, dziwném się wydaje, że ilość nieprawych urodzeń większą jest wśród ludności gubernii wschodnich (przyjmując dawny podział), aniżeli zachodnich. Wyjątek stanowią Kaliska i Łomżyńska.

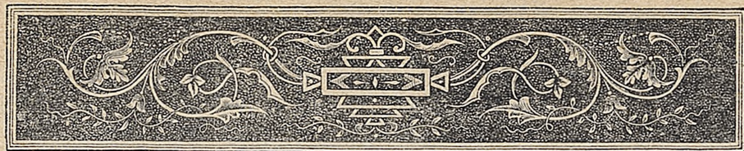
Na 100 urodzeń wypadało nieprawych w guberniach:

Płockiéj	4.8	Piotrkowskiéj . . .	3.9
Suwalskiéj	4.8	Warszawskiéj . . .	3.5
Kaliskiéj	4.6	Kieleckiéj	3.4
Siedleckiéj	4.6	Łomżyńskiéj	3.0
Lubelskiéj	4.1	Radomskiéj	3.0

Wśród miast najwyższe odsetki urodzeń nieprawych dają Łęczna (25.8), Warszawa (13.9), Konin i Ostrów (12.8). Znaczna stosunkowo liczba małżeństw w zachodniéj części kraju i w centrach przemysłowych obniża prawdopodobnie odsetki nieprawych urodzeń, które zarówno większą przezornością w zawieraniu małżeństw wśród ludności wiejskiéj, niż przemysłowéj, jak i obyczajem nie potępiającym surowo związków swobodnych tłómaczyć można.

Dr. Zofia Daszyńska.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Gramatyka języka greckiego szkolna“. Opracował Ludwik Ćwikliński. Wydanie drugie, skrócone i uproszczone. Wiedeń i Praga. Lwów. 1892. Str. 203.

Mamy przed sobą podręcznik szkolny piérwszorzędnéj doniosłości ze względu na rolę, jaką nauka języka greckiego odgrywa w gimnazyach klasycznych. Znaczenie téj książki zwiększa się jeszcze przez to, że kiedy np. w Niemczech takie podręczniki są zjawiskiem również prawie częstém, jak i większéj wartości utwory powieściowe, dla nas obecnie gramatyka prof. Ćwiklińskiego jest w języku ojczystym bodaj jedynym przewodnikiem, odpowiadającym wymaganiom nowoczesnym. Jak się dowiadujemy z przedmowy, autor i w niniéjszém wydaniu drugiém obrał sobie za podstawę niemiecki podręcznik Jerzego Curtiusa w opracowaniu prof. W. Hartla. Pod względem jednakże wyboru materyału i sposobu przedstawienia rzeczy, książka uległa tylu przeróbkom i skróceniom, iż może być uważana za dziełko prawie nowe i oryginalne, a na karcie tytułowéj figuruje obecnie tylko nazwisko prof. Ćwiklińskiego. Przy nowém opracowaniu autor starał się uwzględnić życzenia galicyjskich kół zawodowych i korzystał z pomocy i uwag, poczynionych mu przez wybitniejszych pedagogów specyalistów; wykład składni został, o ile się to dało, przystosowany do składni łacińskiéj d-ra Samolewicza i prof. Sołtysika. W téj tedy nowéj postaci gramatyka prof. Ćwiklińskiego składa się z trzech głównych części i obejmuje Wstęp (O języku greckim i jego narzeczach), naukę o formach, składnię, wykład dyalektu Homerowego (z uwzględnieniem Herodota), dodatek metryczny (o heksametrze Homerowym i trymetrze jambicznym), wreszcie abecadłowy spis rzeczy i takiż wykaz form czasownikowych attyckich. Imię autora, znanego dobrze światu naukowemu, a zarazem oględność, jaką okazał przed oddaniem swojéj pracy do druku, stanowią dostateczną rękojmię ścisłości i dokładno-

ści podręcznika. Zresztą, co do saméj np. morfologii, to materyał naukowy, odpowiedni do gramatyki szkolnéj, jest dawno ustalony i stanowi poniekąd dobytek międzynarodowy. Mniéj więcéj to samo odnosi się do części trzeciéj; poprzedzający ją wstęp historyczny wydaje nam się bardzo dobrym i właściwym, jakkolwiek w samym wykładzie dyalektu Homera, o ile mogliśmy zauważyć, żadna forma gramatyczna nie jest zaznaczona wyraźnie jako eolizm. Najtrudniejszą do oceny jest zapewne część druga czyli składnia: należało tu nietylko zgrupować i wyłożyć jaknajzrozumialéj rozmaite subtelności języka greckiego, ale zarazem uwydatnić odpowiednio stosunek, zachodzący pomiędzy zwrotami mowy polskiéj i greckiéj—rzecz, wymagająca wielu zachodów i uprzednich prac przygotowawczych. Wogóle mówiąc, składnia prof. Ćwiklińskiego jest ścisła i dokładna; tylko pod względem jasności i przystępności wydaje nam się mniéj zadawalniającą. Pochodzi to zapewne przedewszystkiém z pewnéj oschłości, ucinkowości wykładu; autor, właściwie mówiąc, nic nie tłómaczy i nie objaśnia, lecz tylko regestruje dokładnie zjawiska językowe, posługując się stylem urywanym, doprowadzonym do ostatecznych prawie granic zwięzłości. Jest to dość charakterystycznem, że, o ile mogliśmy zauważyć, autor w całéj nauce składni nie używa ani razu spójnika „ponieważ“; nie spotykamy też u niego takich wyrażeń jak: „tém się tłómaczy“, „z tego powodu“, „stąd wynika“. Wiemy, że w gramatyce nie wszystko da się objaśnić sposobem elementarnym, nie lubimy też gadatliwości i rozwlekłości; czy jednak pomiędzy temi ostatecznościami niema jakiego środka? Mówiąc otwarcie, wolelibyśmy, gdyby prof. Ćwikliński usunął był niektóre drobniejsze poddziały, a natomiast wyłożył rzecz *copiosius*. Zarówno w składni jak i pozostałych częściach gramatyki, autor, z nielicznemi wyjątkami, posługuje się rozpowszechnioną obecnie terminologią łacińską i mówi np.: *nominatiwy*, *genitiwy*, w zakończeniu *neutrów*, *nom. sing. masculinów* i *femininów*, w *infinitiwie*, *augment* i t. p. Jakkolwiek nie gardzimy témi nazwami i uważamy je niekiedy za konieczne, to jednak zdaje nam się, że autor poszedł w tym kierunku stanowczo za daleko; może się tym sposobem zaoszczędziło ze dwie stronice druku, ale ucierpiał na tém język polski, mający także swoje mianownictwo i swoje prawa, nauka zaś języka greckiego nie stała się przez to łatwiejszą. Ażeby gramatykę uczynić ścisłą, nie potrzeba jéj pisać znakami algebraicznemi. Piękny jest wiersz, podany jako przykład w piérwszym rozdziale składni (§ 134): ἁπλοῦς ὁ μῦθος τῆς ἀληθειας ἔφυ (mowa prawdy jest prostą); tymczasem wykład naszego autora wydaje nam się nie ἁπλοῦς, lecz ἰσχνός. — Nie mogąc rozbiérać całéj gramatyki, za-

znaczę jeszcze tylko niektóre szczegóły. Nazwy *accusativus* luźny (§ 148; u nieboszczyka Curtiusa *freier A.*) i *infinitivus* luźny (§ 220a; Curtius mówił: der I. Steht *in loserer Weise*) nie wydają mi się trafnemi. Objaśnienie w § 202 (uw. 2), że „ὅτι stoi niekiedy narówni z naszym cudzysłowem“, uważam za niewłaściwe; wszak i u nas daje się czasami słyszéć podobnie użyty spójnik że, czytałem zaś przed kilku laty w którémś z pism specyalnych, że i Węgrzy używają niekiedy w takich razach swego spójnika *hogy*; potrzebne więc objaśnienie psychologiczno-historyczne. Dlaczego jedne zdania zamiarowe mają się nazywać „określającemi“ (§ 204), a drugie „dopełniającemi“ (§ 205)? Z samych przykładów, zawartych w § 215, jest widoczne, że spójnik ἕως nie zawsze można tłómaczyć przez „jak długo (*solange*), póki“, po zadaniu zaś zaprzeczoném πρίν nie odpowiada polskiemu „nim, zanim“ (prw. przykład w § 219. 2. Uw. 2). Nie zupełnie jasném i naturalném wydaje mi się zdanie: głos gruby przemaga średni i cienki“ (§ 9); przekład zaś zdania μὴ ἀγροικότερον ᾖ τὸ ἀληθὲς εἰπεῖν (§ 205. Uw. 2) jest cokolwiek niedokładny. Brak nam miejsca na wszystkie nasuwające się uwagi. Wspomnimy więc tylko jeszcze, że w znaczeniu niemieckiego *entbehrlich* autor zamiast bardziéj upowszechnionego „zbyteczny“ używa przymiotnika „zbędny“ (§ 228 i w Przedmowie). Książka, wydrukowana w Wiedniu u Holzhausena, wydana jest nader starannie i odbita na dobrym papierze; sądzimy wszakże, że rozmaitość czcionek możnaby było czasami lepiéj spożytkować, i w przeglądzie np. przyimków §§ 169—173) niejeden uczeń będzie sobie musiał dopiéro podkreślać pojedyńcze wyrazki, ażeby je łatwiéj odszukać. — Smutną byłoby rzeczą, jeśliby choć cząstka młodego pokolenia naszych czasów nie zapoznała się bezpośrednio bodaj z częścią skarbów piśmiennictwa dawnych Hellenów. Cel ten nie da się osięgnąć bez pomocy gramatyki, która, choć nie zaspokoi głodu fizycznego wynalezioném przez siebie lekarstwem „Gniéw opiewaj, bogini“ (Anthol. Palat. XI, 400 ed. Dübner), to jednak umożliwia nam ciągnienie niemałych pożytków i zażywanie nie mniejszych rozkoszy umysłowych. W téj téż myśli witamy książkę prof. Ćwiklińskiego, życząc jéj w krótkim czasie trzeciego wydania w formie jeszcze przystępniejszéj, w szacie jeszcze bardziéj swojskiéj.

M. Rowiński.

Fréd. Montargis. „L' Esthétique de Schiller“. Paris. Alcon 1892. Str. 226.

Studyum o poglądach estetycznych Schillera wydane przez p. Montargis, obejmujące zarazem i etykę wielkiego poety, zwraca na

siebie uwagę ze względów dwojakich: 1-o zajęcie się Schillerem jako przedstawicielem estetyki idealistycznéj, rozwijającym daléj myśl Kanta, zostaje w ścisłym związku z zainteresowaniem, jakie obudza dziś filozofia tego ostatniego we Francyi i Anglii, nie mówiąc już o ojczyźnie filozofa królewieckiego; 2-o praca ta oryginalnie napisana przez Francuza, a oparta na poważnych i sumiennych studyach źródłowych, jest wyrazem uznania wszechludzkiéj doniosłości poglądów i utworów niemieckiego wieszcza. Znaczenie to Schillera oceniła już przed stu laty konwencya narodowa, nadając mu prawo obywatelstwa francuskiego, co w jéj oczach znaczyło tyleż co obywatelstwo świata.

Poglądy filozoficzne a specyalnie estetyczne Schillera były już przedmiotem badań nie jednego uczonego. Pisali o nich oprócz Kuno-Fischera [1]) K. Grün, Hemsen, Drobisch i inni. Fréd. Montargis rozróżnia dwie główne epoki w rozwoju estetyki Schillera: okres przygotowawczy i okres ostatecznego wyrobienia. Skreśliwszy pobieżnie wytyczne punkta poglądów poprzedników Schillera na polu estetyki: Baumgartena, Mendelssohna, Winkelmanna, Lessinga, przechodzi autor do okresu przygotowawczego, przedstawiając go na tle biograficznem. Poetycznym wyrazem poglądów Schillera w téj epoce są następujące wiersze: „Oda do radości“—radości pojętéj w stylu XVIII wieku, jako syntezy pierwiastku duchowego i zmysłowego. Ale życie rozrywa tę harmonię ideału z rzeczywistością; stąd dwa wiersze: „Walka“—przedstawienie namiętności egoistycznéj, wyśmiewającéj się z wszelkich prawideł i ograniczeń, oraz „Rezygnacya“—zrzeczenie się szczęścia w rzeczywistości i zadowolenie samą nadzieją urzeczywistnienia pragnień. „Bogowie Grecyi“ przedstawiają epokę przeszłości, kiedy ten dualizm jeszcze nie był nastąpił, kiedy jeszcze „czarodziejska osłona poezyi splatała się w jedno z uroczą rzeczywistością“. Świat ten zginął bezpowrotnie, ustępując miejsce innemu, który, „nieczuły nawet na chwałę swego mistrza, podobny do martwych uderzeń wahadła zegarowego, posłuszny zostaje prawu ciążenia“. Ale ten świat poezyi był szkołą ludzkości—myśl tę podnoszą „Artyści“, wiersz stojący już na granicy dwóch okresów, gdyż nie tylko pięknu rolę w przeszłości zaznacza, ale przedstawia je jako cel ostateczny ludzkości. Jeśli piérwsza część tego cudownego wiersza wykazuje wpływ Kanta, mianowicie jego „Krytyki sądu“, uważającéj sztukę jako termin pośredni pomiędzy zmysłowością a umysłowém życiem, pomiędzy prawdą a cnotą, to ostatnie strofy, dodane w skutek

---

[1]) Schiller als Philosoph. 2-e Aufl. 1858.

uwag Wielanda, zawierają już w zawiązku ostateczną myśl Schillera, według któréj piękno jest najwyższém dobrem i najwyższym upragnionym celem, urzeczywistniającym syntezę cnoty i szczęścia. Ludzkość kończy tak jak zaczęła:

„Dzięki wam, poeci, narodziły się piérwsze wiosenne kwiaty zaczynającéj twórczość swoją przyrody, przy waszéj pomocy splata ona wieńce z owoców, kończąc dzieło swoje“. Z pism prozaicznych tego okresu poglądy estetyczne Schillera odzwierciedlają: „Listy o Karlosie“, początek „Jasnowidzącego“, oraz „Listy filozoficzne Juliusza i Rafaela“; piérwszy z korespondentów w tych listach przedstawia opinię Schillera, drugi—jego przyjaciela Körnera.

Przejście do drugiego okresu — okresu ostatecznego wyrobienia poglądów estetycznych poety zaznaczają trzy ważne wpływy: 1-o studya nad Kantem; 2-o znajomość i zbliżenie się z Wilhelmem Humboldtem; 3-o przyjaźń z Göthem. Wpływ Göthego na Schillera przedstawiają zwykle jako oddziaływanie dobrego geniusza, odrywającego poetę od niewłaściwych mu spekulacyi filozoficznych, a zachęcającego do twórczości. Montargis już w rozdziale wstępnym stara się wykazać, i zdaniem naszém zupełnie słusznie, że prace filozoficzne nie stały na przeszkodzie twórczości poetyckiéj Schillera, lecz przeciwnie, zasilały ją. Z drugiéj strony twierdzi on, że znaczenie Göthego, jako estetyka myśliciela i wpływ jego na Schillera: w tym kierunku nie był oceniony należycie. W wykładzie tego drugiego okresu porzuca nasz autor drogę biograficzną, wyróżnia natomiast trojaki kierunek w poglądach estetycznych poety: estetykę piękna, estetykę życia i estetykę sztuki.

Była chwila, kiedy Schiller marzył o stworzeniu obszernéj pracy estetycznéj, a zarazem o znalezieniu przedmiotowéj podstawy piękna. Oddawał się on gorliwie studyom nad dziełami Burke'a, Sulzera, Webbe'a, Mengsa, Winkelmanna, Home'a, Batteaux'a, Wooda i Mendelssohna, a myśli przewodnie téj pracy, któréj tytuł miał być „Kallias“, znajdują się w listach Schillera do Körnera. Według tych listów stara się p. Montargis odtworzyć owe niedoszłe dzieło; nie pójdziemy w ślad za nim w téj jego pracy, zauważymy tylko, że punkt wyjścia tu jest już Kantowski.

Rozprawa „o wzniosłem“ (temat poruszany przez Burke'a i Mendelssohna) stanowi przejście do ostatecznéj teoryi piękna, wyrażonéj w „Listach o wychowaniu estetycznem“ [1]). Za punkt wyjścia

---

[1]) Ta najważniejsza z filozoficznych prac Schillera należy do nielicznych, jakie posiadamy w polskim przekładzie. (Warsz. 1882).

służy tu również myśl Kanta, jakkolwiek swobodnie tłómaczona. Piękno staje tu jako pośrednik pomiędzy zmysłowością a rozumem. Przedmiotem zmysłowości jest życie; przedmiotem rozumu — forma; połączenie jednego i drugiego czyli forma żyjąca stanowi piękno, a psychologiczną jego podstawą—osobny instykt zabawy (*Spieltrieb*). Myśl trafna i głęboka — wyprowadzenia z tego instyktu całéj sztuki; w każdéj bowiem zabawie tkwi już zawiązek ideału, jest ona piérwszym krokiem ku wzniesieniu się nad rzeczywistość. A na tém właśnie polega psychologicznie i moralnie pokrzepiający wpływ zabaw, zastępujących sztukę w wieku lub poziomie intelektualnym, dla których ta ostatnia jest nieodstępną. Dziecko przemawiające do zwoju gałganów, który ma wyobrażać lalkę, bawi w królestwie ideału, tak samo jak tragik wywijający drewnianym mieczem. Wróćmy jednak do Schillera w wykładzie Montargisa. Stan umysłu przed otrzymaniem wrażenia lub pobudzeniem woli jest bezgraniczną zdolnością do przyjęcia określonego charakteru. Skoro tylko nastąpi owo określenie się, możność przechodzi w rzeczywistość, następuje ograniczenie. kreśląc figurę, zakreślamy część ograniczoną nieskończonéj przestrzeni. Gdy człowiek chce, myśli lub czuje—jest istotą ograniczoną-człowiek w stanie estetycznym, będąc nieskończenie zdolnym do przyjęcia charakteru określonego, a jednak nie będąc określonym, łączy w sobie obadwa stany. Piękno jest jakby drugim naszym stwórcą, tym, który z istoty fizycznéj podnosi nas do godności człowieka.

Ale piękno to nie istnieje w rzeczywistości! Czy traci na tém? Czy Venus była by piękniejszą, gdyby zamiast marmuru złożona była z ciała i kości? Czy nie polega raczéj na tém wyższość piękności: byt nie dodaje nic do wartości rzeczy, stanowi raczéj jej niedoskonałość, gdyż wszelki byt jest ograniczeniem. Gdyby jakaś potęga zewnętrzna urzeczywistniła nasz ideał gdziekolwiek (tak jak pojmował Platon swoje idee), straciłby on główną swoją zaletę—przestałby być wynikiem swobodnéj twórczości umysłu. „Królestwo cieniów“ (Ideał i życie) przedstawiające te wyniki w szacie poetyckiéj, zamyka seryę poezyi filozoficznych poety.

Estetyka życia u Schillera wiąże się jak najściśléj z etycznemi jego poglądami. Kuno Fischer rozróżnia trzy okresy w rozwoju etyki tego poety; w piérwszym estetyka jest podporządkowana moralności; w drugim stoi z nią narówni, w trzecim wyżéj od moralności. Drobisch przeciwnie twierdzi, że doktryna etyczna Schillera była jednolitą i utożsamia ją z nauką Kanta. Montargis zajmuje stanowisko pośrednie, uważając za wahania przypadkowe, wynikające z większego lub mniejszego zaakcentowania téj lub owéj strony, to co K. Fischer

przedstawia jako rozwój chronologiczny. Niepodobna też przyznać słuszności Drobischowi co do tożsamości nauki Schillera z Kantowską. Kant przyjmuje milcząco że człowiek sam przez się jest zły; poetę oburza to przypuszczenie. Kant stara się usunąć wszelki czynnik uczuciowy z etyki, którą opiéra na samym rozkaźniku rozumu praktycznego. Kochać dobro jest w jego oczach prawie krokiem ku złemu. Jego ideałem — Neron, który urodzony będąc z najgorszemi instynktami, stałby się Markiem Aureliuszem dzięki energii swojéj wolnéj woli. Schiller oprócz téj drogi do cnoty widzi inną jeszcze; niezależnie od wzmocnienia siły woli, możemy popiérać moralność, osłabiając pokusę do złego; i ta rola kształcenia zmysłowości przypada sztuce („o pożyteczności obyczajów estetycznych"). Jedynym środkiem uczynienia człowieka moralnym jest uczynienie go estetycznym. Zamiast zwycięstwa nad sercem pragnie Schiller z niém przymierza. Zgodnie z Fichtem a przeciwko Kantowi usprawiedliwia on zasady rewolucyi francuskiéj. Prawem i obowiązkiem człowieka jest zmienić porządek społeczny, naturalny (t. j. oparty na sile i potrzebie) według wymagań rozumu; a przejście ze stanu naturalnego wystarczającego człowiekowi fizycznemu, do stanu społeczeństwa na rozumie opartego, którego wymaga moralna nasza natura, odbywa się przez estetyczny charakter człowieka. Podnosząc myśl rzuconą przez Kanta, Schiller (w *Ideen zur allgem. Gesch.*) przyznaje, że podział pracy był korzystny dla postępu ludzkości, twierdząc zarazem, że fatalny był dla jednostki. Cywilizacya powinna naprawić złe, które uczyniła, a ostateczném zadaniem państwa — uczynić siebie zbyteczném. Toż samo i dla jednostki: przymus prawa moralnego powinien ustąpić miéjsce dobrowolnemu popędowi ku cnocie. „Człowiek powinien się nauczyć szlachetnie pragnąć (*edel zu begehren*), ażeby nie potrzebował wzniośle chciéć (*erhaben zu wollen*)". Uczucie ze środka staje się celem, a piękność serca synonimem cnoty.

Nie będziemy się dłużéj zatrzymywali nad estetyką sztuki, któréj autor francuski poświęca długi rozdział. Wszelka sztuka, powiada Schiller w przedmowie do „Narzeczonéj z Messyny", poświęcona jest radości, a niema zadania godniejszego od tego: uczynić ludzi szczęśliwymi. Ale oprócz celu należy wytknąć i drogę; pod tym względem poeta zostaje wiernym sobie, walcząc z tymi, którzy odpowiadają, że drogą tą jest naśladowanie rzeczywistości. Zbijaniu poglądów naturalistycznych poświęcona jest większa część przedmowy do „Narzeczonéj z Messyny". Naturalizm w teoryi jest odtworzeniem rzeczywistości, ale ponieważ piękne i brzydkie pomieszane są w naturze, a ostatni pierwiastek przeważa, więc faktycznie realizm staje się

rehabilitacyą brzydkiego. W „Rozmyślaniach o użyciu pospolitego i poziomego w sztuce“ Schiller określa pospolite jako to, co nie przemawia do umysłu, ograniczając się tylko do zmysłów. Jako przykład przytacza on historyka, który opowiada nic nieznaczące postępki swego bohatera z równą skrupulatnością jak i wielkie czyny jego; malarzy, którzy na wzór szkoły flamandzkiéj lubują się w najmniéj godnych uwagi szczegółach potocznego życia, portrecistę, który przypadkowe rysy odmalowuje na równi z istotnemi. Cóż by był powiedział, gdyby poznał naturalistów nowoczesnych, którzy nie zadawalniając się równouprawnieniem przypadkowego z istotnem, brzydkiego z pięknem, dają piérwsze miejsce lub nawet wyłączne panowanie tym czynnikom podrzędnym?

„Dwie rzeczy stanowią poetę, powiada Schiller w listach do Göthego: wzniesienie się ponad rzeczywistość i pozostanie w granicach świata zmysłowego. Gdzie połączone są obadwa te pierwiastki, sztuka jest estetyczną“. Sztuka buduje tylko z materyałów wrażeń, to jest świata zmysłowego i w tém znaczeniu każda czerpie z rzeczywistości, każda jest realistyczną; ale forma, w którą się wylewa ten materyał, pochodzi z „Królestwa Ideałów“. Poeta daje ją od siebie, a bez niéj dzieło jest chaosem gruzów, jak materyał na gmach bezładnie rzucony wprzód nim architekt poda plan budowy.

Francuski historyk Schillera potrafił zręcznie przezwyciężyć trudności abstrakcyjnego stylu niemieckiego poety-filozofa; prowadzi on opowiadanie z właściwą swemu narodowi lekkością i pięknością stylu; a dzieło to odzwierciadlające część przynajmniéj tak ważnéj w rozwoju ludzkości epoki, na tle któréj przedstawia się szlachetna osobistość poety wolności, zasługuje jeśli nie na spolszczenie, to przynajmniéj na uwagę tych czytelników, którzy je mogą czytać w oryginale, zwłaszcza że nie posiadamy w naszéj literaturze żadnéj książki, z któréj by można było poznać gruntownie osobistość Schillera. Autor daje własne przekłady ważniéjszych poezyj filozoficznych tego poety. *Wł. M. Kozłowski.*



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Józef Łabuński.* **Bolko Szczodry.** Tragedya. Warszawa, 1893, str. 175. — Znamienną jest rzeczą, że w ostatnich 25-ciu latach do tworzenia dramatów historycznych, czy tragedyi, brali się w małéj

tylko cząstce prawdziwi poeci, t. j. ludzie obdarzeni wielką, potężną wyobraźnią i silném, głębokiém, wywnętrzającém się uczuciem; zazwyczaj zaś trud ten podejmowały umysły przeważnie refleksyjne, z temperamentem spokojnym, które do pracy pobudzało względne ubóstwo literatury naszéj pod względem owego rodzaju poetyckiego. Wynikiem tego być musiało, że utwory dramatyczne, kreślone przez takie umysły, mogły się odznaczać zaletami wierności dziejowéj, konsekwencyi w przeprowadzeniu charakterów przez akcyę, zwartą budową, poprawnością języka i stylu, lecz nie wywierały żywszego na czytelników wrażenia (widzów bowiem pospolicie nie miały, gdyż nie były przedstawiane) i nie zapisywały się trwale w pamięci spółczesnych. I p. Łabuński do takich należy twórców dramatycznych. Od lat już wielu pracował w cichości, nadając pomysłom swoim formę tak pożądaną, a tak trudną do osiągnięcia. Niezbyt dawno ogłosił drukiem dwa swoje dramaty, z których jeden treścią sięgał dziejów cesarstwa rzymskiego („Agrypina"), drugi stosunków krajowych („Ziemowit"). W obu znać było staranne wystudyowanie tła historycznego, przejęcie się duchem epok, w których wypadki się rozgrywały, umiejętnie przeprowadzone i konsekwentne w sobie charaktery; brakło im atoli skupienia dramatycznego, tak, że to były raczéj szeregi scen, niż jednolicie rozwijający się dramat, brakło silniejszego tchnienia poetyckiego i umiejętności w przedstawieniu tragiczności, pomimo bardzo strasznych i okropnych motywów, brakło wreszcie prawdziwie dykcyi, a nieraz nawet poprawności języka pod względem morfologii i składni. Najnowsza „tragedya", wydana z wielkiém staraniem pod względem zewnętrznym, na bardzo ładnym papiérze i czystym nowym drukiem, ma za przedmiot losy Bolesława Szczodrego, nieraz już przez beletrystów naszych zużytkowane dramatycznie i powieściowo. Urok bohatérstwa, wyższych domniemalnie wzlotów ducha, miłości dla ludu, hojności dla wszystkich, urok wiejący z kart dziejowych, a więcéj jeszcze z legend, pociągał ku sobie wyobraźnię; a mrok tajemniczy, otaczający pomimo tylokrotnych prób rozjaśnienia go, główną katastrofę w życiu Bolesława, dozwalał jéj lotu swobodnego, nie krępując ściśle określonemi danemi historyi. Zdaje mi się, że ze wszystkich dotychczasowych obrazów Bolka Szczodrego, jakie nakreślili nasi beletryści, najlepszym estetycznie jest ten, który podał p. Adam Bełcikowski. Są tu wciągnięte w grę prawie wszystkie czynniki, jakie mogły rozjaśnić i uprawdopodobnić rozwój wypadków, sucho zanotowanych przez kronikarzy i roczniki; są przeciwstawione sobie z godnością dwie walczące potęgi, jest wskazany, bodaj po raz pierwszy w tym związku wynik praktyczny klątwy, rzuconéj na kró-

la; pozbawienie ludności pociech duchownych, do których zaczął już przywykać. Czy p. Łabuński, ten sam podejmując wątek, zdołał w piękniejszy estetycznie, prawdziwszy historycznie rozsnuć go obraz? Niestety, nie! Jego „Bolko Szczodry“ jest luźniejszym jeszcze, niż poprzednie, utworem. Autor powziął nieszczęśliwą myśl przeprowadzenia bohatéra przez cały ciąg 21-letniego panowania, a ponieważ prócz historycznych szczegółów wprowadził jeszcze jego miłość do Krystyny i obojętny względem żony Wisławy stosunek; ponieważ i domniemane powstanie chłopskie uwzględnił, nagromadziła się taka ilość zdarzeń i sytuacyi, że musiał je zbywać krótko, wciąż zmieniając miejsce, wciąż przeskakując i plącząc rozmaite lata. Ma to niby pozór Szekspirowskiéj swobody, ale w gruncie jest kalejdoskopowém miganiem się niknących obrazków, które nie posiadają ani dosyć żywości, ani dosyć siły, ażeby mogły utkwić w wyobraźni i zająć ją na dłużéj. W charakterze Bolesława uwydatnił dwie cechy: żądzę bezpodzielnéj władzy i wynikający z niéj wstręt do duchowieństwa, roszczącego sobie pretensye polityczne, oraz upojenie zmysłowe. W biskupie Stanisławie chciał przedstawić teokratycznego fanatyka bez iskry nawet uczucia czysto ludzkiego, który raz jeden tylko poczuwa pewne wątpliwości, gdy ma wysłać pismo do króla czeskiego. Wratysława, wzywając go do objęcia tronu polskiego, a który w innych scenach i stosunkach budzi obrzydzenie. Ponieważ w królu nie wystawił autor w sposób dobitny większych, głębszych idei, a w biskupie ujemne tylko dążności odmalował, starcie się między niemi nie wywołuje w czytelniku nietylko żywszego spółczucia, ale nawet zainteresowania, a upadek Bolesława bynajmniéj tragicznego nie budzi wzruszenia. Z epizodycznych osób trochę życia mają postaci ludowe, mianowicie Nagod, lubo przypomnienie z króla Leara jest w nim widoczne, zajmuje swemi cierpieniami i pragnieniem zemsty na ciemięzcach. O układzie, oześrodkowaniu efektów nie może tu być mowy; wszystko bowiem na strzępy się rozwiewa. Drobny szczegół poświadczy, jak autor dziwnie się zapomina w szeregowaniu faktów. Na początku dramatu widzimy syna Bolesławowego, Mieszka, jak ze strachem od ojca odskakuje; jest on wtedy chłopczykiem, trzymającym się matki; po latach kilkunastu, kiedy Bolesław miał tron i kraj opuścić, nie przestał jeszcze być chłopczykiem, tylko że wstręt przemienił się w nim w przywiązanie gotowe do poświęceń. Wiersz biały, którym pisany jest dramat, nie może być właściwie nazwany wierszem, gdyż nietylko brak mu rytmiczności, ale częstokroć nawet średniówki. Język prócz niepoprawnych form gramatycznych, odznacza się kilku nadmiernie często używanemi archaizmami (cer-

kiew = kościół; żałoba = skarga), które nie zdają nam się szczęśliwie zastosowanemi.

= *Teodor Jeske-Choiński*, **W pętach**, powieść współczesna. Warszawa, T. Paprocki, 1893, str. 394. — Autor zaczyna się trochę powtarzać, a to dla powieściopisarza znak niezbyt dobry. Opowiadanie „W pętach“ jest w gruncie rzeczy na podobnym osnute temacie, co powieść „Po złote runo“; tylko że co w jednéj było potrącone ubocznie, jakkolwiek stanowiło podstawę rozwoju charakteru, — to w drugiéj wysunięto na plan główny, owszem uczyniono wyłącznym niemal przedmiotem ze szkodą właściwéj osnowy powieściowéj. Wpływy pozytywistyczne, a raczéj materyalistyczne na umysł i działalność młodzieży, wpływy szkodliwe, ba, zgubne, oto co p. Jeske-Choiński za Bourget'em po raz już drugi czytelnikom naszym w formie powieściowéj podaje. Nie przeczymy, iż rzecz sama zasługiwała ze wszechmiar na wszechstronne i głębokie zastanowienie. Gdyby autor brał istotnie z życia szczegóły do swego obrazu; gdyby nie powierzchownie tylko, lecz szczerze i na seryo zajął się zgłębieniem zjawisk wywołanych owemi wpływami: bylibyśmy mu niezmiernie wdzięczni za odtworzenie ważnéj chwili w rozwoju umysłowości naszéj. To jednak, co dał, nie odpowiada skromnym nawet wymaganiom: więcéj bowiem tworzył z wyobraźni, niż z obserwacyi, więcéj ufał myśli naprzód powziętéj, aniżeli faktom rzeczywistym, które mógł widzieć nie daleko szukając; więcéj dążył do rzucenia potępień na materyalizm niby, a w gruncie rzeczy na naukę wogóle, bo nauka bez analizy istnieć nie może, bohatérowi zaś p. Choińskiego najgorsze właśnie przysługi oddaje duch analityczny,—aniżeli do artystycznego odmalowania różnorodnych objawów, jakie wywoływała i wywołuje taż sama doktryna. Są wprawdzie w powieści obecnéj cztery osobistości różniące się od siebie znacznie, a wychodzące niby z tych samych zasad teoretycznych; ale trzy z nich podobnie, jak w powieści „Po złote runo“ kreślone są sylwetkowo, pobieżnie, a jedna tylko wybija się z tła, panuje nad niém. Trudno nawet było zrobić inaczéj wobec obranéj przez autora formy opowiadania w pierwszéj osobie. Topoliński—to umysł lotny, mający orle zapędy, biorący się gorąco w młodości za bary z najtrudniejszemi zagadnieniami nauki, umysł, który, jak zapewnia autor, przeczytał wiele, wsłuchał się w wykłady najznakomitszych profesorów w uniwersytetach niemieckich, życie zaś poznał w licznych podróżach po stolicach świata. Zdawałoby się, że taki porządnie wykształcony a bystry i w szkole życia należycie otarty człowiek, będzie się umiał dobrze zachować za przybyciem do

domu, gdzie go oczekuje matka, zajmująca się dotychczas sama znaczném gospodarstwem. Tymczasem on, jak gimnazista lub student pierwszego kursu, dla którego nowością są posłyszane dopiéro co myśli, paradnje swojemi aforyzmami przyrodniczemi, czaszką trupią, obojętnością na obrzędy religijne i t. d. Za dużo kazał autor umiéć swemu bohatérowi, za dużo go obwozi po świecie, ażeby można było w taką naiwność jego uwierzyć. Nie; musimy sobie powiedziéć, że p. Topoliński przechwala się tylko poznaniem różnych mądrości spółczesnych, ale właściwie liznął czegoś tu i owdzie, a wobec żartkiego temperamentu swego nadużył już rozkoszy zmysłowych, które rozum jego stępiły, uczyniły nie zdolnym do poważnego myślenia, pozostawiając mu tylko echa tych lat burszowskiego życia, kiedy się z kolegami gwarzyło żwawo o wszystkiém i o niczém. Jak na wsi, tak i w Warszawie p. Topoliński występuje wśród towarzystwa „inteligentnego“ z miną starego, ździwionego dziecka. Aż nas zdumienie przejmuje, gdy widzimy tego bywalca, tego mędrca, co pochłonął tyle książek i tyle wykładów, jak się dowiaduje elementów życia umysłowego od literatów warszawskich... I zakochanie się jego i małżeństwo mają tę samą cechę dziwnéj, nienaturalnéj naiwności. Panna Niezabudowska bierze go na zmysłową piękność, na łapane przez się motyle i na ich nazwy łacińskie; dopiéro po ślubie przekonywa się doświadczony bohatér, że cała wiedza panny Niezabudowskiéj to licha klejonka wiadomostek dziennikarskich i książeczek popularyzujących wiedzę przyrodniczą... Mimo to p. Topoliński ciągle narzeka, że mu wiedza zatruła życie; zapewne jestto jeden ze świéżo pochwyconych frazesów, którémi zamaskować chce swą słabiznę umysłową i nieudolność w jakiejkolwiek wytrwałéj pracy. Jedném słowem, bohatér główny nie udał się autorowi; mógłby on być uważanym za prawdziwego, gdyby się go inaczéj oświetliło; ale w takiém oświetleniu, w jakiém został przedstawiony, jest fałszywym psychologicznie. Inni przedstawiciele niby wpływów materyalistycznych są w swych sylwetkowych zarysach trafni, ale za to nie przedstawiają nic nowego; taki cynik jak Borowski, żeniący się z świéżą wychrzcianką i drwiący z niéj, jest istotnie figurą żywą, lecz dalekoby naturalniéj go pojąć było można bez uniwersyteckiego wykształcenia; Piwoński, uczony przyrodnik, wyłącznie oddany nauce i zamykający się w specyalności, również żywą jest figurą i dobrze narysowaną; a panna Niezabudowska jako zwykła marnotrawnica, żądna strojów, zabaw i miłostek, czy się będzie stroiła w nauki przyrodnicze, czy w mistycyzm, w niczém to istoty jéj nie zmieni. Wogóle mówiąc, uboczne figury, zlekka tylko dotknięte, jak matka i wuj Topolnickiego, jak rezydenci, są

o wiele trafniéj oddane, aniżeli sam bohatér, w którym musimy ciągle widziéć niezgodności postępków i zachowania z określeniami, które je poprzedziły. Gdzie przeważa artysta, opowiadanie jest dobre, żywe, mieści wiele trafnie zauważonych szczegółów; gdzie zaś występuje filozof, trzeba wciąż stawiać znaki zapytania i to nie z tego lub owego stanowiska stronniczego, lecz z ogólnego krytycznego, które się domaga ciągłości i konsekwencyi.

— *Adolf Dygasiński*, **Garstka**. Zbiór nowel, obrazków i studyów (Warszawa, T. Paprocki, 1893, str. 347). — Bardzo rozmaitéj wartości artystycznéj są zawarte w téj książce rzeczy: jedne nie sięgają po za charakter anegdotyczny, mniéj lub więcéj zręcznie przedstawiony („Klawiszewski i Rózia“, „Rycerskość chłopska“, „Jaki pan, taki sługa“), inne mają zaletę żywego opowiadania o kategoryi ludzi, znanych już dobrze w beletrystyce i przez samego autora nieraz już malowanych („*Modus in rebus*“, „Głód i miłość“, „Złodzieje“), inne znowu noszą cechę głębszych rozmyślań i pod względem psychologicznym zwracają na siebie uwagę („W niewoli u dzikich“, „Aktorka“, „Ptaki“); jest wreszcie jedna rozprawka pedagogiczno-społeczna p. n. „Narzeczeni, małżonkowie, rodzice i dziecię“. P. Dygasiński przyzwyczaił już nas do tego, że w każdym prawie utworze swoim, chociażby drobnym, stara się zjawiska społeczne objaśniać w sposób naukowy, do czego ma zarówno przyrodnicze, jak filozoficzne przygotowanie. Oczywiście, nie zawsze takie objaśnienie trafia do przekonania, nie zawsze może być uważane za uzasadnione, ale w każdym razie pobudza czytelnika do myślenia, więc spełnia jeden z najważniejszych obowiązków, jakie dzieło pisarza spełnić powinno. Artystycznie najlepszemi, najoryginalniejszemi, najwięcéj świeżości posiadającemi wydają mi się „Ptaki“, gdzie w sposób obrazowy pod przejrzystą obsłonką alegoryi odmalowane zostały rozmaite grupy ludzi od roboczych wieśniaków poczynając, aż do próżniaczych panków i doktrynerskich filozofów i pedagogów. Pozwalamy sobie podać tu w skróceniu obrazek tych ostatnich. „Ubrany w togę, zgarbiony w kształcie litery S, istny niemiecki *Geheimrath*, odbywszy studya w zagranicznych uniwersytetach, przyleciał do nas bocian. Ach, jaki uczony, jaki uczony ptak, znakomity doktór filozofii. Ofiarowywano mu katedrę we Włoszech, w Hiszpanii, w Portugalii; ale on, nasz rodak, wrócił do rodzinnego kraju—tak skrzeczała sroka, siedząc na płocie ogrodu... Nasz filozof jest czysto eksperymentalny, do eksperymentów nic się nie nadaje tak dobrze, jak żaby... Jestto niezmiernie poważny badacz, obznajmiony z najnowszemi rezultatami badań naukowych na polu anatomii i fizyo-

logii; oprócz tego, znakomity doktór medycyny, świetny hygienista, nieporównany pedagog. Przyleciał tu pełen wielkich marzeń, z głową nabitą planami olbrzymich reform naukowych... Niektóre gęsi jedném oczkiem zerkały ku niemu, gdyż dosyć odległe pokrewieństwo nie czyniło związków małżeńskich niemożliwemi, a zawsze to jest przyjemnie mieć męża z naukowym tytułem i ze stanowiskiem. Cóż, kiedy bocian miał ślubną żonę. O, on się nigdy do płci pięknéj nie umizgał, nie mizdrzył tak jak inne ptaki! On serce swojéj połowicy podbił sobie wykładami o budowie komórki, o systemacie cerebro-spinalnym, o mikrobach i tym podobnych naukowych rzeczach. Nigdy a nigdy nie uśmiechnął się do swojéj narzeczonéj, nie umiał pląsać tak, jak wróbel, ani nadskakiwać, jak pawie, indyki, koguty. Sprawę małżeństwa brał z czysto poważnéj strony i jeszcze przed ślubem rozmawiał z narzeczoną o ważności należytego doboru płciowego, jakoteż o wychowywaniu przyszłych dzieci.“ Żona wierzyła weń i chełpiła się z jego wielkiéj wiedzy i niepospolitego charakteru. Dopiéro kiedy w praktyce okazały się nieszczególne owoce hygienicznych i dyetetycznych przepisów małżonka, zachwiała się w niéj wiara, w duszy zrodziły się podejrzenia i objawiła się opozycya, która dotkliwie dała się we znaki uczonemu. Wychowanie dzieci nie powiodło się: córka uciekła z gniazda przed oznaczonym terminem, synowie puścili się na hulatykę. „Zawiedzionemu na życiu rodzinném mędrcowi, nie pozostało już nic innego, jak czysta nauka. Częstokroć całemi godzinami wystawał, wpratrując się w rozprutą żabę, a wyłącznie spędzał teraz życie w swojém laboratoryum na łące.“ Naturalnie, jak w każdém porównaniu i w każdéj alegoryi są i tu miejsca słabsze, ale ogół „Ptaków“ sprawia dobre wrażenie, wywołuje uśmiéch pogodny, oddziaływa estetycznie, a przytém i myśli dostarcza pokarmu. W innych zarysach bywają czasem żywsze efekty, lecz się nie zléwają z całością tak harmonijnie, jak w tym właśnie.

— *Stanisław Krzemiński*, **Krzysztof Kolumb**, przypomnienie życia i zasług. Warszawa, 1892, str. 68. — Książeczka ta potoczystym i obrazowym stylem napisana, ma na celu uprzytomnić czytelnikowi polskiemu czyny Kolumba. Na podstawie źródeł jemu dostępnych, autor odtwarza postać wielkiego genueńczyka z możliwą dokładnością. Dobrym jest rozdział, streszczający stan wiedzy geograficznéj w starożytności i wiekach, poprzedzających epokę Kolumba. Nie wiadomo, z jakiéj racyi autor nazywa odkrycie Ameryki przez Normanów tylko prawdopodobném, gdy jest ono obecnie w nauce faktem powszechnie przyjętym; bezwarunkowo odrzuca p. K. możliwość odkry-

cia przez Irlandczyków, chociaż spora wiązka faktów przemawia i za tém. Daléj powstaje autor na rząd francuski za to, że w Calvi na Korsyce pozwolił wystawić pomnik Kolumbowi; toć wiedza geograficzna i we Francyi nic nigdy wspólnego z zachcianką Korsykanów nie miała, rząd zaś republikański nie widział nic zdrożnego w wystawieniu pomnika człowiekowi zasłużonemu. Napotykamy w książeczce dawne podanie, jakoby profesorowie uniwersytetu w Salamance mieli wyśmiać Kolumba, tymczasem skrupulatne badania czasów nowszych wykazały mylność tego mniemania. Co się tyczy kwestyi miejsca wylądowania Kolumba w Ameryce, to chociaż autor twierdzi, że nigdy nie będzie ona rozstrzygnięta, fakta jednak zawarte w dzienniku okrętowym Kolumba stanowczo dowodzą, że wylądowanie odbyło się na wyspie Waitling. Harrisse, któremu ze wszystkich badaczy zawdzięczamy najwięcéj w sprawie badań Kolumbiańskich, nie jest, jak autor utrzymuje, Francuzem lecz Amerykaninem. Zasługuje na uwagę przytoczony przez autora wyciąg z kroniki Marcina Bielskiego, w którym tenże opisuje odkrycie Ameryki przez Kolumba. Wogóle książeczka robi miłe wrażenie i może być przez każdego z prawdziwym pożytkiem przeczytana.

= *Zygmuat Niedźwiecki*, **Jedyne dzieło.** Kraków. 1893, str. 211. O piérwszym zbiorze szkiców p. Niedźwieckiego p. t. „Słońce“ pisaliśmy w „Ateneum“ przed rokiem; drugiego p. n. „U ogniska“, które wyszło w Krakowie z datą 1892, nie znamy; trzeci leży właśnie przed nami. Nie możemy powiedzieć, żebyśmy w nim zauważyli coś naprawdę nowego w rozwoju talentu młodego autora: toż samo tu jak i w „Słońcu“, lubowanie się w obrazkach erotycznych, przedstawianych bez obsłonek, zręcznie prawda, nieraz dowcipnie, np. w szkicu „Jedyne dzieło“ i „Cholera“, ale bądź co bądź w smaku i kierunku pornograficznym; taż sama jędrność, pewność, prostota wyrażenia nieprzeciążonego przenośniami, a jednak wywierającego wrażenie stylu pięknego, którym autor włada swobodnie i z wielką wprawą. Co do poglądu na życie, to jak w „Słońcu“, tak i w „Jedyném dziele“ przemaga stanowczo pesymizm, uważający pobyt na téj ziemi za coś tak nieznośnego dla głębiéj myślących, iż oni wytrzymać go nie mogą i coprędzéj go porzucają. Najsilniéj wypowiedział to bohatér szkicu p. n. „W obłędzie“, który w noc poślubną zabił żonę i siebie. „Jak słabą jest dusza nasza — pisze on do przyjaciela, zabierając się do spełnienia zamiaru — i jak podłém wszystkich jéj klęsk winne ciało, jak ohydnie nikczemną we wszystkiém zarówno jest przyroda, rzucając nas na pastwę tych dwóch nierozdzielnie spojonych, a sprzecz-

nych, wzajem się gubiących i wrogich sobie żywiołów... Jak nędzném jest posłannictwo kobiéty, która nas rodzi do cierpień, w zabiegach o siebie każe podejmywać (!) wszystkie marne i głupie wysiłki życia, każe je następnym, równie jak my sami nieszczęsnym nędzarzom zbrodniczo przekazywać, i zawsze pochłania wszystkie nasze siły i wywołuje wszystkie występki, jeśli się jéj oddamy, a pozostawia nieukojony żal i udręczenia, jeżeli nią wzgardzimy... Jakiém szyderstwem z naszych uczuć jest ta kobiéta, któréj pożądanie doprowadza nas do szału w jednéj chwili, aby ją zaraz potém uczynić wstrętną niemal, — a za chwilę znowu rzucić w jéj objęcia i znowu odepchnąć... utrzymując nas, podobnie do (!) wszelkich doświadczeń życia, w ciągłéj zmienności, w ciągłéj rozterce i niepewności, w ciągłéj zwodniczéj pogoni za niczém!...“ (str. 208, 209). Nie łudźmy się tém, że słowa powyższe napisał wedle opinii lekarza człowiek w obłędzie, bo naprzód podając tę opinię autor, jak wogóle gdzieindziéj, swego własnego zdania nie objawia, a powtóre, w innych szkicach i obrazkach spostrzegamy w mniéj jaskrawy sposób wyrażone, lecz tak samo smutne zapatrywanie się na objawy życia. Wszędzie widzimy jaskrawy egoizm, wyzyskujący brutalnie potulną dobroć („Sprzeczka“, „Wanna“), wszędzie radości i promienie jasne bytu są tylko w zamarłéj już przeszłości („Świstki“), wszędzie grosz lub nadzieja osiągnięcia go różni ze sobą ludzie, choćby długoletnimi byli przyjaciołmi („Wygrana“); wszędzie używanie chwili bieżącéj jedynym jest celem istnienia i wysiłków pracy („Maleństwa“, „Zazdrość“, „Spotkanie“ i w. in.). Nigdzie ani wzmianki o jakichkolwiek wyższych, szlachetniejszych uczuciach, poglądach, dążeniach; wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiéty mają na widoku tylko najbliższe cele nasycenia żądzy, zadośćuczynienia próżności lub tym podobne pobudki. Chwilowo ta i owa powiastka, zręcznie przedstawiona, może zabawić, zainteresować; ale całość pozostawia po przeczytaniu uczucie niesmaku, pustki, próżni wewnętrznéj. P. Niedźwiecki wydaje mi się zbyt sprytnym, ażeby nie miał rychło zrozumiéć, że te poglądy pesymistyczne, że te obrazki życia lekkomyślnego, czysto egoistycznego, staną się rychło równie banalnemi, jak dawne powiastki moralne, że pisarz, chcący zdobyć sobie ogólniejsze uznanie i pragnący osiągnąć wyższy stopień artyzmu, nie może poprzestawać na powtarzaniu siebie, lecz musi coraz bardziéj pogłębiać swoje spostrzeżenia i uwagi, coraz to rozleglej zapatrywania swoje na świat rozwijać. I tak przyjdzie czas, kiedy wskutek wieku będziemy musieli stać się szablonowymi; pocóż chwilę tę dobrowolnie przyśpieszać,

zacieśniając się w szczupłym obrębie pomysłów i w jednostajném ich oświetleniu?

= **Historya prawdziwa** o przygodzie żałosnéj książęcia Finlandzkiego Jana i królewny Katarzyny. 1570. Wydał *Aleksander Kraushar*. W Krakowie 1892, 8-o str. VIII + 64. (Bibliot. pis. pols. tom 20). — Przedmiotem tego opowiadania są dzieje Katarzyny Jagiellonki, siostry Zygmunta Augusta, poślubionéj Janowi, księciu Finlandzkiemu, późniejszemu królowi szwedzkiemu i ojcu Zygmunta III. Do ręki téj królewny, oprócz księcia Jana, kandydatami, jak wiadomo, byli jeszcze: car Iwan Groźny, arcyksiążę Ferdynand austryacki i brat Jana Eryk XIV, król szwedzki. Z pomiędzy nich wybór ze strony Katarzyny padł na Jana, i ślub młodéj pary, za zgodą Zygmunta Augusta, odbył się w Wilnie r. 1562, poczém nowożeńcy udali się w podróż ku brzegom Finlandyi, następnie do Sztokholmu; tam wskutek podejrzeń Eryka względem brata o spisek, zostali z jego rozkazu uwięzieni i osadzemi w wieży zamku w Grypsholmie, dworzanie zaś ich na śmierć męczeńską wydani szwedzkiemu żołdactwu. Podczas kilkoletniego ciężkiego więzienia Katarzyna Jagiellonka zostaje matką córeczki Izabelli, która w półtora roku potém zmarła, i syna Zygmunta, który późniéj był królem polskim jako Zygmunt III Waza. Iwan Groźny wyprawia potrzykroć poselstwo do Eryka z żądaniem, aby mu Katarzynę dał za żonę. Żądania te jednak nie odniosły skutku, bo ich Katarzyna zarówno jak i perswazyi Eryka słuchać nie chciała. Wskutek stanowczéj tedy odmowy królewny Eryk zwołuje sejm do Upsali i postanawia zgładzić jéj męża a swego brata, lecz, otrzymawszy jednocześnie wiadomość o wtargnieniu Duńczyków do Szwecyi, spieszy na pole walki, i, dotknięty już obłędem, dopuszcza się szeregu morderstw na ludziach zasłużonych i uczciwych; w końcu przychodzi do opamiętania i składa koronę, ustępując jéj więzionemu dotąd przez siebie bratu. Tym sposobem skończyła się niedola pary książęcéj. Jan opuszcza więzienie, wstępuje na tron przodków i koronuje się w Upsali wraz z Katarzyną 1569 r. Taka jest treść téj historyi dramatycznéj, opowiedzianéj tu plastycznie, barwnie i pięknym językiem wieku XVI-go. Nazwisko autora „historyi prawdziwéj“ nie jest wymienione na pierwszym jéj wydaniu z r. 1570; dość jednak uzasadnionym wydaje się domysł, oparty na omówieniach wydawcy Szarffenberga, jako téż wynikający z etycznego nastroju całego opowiadania, że książkę tę napisał historyk Marcin Kromer, „człowiek zacny a wielkiego zawołania i tych rzeczy dobrze wiadomy.“

Przedruku téj rzadkości bibliograficznéj dokonał p. Kraushar z egzemplarza biblioteki ordynacyi Zamojskich, przydawszy na początku dziełka wstęp historyczno-literacki, a na końcu słowniczek wyrazów przestarzałych. Nadto wydanie zdobią podobizny dwuch rycin, znajdujących się w egzemplarzu pierwotnym. Strona téż zewnętrzna wydania przedstawia się pięknie. Ale pod względem krytyczności samego tekstu przedrukowanego byłoby niejedno do sprostowania. Wydawca wprawdzie w znacznéj części w dziełku tém zachował cechy języka druku pierwotnego, w wielu jednak razach formy języka dawnego (nie mówimy bynajmniéj o pisowni) zmodernizował, zaciérając bez potrzeby dawną jego barwę. Wskutek tego razi np. niekonsekwencya w jednoczesném obok siebie użyciu prawidłowych form przymiotników z zakończeniami *ym*, *im* obok pozmienianych na *em* (jak: na pierwsz*ym* potkaniu str. 13 i w więzieniu mizern*em* a nędzn*em* 14; dług*im* a dobr*em* zdrowiem, ze wszystki*em* pocztem 53, i t. d.), gdy oryginał z r. 1570 ma w tych razach zawsze formy na *ym*, *im*. Taka niepożądana rozmaitość form panuje w całém dziełku, szczególnie zaś dotknięte nią zostały stronice od 15 do 32; dlatego gotowiśmy sądzić, że pochodzi to raczéj z samowoli i winy korektorskiéj aniżeli z dopuszczenia wydawcy. Niewłaściwie téż powstawiano *ł* w wyrazach takich jak: wszedłszy 10, przysiągłszy 37 i t. p., skoro w oryginale i w innych licznych drukach Szarffenbergera mamy formy prawidłowe bez *ł*: wszedszy, przysiągszy i t. d. Obok wyrażeń: samo książę mieszkało str. 22, książę finlandzkie 19, 32, 37, 50..., spotykają się i okazy zmodernizowane, jak: książę finlandzki 17, 20...; właściwiéj także byłoby pozostawić postać dawną „miedzy“ zamiast nowszéj między (16, 18, 28...), a bezwarunkowo zmieniać nie należało wyrazu „teskliwe“ na tęskliwe (26); gdyż tego ostatniego w w. XVI jeszcze nie było. Pomijamy inne błędy drukarskie. Dodamy tylko, że z pomiędzy wyrazów wyszłych z użycia, „słowniczkiem“ objętych, o b e g n a n i e (8 i 59) znaczyło oblężenie (nie „wygnanie“); p i s z c z k i (39) są to piszczący lub grający na piszczałkach (nie „piszczałki“); z d z i e r a ć s i ę (37) oznaczało wzbraniać się, wzdragać się (nie zaś „wzdrygać się“). *A. A. Kr.*

= **Kw. Horacego Flakkusa**, poezye wybrane do użytku szkolnego, wydał *Marcin Sas*. Kraków, nakładem autora, 1892, mała 8-a, str. 183. Ładną i pożyteczną książeczką obdarzył p. Sas zarówno nauczycieli łaciny jak i uczniów wyższych klas gimnazyalnych. Wymieniony tutaj zbiorek zawiéra wprawdzie tylko mniejszą połowę wszystkich utworów Horacego; mieści się tu jednak tyle i tak zręcznie

dobranych wzorów poezyi horacyuszowskiéj, że uczeń, który się z tém wszystkiém należycie obznajmi, będzie mógł słusznie powiedziéć o sobie: „czytałem“ Horacego i znam jednego z najcelniejszych poetów rzymskich. Ogółem znajdujemy w wydaniu p. Sasa 57 pieśni czyli ód, hymn jubileuszowy czyli *carmen saeculare*, 5 epodów, 5 satyr i 8 listów, włączając do tego i list *de arte poetica*. Ze stanowiska pedagogicznego wybór, dokonany przez wydawcę, trzeba nazwać trafnym i umiejętnym. P. Sas usunął ze swego wydania przedewszystkiém pieśni miłosne, pisane w tonie mniéj lub więcéj swawolnym, obrażającym nowoczesne pojęcia moralności i obyczajności; sądzimy, że nikt nie poczyta tego wydawcy za złe, gdyż naprzód czytanie takich utworów z młodzieżą jest rzeczą niemożliwą, powtóre zaś nie są one rzeczywistym wyrazem twórczości Horacego: jako piewcę miłości prześcignęli go elegicy, i od nich dopiéro można się dowiedziéć, co to jest rzymska poezya erotyczna. Żaden przeto nauczyciel nie uczuje w wydaniu p. Sasa braku takich ód jak I, 5, 8, 9, 13, 17, 23; II, 4, 5, 8 i t. p. Oczywiście „słodsza od ambrozyi i nektaru“ rozmowa dwojga kochanków (*carm.* III, 9) nie mogła być pominiętą; figuruje więc i w wydaniu p. Sasa. Nie pojmujemy wszakże, dlaczego wydawca nie zamieścił znanéj Neobuli (III, 12), choć trochę ciemnéj, ale ciekawéj pod względem metrycznym; nie zawadziłoby téż, jak mniemamy, wcielić do wydania szkolnego taki charakterystyczny obraz poetyckiego urojenia jak *carm.* III, 25, oraz stosunkowo długą, ale ładną odę do Mecenasa (III, 29). Oprócz pieśni miłosnych albo raczéj miłostkowych, malujących życie hulaszcze, wydawca opuścił ody, których albo wartość poetyczna jest niewielka (np. I, 32; IV, 6), albo téż, które pod względem krytycznym nastręczają zbyt wiele trudności (np. I, 4, 6, 15; IV, 8, 14). Od czasów Bentleya Horacy jest areną popisów dla całéj rzeszy mniéj lub więcéj przenikliwych krytyków; nie zostawiono téż na nim prawie suchéj nitki; choćby się jednak nie uznawało powagi takiego np, Peerlkampa, to przecież trudno zabiérać się z młodzieżą do czytania niektórych utworów i udawać, że w tradycyjnym tekście widzi się wszystko w porządku. Ażeby skończyć z opuszczeniami, wspomnimy jeszcze, że nasz wydawca usunął ze swego wydania zwrotkę 3-cią i 11-tą w 12-téj odzie I księgi i zwrotkę 6-tą i 7-mą w 35-téj odzie tejże księgi; nadto nie znajdujemy u p. Sasa cokolwiek niezrozumiałéj, choć pełnéj odrębnego nastroju pieśni I, 28 (gdzie mowa o Archytasie) i ostatniéj ody do Rzymian (III, 6 z drażliwym wstępem o zepsuciu młodzieży, zwłaszcza żeńskiéj). Z pomiędzy epodów, nadających się wogóle mało do czytania szkolnego, p. Sas zamieścił 1, 2, 7, 9 i 13. Z pomiędzy satyr mamy tu I, 1 (Chciwość,

źródłem niezadowolenia), 6 (Fałszywa zazdrość), 9 (Natrętny); II, 2 (Smakosze) i 6 (Życie wiejskie, a miejskie); z listów zaś I, 1 (do Mecenasa), 6 (do Numicyusza), 7 (do Mecenasa), 8 (do Arystyusza Fuskusa), 16 (do Kwincyusza); II, 2 (do Juliusza Florusa) oraz list do Pizonów o sztuce rymotwórcéj. — Opuszczenia nie stanowią jeszcze pierwszorzędnéj zalety wydania szkolnego. To téż p. Sas postarał się zrównoważyć je czémś dodatniém; mianowicie na pierwszych sześciu stronnicach skreślił po polsku żywot Horacego i obraz jego działalności poetyckiéj, wspominając przytém, od kogo poeta rzymski był zależnym, i na kim z naszych poetow odbił się znów jego wpływ najbardziéj. W następnym artykule znajduje się przegląd miar utworów poetycznych Horacego; przed każdym zaś utworem mamy krótkie objaśnienie, tyczące się treści, chronologii lub warunków, w jakich dany utwór poetyczny powstał. W końcu wydawca dołączył sporządzony dokładnie „Słownik imion własnych“ (dlaczego nie zaznaczona w nim powszedniejsza forma *Catillus?*). Co się tyczy samego tekstu Horacego, to p. Sas trzyma się pospolicie wulgaty; taki charakter konserwatywny zapewne najbardziéj przystoi wydaniu szkolnemu i ma w każdym razie za sobą powagę wielu zasłużonych i wybitnych filologów. Cała książka wydrukowana jest nietylko przyzwoicie, ale nawet wytwornie, korekta zaś przeprowadzona nadzwyczaj starannie. Jak widzimy, p. Sas zrobił wszystko, ażeby zarówno nauczyciele jak i uczniowie mogli zasmakować w swojskiém wydaniu Horacego. Spodziéwamy się przeto, że praca i nakład wydawcy (daruje p. Sas, że go nie nazywamy „autorem,“ choć wyraz ten widzimy u spodu karty tytułowéj) nie pójdą na marne, a zarazem jesteśmy przekonani, że ewentualne powodzenie omówionych tutaj „Poezyi wybranych“ będzie zasłużone.

M. Row.

= *Richard Falkenberg.* **Geschichte der Neueren Philosophie** von Nicol. von Kues bis zur Gegenwart. 2-te Aufl. Lpz. Weit et Comp. 1892, str. 530. — Historya materyalizmu Langego wywarła wielorakie wpływy na sposób pisania dzieł historyczno-filozoficznych w Niemczech, wpływy, do których nie zawsze się przyznają autorowie, ale które łatwo dostrzedz na wydanych po tém dziele książkach. Do takich wpływów należy większe uwzględnienie związku pomiędzy życiem ą doktrynami filozoficznemi z jednéj strony, z drugiéj zaś wprowadzenie do zakresu historyi filozofii takich doktryn, które jakkolwiek w rozwoju myśli filozoficznéj przedstawiają objawy cofnięcia się ku stanowiskom już przebytym, mają jednak w odpowiedniéj epo-

ce szerokie rozpowszechnienie, mają pewne podstawy historyczne, przedstawiając to co nazywa się nastrojem umysłowym epoki.

Jestto wprawdzie „zapoznanie filozoficznéj strony dziejów filozofii dla historycznéj,“ przeciwko któremu protestuje Windelband, ale sposób taki traktowania przedmiotu jest zupełnie na miejscu tam, gdzie historya filozofii wzięta jest jako część historyi myśli.

Książka Falkenberga właśnie z tego stanowiska ujmuje swój przedmiot, nie pomijając jednak i strony czysto-filozoficznéj, gwoli któréj autor udziela najwięcéj miejsca tym myślicielom, którzy przedstawiali rzeczywisty postęp i pewną ciągłość w rozwoju idei filozoficznych, usprawiedliwiając tém, wspomnianą w przedmowie myśl, że „dzieje filozofii nie są gabinetem starożytności, lecz muzeum typowych objawów myśli“ (str. 31). Kartezysz, Spinoza, Locke, Leibnitz, Kant, Fichte, Schelling, Hegel Herbart i Schopenhauer zajmują dłuższe rozdziały dzieła, jako przedstawiciele etapów stopniowego postępu filozofii. Ale obok tego znajdujemy obszerny rozdział o poprzednikach Kartezyusza, zaczynając od Mikołaja Kuzy, rozdziały o oświacie w Anglii, Francyi i Niemczech, oraz inne obejmujące te formy doktryn filozoficznych, w których dzięki pracy publicystów przenikała myśl danéj epoki do szerszych kół publiczności. Ściślejsze związanie doktryn filozoficznych z zagadnieniami życia objawia się również i w szerokiém uwzględnieniu filozofii praktycznéj oraz jéj oddziaływania na doktryny polityczne, moralne i na filozofią dziejów. Dzieje filozofii nowożytnéj doprowadzone są do chwili bieżącéj, jakkolwiek najnowsze czasy są traktowane zbyt pobieżnie. Nowokantyzm, pozytywizm i reakcya idealistyczna przeciwko duchowi wiedzy przyrodniczéj — te są trzy kierunki, które zaznacza autor w najnowszéj filozofii.

Książka, o któréj mowa, jest pisana nie sposobem podręcznika, lecz jak książka do czytania; język przystępny; opowiadanie płynne, nie rozbite na paragrafy i punkta. Wreszcie do ułatwienia przyswojenia i ścisłego rozgraniczenia pojęć wielce się przyczynia dodany w końcu słownik wyrażeń filozoficznych z ich objaśnieniem i wskazaniem stronnic dziełka, do których się stosują. Dwa spisy imion (rzeczowy i bibliograficzny) ułatwiają korzystanie z téj książki, która zarówno służyć może dla czytelnika, szukającego pierwszéj znajomości z przedmiotem, jak niemniéj, za dzieło informacyjne dla fachowo-wykształconego.

Wł. M. K.

= *G. Freiherr v. Hertling.* **John Locke und die Schule v. Cambridge.** Freiburg in Br. 1892, str. 316 + XI. — Zadaniem autora było zbadać w jakim stopniu wywarła wpływ na „Studyum“ Locke'a szkoła teologiczno- filozoficzna Cambridge'u, któréj głównymi przedstawicielami byli Cudworth i Mor. Założyciel sensualizmu był w osobistych stosunkach z rodziną pierwszego.

Niezgodne z duchem sensualizmu miejsca głównéj pracy filozoficznéj Locke'a, również jak jego stosunek nieprzyjazny do Descartesa i Hobbes'a tłómaczy autor wpływem szkoły Cambridgskiéj.

Wł. M. K.

= Z nowym rokiem czasopismo dwutygodniowe **Niwa**, założone w 1872, parokrotnie już przekształcane i pod względem formatu i pod względem dążności, przeszło znowu pod inną redakcyą. W obszernym jéj prospekcie widzieliśmy zakreślone bardzo rozległe zadanie, które gdyby należycie wykonaném zostało, nadałoby rzeczywiście nader wybitną cechę wydawnictwu, czyniąc je wielce pożądaném dopełnieniem czasopism dotychczasowych, poświęconych nauce i literaturze. Spełnienie atoli takiego zadania jest w naszych warunkach rzeczą bardzo trudną, to téż rozumiemy doskonale, że mimo starań największych niepodobna było uczynić mu zadość choćby cząstkowo tylko zaraz w 1-ym numerze, przedstawiającym się jako zeszyt ćwiartkowy o trzech arkuszach druku w dwa łamy. Właściwością wydatną zeszytu tego, a więc i programu, jest silnie zaznaczony w „Słowie wstępném“ (pióra p. Ludomira Grendyszyńskiego) czysto naukowy kierunek bez wywieszania jakichkolwiek haseł społecznych. „Interes do spraw politycznych osłabł — powiedziano tu — sztucznie tylko przez dziennikarstwo podsycany; w rozprawach społecznych zużyto już wszystkie, zdaje się, programy i wszystkie hasła; w literaturze i sztuce poszukiwanie nowych kierunków doprowadziło tylko do nowych dziwactw; — poczuliśmy się na schyłku stulecia. Jedna tylko nauka, zbrojna w oręż coraz to doskonalszéj metody, idzie wciąż naprzód krokiem pewnym, osiągając nieustannie coraz to nowe zdobycze, oświetlając coraz to nowe widnokręgi, gromadząc całe stosy nowych materyałów i budując nowe gmachy z całą świadomością drogi, którą kroczy, i błędów, jakie mogą być popełnione. Nie możemy tu wchodzić w rozbiór, czy dyagnoza powyższa jest słuszną i czy sama nauka, pojęta nie w znaczeniu badania szczegółów, lecz w znaczeniu robienia jaknajwiększych uogólnień, nie prowadzi do zajmowania się sprawami społecznemi; dość zaznaczyć, że taka jest myśl nowéj redakcyi „Niwy“ i że zamierza właśnie podawać czytelnikom swoim wy-

niki poszukiwań naukowych w sposób ile możności systematyczny, gruntowny, a nawet wyczerpujący. Czy w zamiarze tym wytrwa? Już w 1-ym numerze stosunkowo najwięcéj miejsca zajęła nie żadna kwestya ściśle naukowa, lecz sprawa społeczno-polityczna, sprawa panamska, obrobiona dobrze i z werwą przez p. Ludwika Straszewicza. Zdaje się wogóle, że pomimo odżegnywań się życie samo zajmować zawsze będzie dużo miejsca w czasopiśmie, bo ono dla człowieka najbardziéj interesującą rzecz stanowi. Artykuły popularno-naukowe są wszystkie zajmujące, choć nie wszystkie z jednakową systematycznością i z jednakowym talentem skreślone. P. Stanisław Kramsztyk przedstawił „Rozwój stopniowy odkryć i wynalazków;“ p. Adam Szawłowski rozpoczął opisywać.“ Główne prądy umysłowe i filozoficzne w XVIII wieku,“ w samym tytule popełniając nieścisłość; p. Bronisław Chlebowski dał poznać „Świéżo odnalezione utwory Reja;“ p. Odo Bujwid wyrzekł „Kilka słów z powodu doświadczenia Pettenkofera;“ p. Ignacy Matuszewski objaśnił przykładami wytarte „Liczmany myśli i mowy.“ Belletrystykę reprezentuje wiersz p. Antoniego Langego: „Cyfra i Słowo,“ oraz początek odznaczonego na konkursie dramatu „Jakób Warka,“ napisanego przez p. D. Zglińskiego. Dział krytyczny podaje recenzyę fizyki Avery'ego, powieściopisarza Gawalewicza: „Mechesy“ i poezyj p. Rossowskiego. W „notatkach naukowych“ podano parę spostrzeżeń co do wpływu światła na wegetacyą w „Wiadomościach bibliograficznych“ zaś spis lub króciutkie streszczenie ważniejszych artykułów w ważniejszych czasopismach polskich, niemieckich, francuskich i angielskich. Zeszyt zatém jest urozmaicony i ożywiony. Pomyślnego rozwoju „Niwie“ serdecznie życzymy.



NEKROLOGIA.

† **Jan Prusinowski**, urodzony r. 1818, skończywszy szkoły i wydział prawny uniwersytetu, poświęcił się adwokaturze a w chwilach wolnych od zajęć obowiązkowych oddawał się poezyi i publicystyce. Zamieszkawszy stale w Żytomierzu, nadsyłał stąd do gazet warszawskich zajmujące korespondencye o życiu umysłowém swych okolic, publikował nieznane szczegóły z życia Słowackiego i Mickiewicza (w „Gazecie Codziennéj" r. 1859 i 1860), zasilał różne wydawnictwa swojemi wierszami. Osobno ogłosił w r. 1856 dwa zbiory: „Z podań ludu i z obcéj mowy" (Warszawa, str. 126), „Poezye" (tże, str. 278). Wraz z Krupowiczem wydał pismo zbiorowe „Po ziarnie" (Wilno, 1862). Zmarł w Żytomierzu 26 listopada 1892 r.

† **Aleksander Osipowicz**, rodem z Augustowskiego, był autorem kilku studyów („Ogrodnictwo dworsko-gospodarskie," „O górach sypanych i kurhanach w gub. agustowskiéj"), oraz powiastek: „O doli Antkowéj na świecie" (Warsz. 1863), „Dzika dusza," „Było trzech braci." Zmarł w Suwałkach 1 stycznia r. b.

† **Adela z Wieczorkiewiczów Kirschnerowa**, urodzona w Warszawie 1864 r., tu skończyła gimnazyum żeńskie i otrzymawszy patent nauczycielski poświęciła się pedagogii. W 1883 r. z bratem d-rem Antonim Wieczorkiewiczem odbyła dłuższą podróż po Austryi, Włoszech, Francyi, Szwajcaryi i Niemczech. W 1890 drukowała w „Gazecie Rzemieślniczéj" wspomnienia z téj podróży („Pod włoskiém niebem"), tu także umieściła powieść „Na wyżyny" i powiastkę „W pół roku;" tu również drukowała jako stała spółpracowniczka różne artykuły i Kroniki tygodniowe. W 1892 r. „Dziennik dla wszystkich" ogłosił jéj nowelę „Z pamiętników dziadka." Kilka jéj powiastek drukowała „Gazeta lubelska." Zmarła w Warszawie w pierwszych dniach stycznia r. b.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 4 Февраля 1893 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

1. *Sewer*: **W cieniu i w słońcu.** Obrazki. Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1892 r 8-vo, str. 387.
2. *Stanisław Rossowski* **Poezye**. Serya II. 1892, str. 174.
3. *Edmund de Amicis*, **Ze szkoły i z domu.** Nowele dla rodziców i nauczycieli. Przełożyła *Marya Obrapalska*. Warsz., T. Paprocki i S-ka, 1893, 8-vo, str. 424.
4. **Praktyczna gramatyka** języka polskiego. Ułożył *Hipolit Wójcicki*. Warsz. nakł. autora, 1892, 8-vo, str. 104.
5. D-r. *Stanisław Tomkowicz*. **Zabytki budownictwa** m. Krakowa, I. Szpital Ś-go Ducha Z 14 tabl. litogr. 1892, 4-vo, str. 80.
6. **Die Judenfrage** eine ethische Frage. Von D-r. *Leopold Caro*. Leipzig 1892, 8 vo, str. 66.
7. **Noworocznik Radomski.** Kalendarz na rok 1893. Radom, nakł. księg. Jakubowskiego i Wędrychowskiego, 8-vo, str. XXVI + 168 i ogłoszenia (cena kop. 35).
8. *Elżbieta Stuart-Phelps i Herbert D. Ward*. **Powstań!** Powieść historyczna. Warsz. nakł. Paprockiego i S-ki, 1893, 8-vo, str. 388, (rs. 1 kop. 35).
9. *Ola Hansson*. **Młoda Skandynawia.** Nakład Paprockiego i S-ki, Warsz. 1893, 8-vo, str. 240. (Cena kop. 75).
10. *J. Verne*. **Bez przewrotu.** Przełożyła z francuskiego *Julia Zalewska*. Warsz., nakład T. Paprockiego i S-ki, 1892, 8-vo, str. 250 i II. (kop. 80).
11. **Kobiety czeskie.** Napisała *Antoszka*. Warsz., skład gł. w księg. E. Kolińskiego, 1892, 8-vo, str. 22.
12. *Maryan Gawalewicz*. **Mechesy**. Powieść. Warsz. Gebethner i Wolff, 1893, 8-vo, str. 472.
13. **Rozprawy** wydziału filologicznego. Serya II, t. I, 8-vo, str. 401.
14. D-r. *Antoni J.* **Sylwetki historyczne.** Serya VIII. Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1892, 8-vo, str. 404.
15. *Adolf Dygasiński*. **Garstka.** Zbiór nowel, obrazków i studyów. Warsz. nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1893, 8-vo, str. 347.
16. *Kazimierz Gliński*. **Splątane nici.** Szkice i obrazki. Warsz. nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1893, 8-vo, str. 401.
17. *Ignacy Dąbrowski*. **Śmierć.** Studyum. Warsz., Paprocki i S-ka, 1893, 8-vo, str. 188.
18. **Uwagi nad mechanizmem** gry na fortepianie, skreślił *Jan Drozdowski*. Kraków, skład głów. w księg. Zwolińskiego i S-ki, 1893, 8-vo, str. 62.
19. **Najnowsza metoda** języka angielskiego do nauczenia się czytać, pisać i rozmawiać po angielsku w 24 lekcyach bez nauczyciela. Opracował dla użytku Polaków Plato von Reussner. Kurs niższy. Czwarte wydanie. Warsz. nakł. autora, 1893, 8-vo, str. 152.
20. *Hennryk Sienkiewicz*. **Listy z Afryki.** W dwóch tomach z licznemi ilustracyami w tekscie. Warsz. nakł. „Słowa", 1893, 8-vo, str. 246 i 235.
21. D-r. *Władysław Leopold Jaworski*. **Nauka o służebnościach** według prawa austryackiego. Nakład autora. Kraków, 1892, zeszyt I, 8-vo, str, 141.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ.

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególném uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.

